

28

PAMIĘTNIKI WAMPIRA,

CZYLI

WAMPIR

W ŚWIECIE ARTYSTYCZNO-LITERACKIM.

OBRAZKI, SZKICE, EPIZODY, ŻYCIORYSY, FELIETONY, ZARYSY
OBYCZAJOWE; ORAZ POMNIEJSZE KOMEDYE, DROBNE POEZYE

I PRZEKŁADY

ZENONA RAPPAPORT.

TOM II.



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI A. LEWIŃSKIEGO,
przy ulicy Miodowej pod filarami.

—
1861.

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1861.

Cenzor, Radca Kolegialny Stanisławski.



74 022/2

K-218/76 1290 856

Druk Braci Hindemith.

LOLA MONTEZ

SZKIC BIOGRAFICZNY.

(z portretem.)

Gazety amerykańskie przyniosły do Europy wiadomość o śmierci Loli Montez, zmarłej w New-Yorku, w początku stycznia roku bieżącego. Imię tej głośnej kobiety w swoim czasie obiegało Europę i Amerykę. Przyznać należy, że niewielu kobietom zdarzało się tylekroć wznosić się i upadać w ciągu niedługiego życia, i tak mężnie wytrzymywać walkę z losem. Lola Montez doznała wszelkich przemian losu, uczęszczała do wszystkich warstw towarzystwa, przyjmowana oklaskami zachwyconego tłumu, to znów zmuszona uciekać w przebraniu z pośród rozjątrzonego ludu. Jej życie, to zajmujący romans historyczny, nad kartami którego niejednen myślnący człowiek smutnie się zaduma, a niejedna uczuciowa kobieta zapłaczę.

O Loli Montez tyle mówiono i pisano w starym i nowym świecie, że trudno znaleźć kobietę, któraby większą od niej ścigała na siebie uwagę; wielokrotnie kreślono jej biografię, jednakże żadna z nich nie zgadza się z inną. Spór siedmiu miast o Homera, powtarzający się przy każdej wybitniejszej, jakiegobądź rodzaju znakomości, powtórzył się i tutaj:—

rozmaici biografowie Loli Montez różne miasta podają za miejsce jęj urodzenia. Twierdzono, że przyszła na świat w Hiszpanii, w Genewie, na wyspie Kubie, w Indyach, w Turcyi; byli tacy co utrzymywali, że jest córką cyganki hiszpańskiej, i tacy co ją uważali za płód nieuprawnionej miłości lorda Byrona. Ztąd poszło, że nikt stanowczo nie wiedział ani o miejscu jęj urodzenia, ani o jęj rodzicach, i można było przypuścić, że Lola Montez wyszła jak Minerwa z głowy jakiegoś biografy—Jowisza. Wiadomości o życiu i kolejach Loli Montez, które tu podajemy czytelnikom, zaczerpnięte są po części z amerykańskiego pisma: *Baltimore-Wkeley-American*, a po części z innych angielskich źródeł. Te wiadomości zdawały się nam najprawdopodobniejsze i najprawdziwsze, sami bowiem, równie jak ich autorowie, chcemy się w ocenieniu ludzi, którzy już zawód ziemski zakończyli, kierować jak najściślejszą bezstronnością, wolną od przesądów i uprzedzeń.

W żyłach Loli Montez płynęła krew hiszpańsko-maurytańska, pomieszana z irlandzką, a w całym jęj życiu odbijają się w najwyższym stopniu te pierwiastki ognistości i przedsiębiorczości narodowej. Urodziła się ona w Irlandyi, w miasteczku Limerick, w r. 1824, umarła zaś w 37 roku życia, nie zaś w 42, jak podają gazety niemieckie, które ogłosiły jęj pogrzeb jeszcze w czerwcu przeszłego roku. Ojciec Loli syn earla Edwarda Gilberta, służył w 44 pułku wojsk angielskich, w stopniu kapitana, matka zaś, z domu Olivier, pochodziła z rodziny hrabiów de Montalvo, niegdyś dziedziców ogromnych posiadłości w Hiszpanii. Rodzina Montalvo była maurytańską i przeniosła się do Hiszpanii za czasów Ferdynanda i Izabelli. Rodzice Loli Montez pobrali się bardzo młodo: ojciec jęj miał żenić się lat 20, a matka 15 zaledwie. W drugim roku po zawarciu tego związku przyszła na świat Lola, i obyczajem hiszpańskim przy chrzcie nadano jęj kilka imion.

Nazywała się tedy Marya-Dolores-Eliza-Rozyna Gilbert, najczęściej jednak używała imienia Dolores, z którego powstało głośnie w Europie i w Ameryce skrócenie: Lola.

Wkrótce po jęj urodzeniu, pułk 44ty, w którym służył jęj ojciec, otrzymał rozkaz udania się do Indyj. Po długiej i uciążliwej żegludze młodzi małżonkowie stanęli wreszcie w Kalkucie, i spędzili tam około trzech lat. Po upływie tego czasu, armia angielska posunęła się do Dinapoore, w głąb Indyj. Za przybyciem wojsk angielskich nad brzegi Gangesu, w Dinapoore zaczęła grasować cholera i jedną z pierwszych jęj ofiar był ojciec Loli. Młoda i przystojna wdowa, po śmierci męża, stała się celem zabiegów młodzieży znajdującj się w Dinapoore. Czczono ją tam jak bóstwo i uparcie starano się o rękę młodej wdówki. Rozumie się też, że długich lat nie spędziła w wdowiej żałobie, i wkrótce poszła za mąż powtórnie, za kapitana Credgy, służącego w tym samym 44ym pułku. Drugi mąż był dawnym przyjacielem nieboszczyka Gilberta, który umierając polecił jego opiece żonę i dziecko swoje. Wkrótce po ślubie, kapitan Credgy został mianowany majorem.

Gdy Lola doszła do lat sześciu wysłano ją do Europy, do ojca majora Credgy, mieszkającego w Szkocyi w mieście Montrose, i piastującego tam wyższy urząd miejski. Ojciec ojczyzna Loli był w swoim mieście od lat dwudziestu przedmiotem ogólnego szacunku, ztąd też każde zajście rodzinne w jego domu, stawało się przedmiotem długotrwałych rozmów miasta. Dlatego przyjazd Loli wkrótce doszedł do wiadomości wszystkich mieszkańców Montrose, i stał się ogólnym przedmiotem rozmowy. Szczegółność stroju i ekscentryczność w obejściu małej dziewczynki zwróciły na nią powszechną uwagę, tak dalece, że sześciolatnia Lola stała się przedmiotem ogólnej ciekawości. Już tym sposobem w dziecku, widzącem że się niem wszyscy zajmują, podbudzoną została żywa chęć odznaczania się oryginalnem postępowaniem.

Rodzina starego Credgy osądziła, że Lola jest zbalamuczoną zupełnie, i dla tego wysłała ją do Londynu, do rodziny sir Gaspara Nicolsa, głównego dowódcy wojsk bengalskich. Ztamtąd oddano Lolę, razem z córkami Nicolsa do pensjonatu w Paryżu, i tam bohaterka nasza spędziła lat kilka. Na-

stępnie, w celu uzupełnienia edukacji, Lola razem z miss Fanny Nicols odesłaną została do Baats, gdzie przepędziły półtora roku.

Po ukończeniu kursu edukacyjnego Loli, mającej naówczas rok czternasty, przyjechała do niej z Indyj jej matka, w towarzystwie kapitana James, kolegi swojego drugiego męża, już wtedy awasowanego do stopnia jenerała. Powiedziano Loli, że matka przyjechała po nią, ażeby ją zabrać do Indyj, lecz znaczne zakupy sukni, bielizny i innych rzeczy należących do wyprawy, robione przez mistriss Credgy, obudziły podejrzenie naszej bohaterki. Zapytała się matki o przyczynę tak znacznych kosztów na niąłożonych, ale matka uniknęła wszelkich wyjaśnień. Dreczona ciekawością i jakimś smutnem przecuciem, Lola udała się do kapitana James, i zrecznie wywiedziała się od niego, że mistriss Credgy przyrzekła wydać ją za mąż za jednego z sędziów Sądu najwyższego w Indjach, posiadającego sześć krzyżyków, znaczny majątek i podagrę, Abrahama Lummei. Żywy i samowolny charakter Loli, oburzył się na samą myśl tak despotycznego rozporządzenia jej osobą; obrażona na matkę, która na wagę złota sprzedawała jej szczęście i przyszłość, oświadczyła stanowczo, że nigdy w życiu nie zawrze narzuconego związku ze starcem, którego niedość, że nie kocha, ale nigdy w życiu nie widziała.

Bardzo łatwo pojąć jak dalece rozgniewała mistriss Credgy energiczna protestacja czternastoletniej dziewczyny, ztąd też między matką i córką począł się nieprzyjemny spór rodzinny. Lola widziała dobrze, że matka stanowczo upiera się przy swoim postanowieniu, i przyprowadzona do rozpaczyny udała się do kapitana James z prośbą, ażeby ją wybawił od tego przymuszonego małżeństwa. Mister James był młodym jeszcze, miał bowiem dopiero 27 lat życia, nie więc dziwnego, że nie umiał obmyślić innego środka prócz ucieczki, i nazajutrz uciekł rzeczywiście wraz z Lolą do Irlandyi, gdzie przebywali jego krewni, którym oświadczył, że ma zamiar żenić się z nią. Jednakże nie znalazł się w Irlandyi ksiądz, któryby się zgodził bez pozwolenia rodziców dać ślub takiemu

dziecku jakimś wówczas była Lola. Rozumie się, że to nabiło kapitana James licznych kłopotów. W końcu zdołał on uprosić swą siostrę, ażeby wyjechała do Szkocyi do matki Loli, i uprosiła ją o pozwolenie na ten związek. Zrazu mistriss Credgy, ani chciała słyszeć o tém, ale wkrótce potem ustąpiła i dała zezwolenie, pojmując bardzo dobrze, że odmowa nie pociągnie za sobą dobrych skutków. Na ślub jednakże nie pojechała.

Uniknąwszy nienawistnego związku z starym podagrykiem, Lola straciła na zawsze miłość matki, a w zamian jej przywiązania dostała męża ograniczonego umysłu, nie mającego uczuć szlachetnych, ani kochającego serca, męża, który wcale nie potrafił ocenić tego przesłicznego dziecka, obdarzonego męzkim rozumem, niezwykłymi zdolnościami i wulkanem najognistszych namiętności, niehamowanych religijnem wychowaniem.

W osiem miesięcy po ślubie kapitan James wyjechał z młodziutką żoną do swego pułku, konsystującego w Indjach. Wiosnę przepędzili w Kalkucie, później zaś armia posunęła się w głąb kraju. W czasie pochodu młodzi małżonkowie poznali się z mistriss Lomers, bardzo przystojną kobietą, około trzydziestu lat mieć mogącą, która nader wielkie wrażenie wywarła na mężu naszej bohaterki. Kapitan James głośno zachwycał się wdziękami pani Lomers, i oddawał jej pierwszeństwo przed swoją żoną. Mister Lomers, nie spostrzegł tego, a nie mając podejrzenia nie okazywał zazdrości, i z kapitanem był w najlepszych stosunkach; Lola ze swjej strony, jakkolwiek spostrzegała niezwykłą przyjaźń męża dla mistriss Lomers, mało jednakże zajmowała się ich wzajemnymi stosunkami i spokojnie we śnie przepędzała ranki, które kapitan James z mistriss Lomers poświęcali przedśniadannym konnym wycieczkom.

Tak trwały rzeczy aż do pewnego pięknego poranku, w który kapitan James i jego towarzysza nie powracali o zwykłej godzinie z codziennj porannj przejażdżki. Lola musiała zasiąść do śniadania sama z dobrodusznym Lomersem, i oboje

nie mając żadnych podejrzeń, dziwili się tylko długiej nieobecności swoich małżonków, robiąc rozmaite przypuszczenia. Wkrótce jednakże znikła wszelka wątpliwość i wykryła się prawda: kapitan James uciekł z żoną Lomersa. Biedny Lomers wpadł w rozpacz, krzychał, przeklinał; Lola zaś przeciwnie, po krótkim gniewie i oburzeniu, zaczęła śmiać się z całej duszy z bezsilnych uniesień oszukanego męża. Ucieczka kapitana James nie zmartwiła jej wcale, i żartując sobie nieledwie z tej przygody, zaczęła się przezywać *młodziutką wdówką*. Widocznie nie kochała ona męża, wyszła zaś za niego tylko w celu uniknięcia odrażającego związku z sześćdziesięcioletnim starcem.

Przyjaciele Loli zadecydowali, że koniecznie powinna powrócić do domu matki. Po długim oporze, Lola zgodziła się nareszcie na tę smutną konieczność, przewidując że matka przyjmie ją niebardzo po macierzyńsku. Tak też się stało. Przyjęcie, jakiego doznała u mistriss Credgy, było gorzej niż surowe; postępowanie matki z córką dochodziło do okrucieństwa.

Iluz to nieszczęsnych dziewcz karyera zwichnięta została z przyczyny niedorzecznych pretensyj matek, sądzących się w prawie bezwarunkowo rozporządzać szczęściem i losem swych córek, i nieograniczonej samowoli rodziców, sprzedających ich piękność na wagę złota. Brzydki i oburzający ten zwyczaj nie znikł jeszcze w cywilizowanej Europie, i tak często niestety widzieć można starych zniszczonych rozpustników, którzy nieprostą drogą doszli do znacznego majątku, i za pieniądze kupują prawie od nieczułych i chciwych matek młodziutkie żony, ażeby potem wieść je na drogę zepsucia, nie mogąc odpowiedzieć uczuciem sercu potrzebującemu uczucia, lub zatruć ich życie i wpędzić przedwcześnie do grobu. Jeżeli nie bezzasadnie posądzano Lolę Montez o niemoralne życie, to вина jej hańby spada całym swoim ciężarem na jej matkę, która nie pojmując najświętszych macierzyńskich obowiązków, nie tylko że nie umiała z tej niezwyklej, sowiec udarowanej od natury dziewczycy zrobić dobrą żonę, zostawiając

jej wolność wyboru męża, nie tylko, że chciała poświęcić los i szczęście córki dla materyalnych widoków i planów, ale jeszcze wtedy, gdy kapitan James ją porzucił, odepchnęła ją od siebie, przyczyniając się przez to do zwrócenia z prawej drogi młodej kobiety, pozbawionej rodzinnego domu i opieki. Na pochwałę ojczyma dodać należy, że generał Credgy nigdy nie pochwalał postępowania swojej żony względem córki.

Po przyjeździe Loli, matka zamknęła ją w odosobnionym pokoju i nie wypuszczała dopóty, dopóki nieotrzymała świadectwa lekarza, że jej córka jest chorą, że klimat Indyj szkodliwym jest dla jej zdrowia, i że koniecznie trzeba wysłać ją do Europy. Podtym przyzwoitym pozorem pozbyła się z domu własnej szesnastoletniej córki, prawie dziecka jeszcze, oddając ją własnemu losowi, pozbawioną środków do życia, bez opieki i przyjaznej dłoni, któraby w ciężkich i smutnych chwilach życia mogła podać życzliwą pomoc młodej, niedoświadczonej kobiecie. Postępek ten był więc więcej niż okrutnym. Sąd każdej matki zbyt silnie go potępi, ażebyśmy potrzebowali dawać słowa wyroku, który dyktuje słuszne oburzenie.

Ojczym, którego postępowanie zawsze było szlachetnem względem przybranego dziecka, wcale inaczej postąpił. Wsiadając na okręt, niezaopatrzoną w środki utrzymania Loli, dał w tajemnicy przed matką bilet bankowy na tysiąc funtów szterlingów i list do krewnego swego Dawida Credgy, mieszkającego w Szkocyi, którego o jej przybyciu uprzednio pocztą zawiadomił, prosząc, ażeby młodą kobietę przyjął pod swoją opiekę. W liczbie passażerów okrętu, na którym odpływała Lola, znajdowała się amerykanka, pani Stewans, kobieta nadzwyczaj śmiałego, przedsiębiorczego i wesołego charakteru. Podczas długiej podróży Lola weszła z nią w bliższe stosunki, i ta kobieta podała jej nierozsądny projekt niejechania do krewnych ojczyma do Szkocyi, lecz pozostania w Londynie. Bohaterce naszej uśmiechnęła się myśl swobody i niezależności, i przystała na wszystko.

Tymczasem Dawid Credgy otrzymawszy list z Indyj przybył do Londynu i oczekiwał tam przyjazdu Loli, ażeby ją za-

brać do siebie. Wierna jednak postanowieniu Lola, przy pierwszym widzeniu się z nim stanowczo mu odmówiła. Dawid Credgy z początku starał się przekonać i uprosić młodą kuzynkę, ale widząc że tym sposobem nie zwalczy silnej woli naszej bohaterki, postanowił gwałtem ją zmusić do zadosyć uczynienia życzeniu jego i ojczyma. Ten zamiar jeszcze silniej zbuntował Lolę i uporczywiej jeszcze zaczęła się opierać żądaniom kuzyna. „Jeśli pan chcesz koniecznie wracać do swego nudnego miasta, — powiedziała mu nareszcie, — to nie chciój robić sobie subjekeyi dla mnie; nie mam prawa zatrzymywać, jedź pan, ale bez *młodziutkiej wdówki*.“ Wyczerpawszy napróżno wszystkie środki, Dawid Credgy powrócił sam do domu, i odtąd Lola została samowładną panią swego losu.

Pozostawszy w Londynie bez krewnych, przyjaciół i znajomych, wesoło przepędziła tam rok cały, i wyczerpała przez ten czas cały swój zapas pieniężny, złożony z tysiąca funtów sterlingów, które dał jej ojczym na drogę, i z kosztowności przywiezionych z Indyj, które kosztowały niewiele jak pięć do sześciu tysięcy dolarów. Zmuszona do ograniczenia wydatków, Lola Montez zajęła wspólne mieszkanie, z pewną nader ukształconą kobietą, nazwiskiem Fanny Kelly, która namówiła ją do wejścia na scenę. Było to rzeczywiście jedynym środkiem utrzymania, jaki przedstawiał się kobiecie nie chcącej zstąpić na bezdroża, a pozostawionej bez materyjalnej pomocy ze strony matki i rodziny. Niedokładna znajomość języka angielskiego była stanowczą przeszkodą dla Loli do wstąpienia na scenę dramatyczną, i dlatego, za radą mistriss Kelly postanowiła wstąpić do baletu. W tym celu przyjęła nauczyciela tańca, hiszpana, i przez cztery miesiące pilnie oddawała się nauce tańca. Następnie na czas krótki udała się do Hiszpanii, w celu zobaczenia się z rodziną Montalvo, a potem powróciła do Londynu i wstąpiła do teatru Jéj Królewskiej Mości (Her Majesty's Theaters.)

Skoro tylko wiadomość o tém doszła do Indyj, matka Loli przywdziała żalobę i rozesłała do wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych bilety zawiadamiające o śmierci swej córki.

Od téj chwili uparta i okrutna kobieta, bez względu na to, że jej własna młodość nie upłynęła bez zarzutu, już więcej nie chciała ani widzieć się, ani korespondować z Lolą.

Pierwszy debiut młodej tancerki był nader szczęśliwym; niedługo jednak bawiła ona w Londynie, wkrótce bowiem z przyczyny jakichś pieniężnych okoliczności zmuszoną była zerwać kontrakt z dyrekcją królewskiego teatru. W skutek tego wyjechała z Anglii i udała się na ląd stały. Niezadługo potem zaproszono Lolę Montez na gościnne wystąpienia do królewskiego teatru w Dreźnie.

Pierwsze jej ukazanie się w stolicy Saskiej, przypadło równocześnie z koncertami Franciszka Liszta. Oboje zrobili *furor*, z tą tylko różnicą, że Liszt zachwycił kobiety, a płeć męska na wyścigi składała hołdy Loli Montez. Nawet rodzina królewska zwróciła na nią uwagę, i król wraz z królową, rodzoną siostrą króla bawarskiego i królowej pruskiej, zaprosili Lolę na wystąpienia w ich letniej rezydencji.

Nareszcie Lola opuściła Drezno, zaszczycona listem rekomendacyjnym królowej do siostry, królowej pruskiej, i udała się do Berlina. List ten wiele dopomógł do powodzenia Loli w stolicy Pruss. W Berlinie nadzwyczaj spodobała się królowej i zaproszoną została do baletu dworskiego, gdzie miało miejsce małe lecz znaczące zdarzenie, że względu na etykietę dworską, nie jedyne w życiu naszej bohaterki. W czasie wystąpienia Lola uczuła pragnienie, oświadczono jej jednak, że etykieta dworska nie pozwala artystom jeść ani pić, w obec rodziny królewskiej. Na to odpowiedziała tancerka, że jej dokucza pragnienie, tak dalece, że nie może wcale tańczyć. Zawiadomiono o tém króla, który kazawszy sobie przynieść wody, poniosł ją do ust i następnie oddał Loli, zbawiając zarazem od przekroczenia przepisy dworskiej etykiety, i dogadzając najsluszniejszemu w świecie życzeniu tancerki.

Królowa pruska najgorliwiej opiekowała się Lolą i często zapraszała ją do dworu. Opieka ta doszła wreszcie do tego, że proponowała bohaterce naszej wejście w związki małżeńskie z jednym z dworskich urzędników. Jednak tryumfy

sceniczne tak wielki wywarły wpływ na Lolę, że naówczas nie pomyślała wcale ani o dostatkach, ani o wyższym stanowisku towarzyskiem. Przytém była prawie zaręczoną z księciem S***, który zbiegiem okoliczności zmuszony był udać się do południowej Europy, i przesyłając telegrafem tklliwe słówka i uściski swojej narzeczonej do Berlina, równocześnie podróżował incognito z jakąś głośną primadonną. Wieść o takim postępowaniu wkrótce doszła do Loli, i po powrocie księcia do Berlina tancerka odmówiła mu swęj rękę z zasłużoną pogardą.

Nie trzeba zwracać uwagi z tej okoliczności, że od chwili wyjazdu z Londynu, Lola ciągle znajdowała się w kółkach dyplomatycznych i przebywała w najdrobniejszym towarzystwie Saksonii i Pruss.

Następnie, opuściwszy Berlin, Lola udała się do Warszawy.

Dnia 21 października 1843 roku po raz pierwszy wystąpiła na scenie teatru wielkiego, w przerwie przedstawienia Cyrulika Sewilskiego i odtanńczyła Maurytańsko-hiszpański taniec El-Olano. Wielu z pomiędzy mieszkańców naszego miasta ma jeszcze zapewne w żywej pamięci tancerkę, która odrazu umiała podbić publiczność, obudziła zawiść współzawodniczek, naraziła się na prześladowanie ich protektorów, i z walki całej wyszła zwycięzko, oklaskana najzapaleńszymi brawami, ubóstwiona najwyszukańszymi zwrotami stylu naszych dziennikarzy ówczesnych.

Oto jak się odzywa jeden z nich, słusznie naówczas największej używający wziętości:

„Lola Montez jest tancerką narodową i natchnioną świętym ogniem narodowości. Ona tańcem wyraża walkę uczuć, jak artysta dramatyczny słowem grzmieciem, ale nie tańcem à la Fanny Elslér, à la Grisi, lecz tańcem jakiego jeszcze nie widzieliśmy, tańcem czysto-hiszpańskim, tańcem który w niej znalazł najrozkoszniejszego, najprawdziwszego tłumacza, i który dlatego nazwiemy tańcem à la Lola Montez.

„Zaiste trudno tu nam zdać sprawę z wrażeń wzbudzonych zarówno tańcem jak i wzorowem wykonaniem. Taniec, jak wszystkie hiszpańskie narodowe tańce, zaczynając od bolera do kaczuczy, maluje myśl ludu smętną lub żywą, namiętną lub poważną, wesołą lub rzewną; do wykonania należy jak najwyraźniej, jak najdobitniej wyrazić tę myśl. Taniec uderzył nas nie tylko swoją charakterystyczną stroną, ale i pewnym stopniem oryginalności, której dotąd nie było w żadnych widzianych tu tańcach narodowych hiszpańskich. Wykonanie zziściło wszystkie nasze oczekiwania, odpowiedziało wszystkim wymaganiom rodzaju i natury tańca. Lola Montez hiszpanka, czuje, pojmuje, rozumie co tańczy. Na jej twarzy maluje się wszystko, i miłość, i rozpacz, i obawa, i trwoga, i radość. Lola Montez odgadła tajemnicę tego tańca: ona wytańczy cierpienie, żal, swobodę, ona wytańczy, ona wyrazi każde uczucie.

„Ledwie zadzwoni w jej rękę kastaniet, ledwie zabrzmi muzyka narodowa, która tysiąc razy obija się o lasy i góry Andaluzji, natchnienie wstępuje w tancerkę, zapalem promienieje jej twarz, a namiętnością, życiem i energią drga cała postać. Lola Montez tańczy, — łamie i wygina swą postać w najrozkoszniejsze postawy, ale nigdy nieprzekracza granicy, poza którą nie rozkosz już, lecz lubieżność. Lola Montez pieści oko, zachwyca zmysły, chociaż nie skacze, nie kręci się na jednej nodze. Taniec jej nie w mechanizmie nóg, nie w szybkich zwrotach i skokach, nie w estetycznych attitudach, ale w potędze czucia spoczywa. Otóż te wszystkie cechy znajdziecie w Lolę Montez oglądzone zetknięciem się ze sztuką. Bo Lola Montez tancerka natchnienia nie pogardziła sztuką; sztuka złączyła się z naturą i nie osłabiając jej dzielności i energii, a cywilizując szorstkość, nowego jeszcze dodaje wdzięku, nowych pojęć, nowego bogactwa i tak już wielkim przymiotom tancerki.

„Lola Montez taniec narodowy hiszpański uosobiła, że tak powiemy, w sobie. Wszystkie jego piękności odkryła, uczyniła zrozumiałymi, dotykalnemi dla wszystkich i bez wahania możemy tu o niej powiedzieć: Oto tancerka duszy i serca.

„Lecz to niewszystko. Jak nie powiedzieć, że Lola Montez ma lat osiemnaście, oczy niebieskie, kibić wysmukłą, włosy krucze. Jak nie powiedzieć, że powaby, że piękność złączyły się tu z talentem i utworzyły całość uroczą. Jak zapomnieć choć na chwilę, że ta nadobna tancerka, która nas rozkoszą napawa, jest córką zalotnej Sewilli, że przestrzeń ogromna różnych krajów, różnych narodów, rozdziela ją z jej rodzinnem gniazdem, i że sama, sama jedna, odważna i śmiała przebiega lądy i morza. Jak zapomnieć nakoniec, że Lola Montez jest samą na świecie, bo ojciec jej nie żyje, a matka ojczyzna zadaleko, by ją zasłaniać mogła opiekunchem ramieniem.

„Taką jest Lola Montez, żywy obraz igraszki losu, na którego falach, życia artystki, życie wrażeń, tak świetnie dla siebie przebiega.....“

Tak pisał wówczas jeden z dziennikarzy tutejszych, a wiedać zdało mu się, że niedość jeszcze ognia i zapалу wlał w obszerny artykuł, bo po drugim wystąpieniu Loli znów się odzywa:

„Lola Montez tańczyła raz drugi; to samo zajęcie, taż sama chęć widzenia pięknej córki Hiszpanii w jej narodowym tańcu, wiodła tę liczną publiczność, która cisnęła się na wszystkich miejscach teatru; ten sam zapal wzbudzony jej wdziękiem, wywołany grą całej postaci, kierował oklaskami, które bezprzestannie jej krokom towarzyszyły. Przed tą potężną, pełną życia i siły naturą zbladły wyrachowane uśmiechy, wyuczone pozy, które mogą zaledwie niekiedy zadziwić, ale nie potrafią dość silnie zająć, dość mocno wzruszyć wyobraźni.....“

„..... Lola Montez tańczyła z natchnieniem; każdy jej ruch pokazywał, że ten taniec jest jej duszą, w każdym spojrzeniu znać było ogień tego zapalu, który budziła pamięć na oddaloną ojczyznę. Czy w drobnym walcu okrążała scenę, czy w dumnym chodzie postępowała ku widzom, czy klęcząc przegięta rzucała w górę spojrzenia, zawsze widać w niej było to przyjęcie się duchem tańca, tę siłę, to uczucie, którego potęgę my dzieci chłodnej krainy tylko oceniać możemy.

„Długo, długo jeszcze po niej słyszeć będziemy brzęk kastanietów, ale nie ujrzymy tego uśmiechu, tego spojrzenia, tego wdzięku. Długo widząc bolero będziemy wspominali czy tak je tańczyła Lola Montez, a wówczas kto potrafi choć częściej jej wdzięku, chociaż na chwilę skupić w tym uroczym tańcu, samem przypomnieniem nam Loli Montez wzbudzi znowu to uniesienie, które nadobny jej taniec dziś w nas wywołać potrafił,“ i t. d. (Gaz. Warsz. 1843 r. Nr. 281 i 285).

W listopadzie wyjechała z naszego miasta, w którym jej pobyt nadługo się upamiętnił, i udała się do Petersburga. Tam mniej więcej powtórzyła się taż sama historia, powstały stronnictwa, tak dalece, że świeżym jeszcze podaniom o jej pobycie w tej stolicy nie chcą wierzyć ci, którzy tego przyjęcia nie byli świadkami.

Z Petersburga Lola Montez udała się do Paryża, i tam zabrała znajomość z byłym wydawcą dziennika *Presse*, panem Dujarrier. Dziennikarz ten był jednym z przywódców stronnictwa liberalnego. Był to człowiek młody, obdarzony niezwykłą inteligencją i talentem, szanowany przez wszystkich, którzy go znali, prócz zaślepionych przeciwników politycznych, mniej bowiem namiętni oddawali mu sprawiedliwość. Dla wstecznych stronnictw nieubłagane pióro Dujarriera było nie małym postrachem. Po zawiązaniu stosunków z Lolą, młody dziennikarz poświęcał jej wszystkie chwile, wolne od zajęć redakcyjnych i literackich.

Stosunek z młodym, oddychającym polityką człowiekiem, rozwinął w Loli jeszcze większą namiętność do polityki. Tym sposobem stała się ona jedną z najnamiętniejszych zwolenniczek wyobrażeń liberalnych. Obeznała się szczegółowo ze stanem interesów politycznych wszystkich państw europejskich, bezustannie zajmowała się wypadkami politycznymi, i badała wszystkie przejawy dyplomacji. Wielokrotnie ubolewała, że się nieurodziła mężczyzną, i narzekała na zbyt ograniczony zakres działalności towarzyskiej kobiet.

Rozmowy i spory polityczne młodego dziennikarza z młodą i namiętną tancerką, sprowadziły łatwy do przewidzenia

skutek. Za wspólnością idei politycznych, poszła wspólność uczuć, i dwa serca zapaliły się gorącą miłością, czerpiącą źródło w wzajemnym szacunku. Dujarrier zażądał jej ręki i Lola chętnie zgodziła się na to. Miało to miejsce w jesieni, na wiosnę zaś oznaczonym był dzień ślubu. Po ślubie młodzi małżonkowie mieli zamiar odbyć podróż po Hiszpanii, w towarzystwie Aleksandra Dumas i znanego poety Méry. Opatrzność jednak zrzuciła inaczej.

Stronnictwa wsteczne i klerykalne, najbardziej nieprzyjazne Dujarrierowi, i obawiające się go bardziej, niż innych liberalnych, pomiędzy którymi był nieledwie najmłodszym, postanowiły naprowadzić go na śmierć, ażeby tylko uwolnić się od niebezpiecznego wroga. Narzuciły nań jednego ze swoich stronników, Beauvallon'a, który należał do najlepiej strzelających w Paryżu, i sprowadziwszy umyślnie kłótnię wyzwał go na pojedynek.

W dniu spotkania rano, Dujarrier napisał do Loli Montez list pełen wyrazów najszczerzej miłości i przywiązania.

„Najdroższa moja, — pisał do niej, — jadę się strzelać na pistolety. Ta okoliczność dostatecznie objaśni, dlaczego nie mogłem odwiedzić cię dziś z rana.

„W tej krytycznej chwili życia potrzebuję zupełnego spokoju ducha. Za dwie godziny wszystko.... i wszystko może... będzie już skończone. Przesyłam ci tysiąc uścisków, droga Lolu, cudowna przyszła żoneczko moja, ukochana całą moją miłością, przytomna nieustannie mym marzeniom.“

Pojedynek miał miejsce w lasku bułońskim; — Dujarrier padł na miejscu.

Otrzymaawszy kartkę Dujarriera, Lola Montez natychmiast pospieszyła do niego do domu, i użyła wszelkich starań, ażeby się dowiedzieć o miejscu spotkania. Była wtedy w kwiecie życia, w rozwoju najzdrowszej młodości. Wiedząc, że ję narzeczony nie umiał strzelać do celu, i że Beauvallon strzelał znakomicie, Lola Montez szukała miejsca pojedynku, ażeby w spotkaniu wyręczyć Dujarriera. Ówczesne dzienniki paryżkie twierdziły, że gdyby przyszło do tego, Beauvallon zapewne

uległby losowi, który spotkał jego przeciwnika. Poprzednio jeszcze Aleksander Dumas, dowiedziawszy się o pojedynku, przysłał do Dujarriera syna swego, dziś głośnego romansopisarza, ażeby poduczył Dujarriera strzelać do celu i przygotował go do pojedynku. Młody Dumas strzelał bowiem równie znakomicie jak Beauvallon, i trafiał po kilka razy z rzędu w jabłko z dosyć znacznej odległości.

Prawdziwie mężka energia i niezwykła moc charakteru skłoniły Lolę do śmiałego zamiaru zastąpienia przyszłego małżonka, — jednak już było zapóźno. Zdażyła tylko przyjąć w swoje objęcia z powozu, martwe lecz ciepłe jeszcze zwłoki narzeczonego, i z rzadką przytomnością umysłu, pod ciężarem niezmierzonej boleści, w niemój rozpacz, zajęła się z przyjaciółmi poległego, koniecznymi przygotowaniami do pogrzebu.

Beauvallon'a aresztowano i oddano pod sąd, jako oskarżonego o zabójstwo, wiadomo bowiem było, że pojedynek był tylko formą i pozorem rzeczywistego morderstwa. W owych czasach spokojnych, kiedy jedynego żywiołu gazetom dostarczały parlamentarne spory, dość rzadkie zmiany ministrów i niesnaski stronnice, sprawa pojedynku stała się przedmiotem niezliczonych artykułów i sprawozdań. Treść posiedzeń sądu drukowały wszystkie dzienniki, czytała i rozbiierała cała publiczność. Ludzie, którzy pamiętają owe czasy, nie zapomnieli jeszcze zapewne owęj sprawy, gdzie między świadkami znajdowały się dwie z pomiędzy najgłośniejszych ówczesnych osobistości: Aleksander Dumas i Lola Montez.

Dumas na zwykłe w instrukcyi indagacyjnej zapytanie czem się zajmuje, dał następną charakterystyczną odpowiedź sądowi, zasiadającemu w Rouen, gdzie sądzono sprawę pojedynku: „Powinienbym powiedzieć, że jestem autorem dramatycznym, gdyby nie to, że znajduję się w mieście rodzinnem wielkiego Kornela.“ Ta odpowiedź zrobiła wielkie wrażenie na obecnych, ponieważ Rouen, uważanem jest za rodzinne miasto obu Kornelów, których pamięć czezą wszyscy mieszkańcy tego miasta.

Co do odpowiedzi Loli Montez, ówczesne pisma paryżkie między wielo innemi ogłosiły następującą wiadomość: „Donna Lola Montez w zeznaniu swoim mówiła z zapałem o najpiękniejszych przymiotach nieboszczyka Dujarrier. Oświadczyła, że żądała, ażeby Dujarrier zaprowadził ją na pewien obiad, na którym miał znajdować się de Beauvallon, ale ję narzeczony odmówił ję tego stanowczo. List Dujarriera odebrała po powrocie z próby teatralnej i natychmiast przedsięwzięła środki zapobiegające pojedynkowi, jednak było już zbyt późno. Strzelam daleko lepiej od Dujarriera, powiedziała w zeznaniu, i jeżeli p. Beauvallon koniecznie żądał zadostę uczynienia, gotowa byłam sama wystąpić przeciw niemu.“

Lola Montez, — jak dodawały ówczesne pisma, — wzięła zwłoki poległego z powozu na ręce, i wrażenie, które na nią wywarła ta katastrofa, nie zatarło się do chwili składania zeznań sądowych. Te zeznania składała cała przejęta boleścią; widocznem było, że Dujarrier pałał głęboką dla niej miłością, tymbardziej, że prócz pożegnalnej kartki pozostawił po sobie testament, w którym zapisał Loli cały swój majątek. Majątek ten wynosił 500000 fr., jednak bohaterka nasza do tego stopnia była bezinteresowną i nieugiętą w swych przekonaniach, że wcale nie korzystała z tego spadku, i rzekła się go na korzyść prawnych spadkobierców. Sam ten postępek jest dostateczną odpowiedzią dla licznych przeciwników Loli, wymownie bowiem świadczy o wzniosłości i szlachetności uczuć kobiety, którą złośliwie oczernić usiłowali ludzie, uważający wszelki datek za szczęście, gotowi na wszelkie poniżenie dla pieniężnego zysku. Gdyby Lola Montez rzeczywiście była tak niemoralną i rozpustną, jak ją przedstawiły stronnictwa klerykalne, konserwatysty niemieccy i jezuici, to w ciągu życia doszłaby niezawodnie do znakomitego majątku, posiadała bowiem i wdzięki i niezwykle dzielność umysłu. Tymczasem po późniejszym wygnaniu z Bawaryi znajdowała się w najprzykrzejszych okolicznościach materialnych, a w czasie pierwszego pobytu w Londynie była już prawie bez grosza, i dlatego musiała wstąpić do baletu, gdyż inaczej

oczekiwała ją nędza. Po śmierci okrzyczanej jako awanturница Loli, pozostało tylko 300 dolarów gotowizny, stanowiącej cały ję majątek, i tę pozostałość zapisała szpitalowi Maryi Magdaleny w New-Yorku. Z drugiej strony prześladowanie samo, jakiego doznawała od jezuitów, potwarze które na nią rozgłaszano, gdzie tylko było można, jawnie dowodzą, że Lola nie należała do tych nieszczęsnych istot, oddanych występku rozpusty, których społeczność nie uznaje nawet godnymi ścigania i kary.

Po tragicznej śmierci narzeczonego, bohaterka nasza opuściła Paryż, aby się oddalić od miejsc przypominających ję niczem niewynagrodzoną stratę.

Przyjechawszy do Bawaryi, otrzymała pozwolenie wystąpienia na scenie monachijskiego teatru. Piękność, szlachetność obejsia, wysoko rozwinięty rozum polityczny szczęśliwej tancerki, zwróciły na nią uwagę króla bawarskiego Ludwika, sławnego z wykształcenia, wysokiej inteligencji i liberalnych dążeń. Oryginalność, moc charakteru i dzielność umysłu Loli, własny, zupełnie nowy ję pogląd na politykę, wypowiedziany z niezwykłą odwagą i szczerością wszędzie gdziekolwiek się znajdowała, spodobały się rozsądnemu królowi tak dalece, że nie tylko zaszczycał ją częstemi rozmowami o sprawach politycznych Europy, ale nawet do tego stopnia uwzględnił ję zdania i idee, że starał się wprowadzić je w życie w swym państwie. Było to w sprzeczności z istniejącym stanem rzeczy, albowiem jeszcze wypadki z 1830 roku wprowadzając jezuitów na czoło rządu w Bawaryi, stworzyły silne stronnictwo, starające się przedewszystkiem utrzymać dawny bieg rzeczy.

Od chwili przybycia Loli Montez do Bawaryi, zaczęła się epoka zupełnego przewrotu w systemacie rządowym tęj krajiny. Ministerium stojące już na czele rządu przez ćwierć wieku, i czerpiące prawie z tradycyi swoje siłę, zastąpione zostało przez gabinet nowy, złożony z ludzi znanych z liberalnych dążeń. Do izb dopuszczono przedstawców wszystkich stanów. Równocześnie z reformami, król zaszczycił Lolę w sposób

bezprzykładny przedtem w Bawaryi. Obdarzył ją szlachectwem i podarował jej zamek, od którego przybrała nazwisko hrabiny Landsfeld. Zamek ten i dobra przynosiły szczęśliwej ulubienicy królewskiej 70000 flor. (ok. 240000 złp.) rocznie.

Czy te wszystkie względy i dary ściągnęły na Lolę Montez tylko jej oryginalny charakter, tylko jej dzielność umysłowa, tylko jej przymioty wewnętrzne? Czy ogień czarnego oka i namietny żar krwi południowej nie miał w tém żadnego udziału? Czy król nie uległ moralnemu wpływowi dopiero gdy został zelektryzowany materyalnie? Nie wiemy.... i tym razem przyznaję się, że wątpimy. Ale te same stronnictwa, wyznawcy tych samych zasad, w imię których potępić za to zechcą bohaterkę naszą, niech nam powiedzą czy w innéj epoce nie bili czołem przed ulubienicami królów, czy wreszcie za innych czasów była faworyta, któraby z łask królewskich tak bezinteresownie, z takim zaniedbaniem siebie, z taką potęgą własnej tylko woli, korzystać chciała i umiała?

Bo nie na zaszczytach i tysiącach florenów dochodu kończy się rola polityczna Loli w Bawaryi, i stosunek jej z królem Ludwikiem.

Konserwatyści i klerykalni przypisali jej wpływowi wszystkie reformy i zmiany, na które patrzyli niechętnie, i dlatego wzbudzili przeciwko niej nie tylko szlachtę Bawarską, ale całe Niemcy. Jezuici stracili naówczas całe znaczenie, Austria zaś nie mogła już nadal wywierać na Bawaryę swego cofającego wpływu, — to było dostatecznym powodem do knozań przeciw hrabinie Landsfeld. Ażeby przypodobać się królowi i jakkolwiek pogodzić ulubienicę jego z podburzonym przeciwko niej krajem, jeden z panów bawarskich, ofiarował jej swoją szlachetną rękę i próżne serce, wytrawny zaś dyplomata austriacki książę Metternich, widząc w niej niebezpiecznego współzawodnika, obiecywał jej milion, i żądał tylko aby opuściła Bawaryę. Lecz bohaterka nasza odrzuciła obie propozycje.

Naówczas zaczęto jej grozić, lecz i groźby nie miały wpływu na tę kobietę energiczną i obdarzoną prawdziwie

męzkim charakterem. Arystokracja bawarska przedtem była tak dalece silną, że rzemieślnicy nieodbierający należności za wykonane dla niej roboty, nie mogli znaleźć sądu i sprawiedliwości, albowiem wszystkie urzędy administracyjne i sądowe zajmowała nad miarę obdłużona szlachta. Taki stan rzeczy i inne nadużycia administracji bawarskiej, wskazały konieczność, za przyjęciem liberalnego kierunku, wprowadzenia kodeksu Napoleona do Bawaryi. Wieść o tym zamiarze przerażała jezuitów i zastałe stronnictwa, i wywołała ostatecznie najwyższe ich niezadowolenie. Ponieważ nie nie mogło skłonić Loli Montez, której największą część złego przypisywali, do opuszczenia Bawaryi, widząc bezsilność przedsięwziętych środków względem kobiety, opierającej się równie dzielnie i stanowczo pochlebstwom, przekupstwu i groźbom, jezuiti i wstępczni, popierani przez Austrię, za swoje i austriackie pieniądze potrafili zebrać tłum ostatniej klasy ludu, liczący do 10000 ludzi i skłonić go do odbycia gwałtownej demonstracji przeciw wpływowej a nieugiętej kobiecie. Tłum ten z okrzykami i bronią otoczył zamek hrabiny Landsfeld, domagając się jej śmierci.

Niezachwiane męstwo energicznej Loli Montez, uczucie własnej godności i niewinności, zajaśniały w téj krytycznej chwili jej życia wspaniałym, nawet dla nieprzyjaciół, blaskiem. Postąpiła ona prawdziwie po bohatersku, nie bacząc bowiem na przestrogi przyjaciół, ukazała się na balkonie, chcąc przemówić do tłumu. Sto łuf skierowano ku niej z pośród upojonego i rozwścieczonego zbiegowiska. Nieprzerażona tem zaczęła mówić, przyjaźni jej jednak domownicy, wybawiając ją od nieuchybnej śmierci, przerwali jej mowę i wciągnęli do pokoju. Pijany stek ludu postanowił podpalić zamek. Aby ocalić Lolę, przebrano ją za wieśniaczkę, i skłoniono do jak najszybszej ucieczki z Bawaryi. Było to w lutym, i w zimnej porze musiała przejść piechotą siedem mil, nim się dostała w granice ojczyzny Wilhelma Tella. Razem z jej ucieczką upadła w Bawaryi przewaga liberalnego stronnictwa, pragnącego wprowadzić w tym kraju rząd konstytucyjny.

Zawziętym jezuitom niedosyć było wygnania Loli z Bawaryi. Prześladowali ją oni wszędzie, gdziekolwiek się udała, powietrze każdej krainy już dla niej zatrute było hańbiącymi wieściami, które ją poprzedzały. Ścigali ją bez litości i przerwy, nawet wtedy jeszcze, gdy już dziesięć lat upłynęło od chwili wypadków zaszłych w Bawaryi. Nienawiść stronnictw, które takimi posiłkują się środkami, nie zna końca, nie zna granic. Tę nienawiści stronnictw przeciwko bohaterce naszej winniśmy wiele jej biografij, oskarżających ją o najbrudniejsze życie, o najbrzydsze awantury.

Z Szwajcarji Lola Montez udała się do Londynu w marcu 1848 r., a w r. 1849 rozpuszczono wieść, że wyszła za mąż za kapitana Hilda. Konserwatywne i klerykalne pisma niemieckie najusilniej starały się rozpowszechnić tę wieść fałszywą, upstrzoną dodatkami, twierdzącami jakoby Lola Montez podróżowała z tym nowym mężem po Hiszpanii i dzikością swoich fantazyj i kaprysów przywiodła go wkrótce do tego, że ją opuścił. Ówczesne już pisma angielskie odpierały tę wieść jako bezzasadną, i rzeczywiście nie znajdujemy nigdzie wiarogodnych dowodów tego faktu.

Jest owszem niezawodne, że do roku 1853 przebywała w Paryżu, gdzie przyjmowała w swym domu najgłówniejszych reprezentantów literatury francuskiej, oraz czasowo przebywające w tem mieście znakomitości literackie Ameryki.

W ogólności, opowiadano i spisywano tyle przesadnych i niedorzecznych anegdot o Loli Montez, że gdyby przyszło zebrać wszystkie te baśnie, szczerą ręką rozsypane po niemieckich i amerykańskich pismach, powstałby foliant znakomitego rozmiaru. Dziś, gdy już zeszła z tego świata, należy oddać zupełną sprawiedliwość najpiękniejszym jej zdolnościom, wysoko rozwiniętemu umysłowi, wolnemu od wszelkich przesądów, i zbyt może śmiało, w obec sądu powszednich ludzi, przeciwko nim walczącemu. Powtarzamy, że gdyby nawet Lola Montez była rzeczywiście kobietą niemoralną i handlującą swemi wdziękami, byłaby najbogatszą z podobnych kobiet na świecie. Tymczasem niepodobna nie uznać, że zawsze nad

interes osobisty stawiała korzyść ogólną, i sama siebie oddawała na ofiarę swoim szlachetnym zasadom. Co do działalności towarzyskiej, zajmowała ona znakomitą pozycję w Niemczech i Bawaryi, aż do chwili ucieczki z tej ostatniej; prócz tego miała agentów w różnych państwach europejskich i za ich pośrednictwem nabierała najlepszego pojęcia o polityce europejskiej, tak dalece że dyplomaci nawet uznawali jej powagę, a sławny Metternich obawiał się jej. Umiała zachować tajemnicę, rady zaś jej wszędzie i zawsze były pożyteczne, dzięki jej własnemu, nie krzywionemu osobistymi widokami zapatrywaniu się na rzeczy. To też nikt nie powie, żeby wpływ jaki wywierać mogła obracała na złe, jak to zwykle robią samolubne i chciwe kobiety, którym wdzięki i przebiegłość pozwolą zbyt rozszerzyć sferę działalności towarzyskiej. Czyż w obec tego wszystkiego, z sumienną szczerością potępi kto Lolę, uznając w niej tylko próżną kobietę i gorszącą awanturnicę? Rozumie się, że nie pytamy się tu o zdanie ludzi, którzy na prawidła moralności, na szlachetność, patrzą z własnego punktu widzenia, najodpowiedniejszego ich osobistym widokom, ani też krótkowidzów, którzy raz przeczytawszy anegdotę gorszącą, a nawet pozbawioną dowcipu, już potem w obronę potępionego zaocznie człowieka za nic w świecie nie uwierzą.

W piśmie prawnym amerykańskim *American Law Journal* ukazała się w roku 1848 najpoważniejsza obrona Loli Montez. Jeden ze znakomitych prawników, były główny sędzia w Filadelfii, w obszernym artykule rozbiera śledztwo prowadzone w skutek pojedynku Dujarriera, i zastanawia się nad pewnemi szczegółowościami francuskiego prawa karnego. W ciągu artykułu, poświęca autor kilka kart na opowiadanie o życiu Loli Montez po śmierci Dujarriera, i o jej pobycie w Bawaryi. Artykuł ten napisany został wkrótce po wypadkach, które zmusiły Lolę do opuszczenia Bawaryi, wyszedł zaś na trzy lata przed przyjazdem bohaterki naszej do Ameryki.

To też sumienny biograf Loli, ma prawo i obowiązek powołać się na tak bezstronną powagę, jak sąd tego artykułu,

wolny od wszelkich wpływów i intryg klerykalnego stronnictwa. Szlachetny prawnik wolnej krainy, oddał zupełną sprawiedliwość pięknym przymiotom, dzielności umysłu i towarzyskiej działalności bohaterki naszej, której Europa nie umiała ocenić równie bezstronnie i słusznie.

W obec takiego autorytetu czy podobna uwierzyć jednej turystce angielskiej, której opowiadania wydał w Londynie w trzech tomach p. Russel korespondent *Timesa*. Ta pani rozповіда szczegóły miemanego spotkania z Lolą, udającą się, jak mówi, do Kalifornii. W jednym z miast po drodze do złotej krainy, twierdzi że napotkała Lole, ubraną po męzku, z ostrogami u butów i pejczem w rękę, okrążoną towarzystwem męzkim, najbardziej podejrzanego charakteru. Jeden z tych jegomości, zbyt dobrze niby znający dwuznaczną reputacją naszej bohaterki miał publicznie objąć ją wpół, i zato, według słów pani S* otrzymał tak silne uderzenie pejczem w twarz, że na długo będzie nosił niezatarte ślady gniewu Loli Montez. W ogóle ten sławny pejcz, nietylko w anegdotach angielskiej turystki działa w rękę Loli Montez. Według innych równie życzliwych podań, awanturnicza tancerka, już i w Europie niejednemu pozwoliła go doświadczyć i zapamiętać. Gdyby nawet tak doraźne wyroki swoje wykonywała kiedy Lola, to nam tylko żal tych, którzy jej powód do tego dawali.

Skromna turystka angielska nie doczekała końca tej sceny, która jej policzek szkarłatnym powlekła rumieńcem, a Lola Montez nazajutrz miała opuścić miasto, w którym to zdarzenie miało miejsce.

Całe jednak to opowiadanie jest najwierutniejszym kłamstwem. Angielska turystka odnosi je do r. 1851, gdy tymczasem Lola Montez przybiła do brzegów Ameryki na jednym okręcie z Kossutem i udała się do Kalifornii dopiero w roku 1853.

Po powrocie z Kalifornii do New-Yorku mieszała w tym mieście z wielkiem powodzeniem odczyty publiczne: *O sławnych pięknościach, o załotności, o kobietach historycznych,*

o religii katolickiej i t. p. W tych odczytach wykazała nader wiele odczytania i daru spostrzegawczego, którego nabyła w tak długich i rozmaitych podróżach.

Ażeby dać choć małe wyobrażenie o tych odczytach, przytoczymy tu niektóre miejsca, dowolnie wybrane. Tak naprzykład określając piękność Lola Montez mówi: „Niepodobna dokładnie zdefiniować piękności. To co w Paryżu jest przesłizcznem, w Konstantynopolu jest brzydkim i odwrotnie, co uważamy za niekształtne w New-Yorku, to może być uznaniem za piękne w Pekinie. W Chinach czarne zęby, malowane powieki, wyrwane brwi uważają za wdzięki, a jeżeli kobieta ma nogę tak wielką, że może się na nią utrzymać, to jest najurodziwszą w oczach chińczyka. Włosy są największą ozdobą kobiety, kolor ich jednakże jest przedmiotem ciągłego sporu. Jak mniemam, większa część ludzi z odrazą patrzy na włosy rude, a jednak za panowania w Anglii królowej Elżbiety rude włosy były w modzie. Nawet Marya Stuart, mająca przesłizczne blond włosy, nosiła rudą perukę, składając hołd rudą Elżbiecie i dziwacznej modzie.

„Znakomita w starożytności piękność Kleopatra była ruda, damy zaś niemieckie dotychczas farbują włosy, tak ażeby wpadały w kolor złotawy.

„W ogólności więc zdefiniować piękność jest nader trudno; każdy zakochany mężczyzna ma o niej indywidualne pojęcie. Niejeden dziki marzy zapewne w snach swoich o usteczkach grubych na dwa cale, chińczyk za to duma o ledwie dostrzedz się dającym otworze ust. Na Kaukazie nos prosty jest warunkiem piękności, a w Tybecie uważa się za piękność kobieta, która ma nos najbardziej spłaszczony, twarz miedzianą, i wąskie oczy o pięć cali odległe od siebie. Kanowa nim wyrzeźbił posąg Wenery odmienił sześćdziesiąt modelek.

Dalaj Lola Montez mówi o wszystkich pięknościach jakie w różnych krajach spotykać jej się zdarzyło. Dochód z odczytów poświęcała na cele dobroczynne.

W końcu 1855 roku Lola Montez jeździła do Australii z niewielką truppą i występowała kilkakrotnie na scenie w Mel-

bourne na korzyść francuzów i anglików rannych pod Sewastopolem.

Przed kilkoma miesiącami, chorą już będąc, zamieszkała u pani Buchanan, małżonki byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, która była razem z nią na pensyi w Szkocyi. Stan jej zdrowia pogorszał się ciągle, mimo usiłowań najwziętszych doktorów, których do niej zwołano. Powolnie nikła, i przekonana, że wkrótce umrze, czas cały przepędzała na modlitwie. Lecz nie dopiero na łożu boleści, owszem na długo przedtem, stała się pobożną. Ostatni tydzień życia spędziła na rozmowach i rozmyślaniach religijnych, i szczerze żałowała przeszłych błędów, ubolewała nad straconem życiem. Po śmierci przyjaciela nie szczędzili kosztów na przyzwoity pogrzeb, dla tej z wielu względów znakomitej kobiety.

Na grobie postawiono skromny pomnik, i obok daty śmierci wyryto tylko pierwsze jej nazwisko: *Eliza Gilbert*.

PAN FIDELBERGER.

Komedyjka w trzech aktach ze śpiewkami.

OSOBY.

Ezel, bankier warszawski,

Judyta, córka jego.

Pan Fidelberger, buchalter.

Pan Felix Fripon.

Panna Eliza Grandecocquine, guwernantka Judyty.

Rozalia, jej pokojówka.

Lafleur, kamerdyner Ezela.

Lokaj.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w mieszkaniu bankiera Ezel.

AKT I.

Bogato przybrany salon, meble rococo, złożone, royal stoi niemal na samym środku pokoju, zamknięty. Okna salonu wychodzą na ogród, w środku drzwi prowadzące do tegoż, szczególnie w tej chwili przymknięte. Całą posadzkę pokrywa kosztowny dywan.

SCENA 1.

LAFLEUR.

(Ściera kurz z mebli i wielkimi krokami chodzi z kąta w kąt.)

A to kara boska z temi milionerami! życie ciężarem się staje, cały dzień męcz się, biegaj, turbuj, Bóg wie o co, jednym słowem, pracuj jak wół, chociażby ci głowa pękła, abyś tylko dogodził panom bogaczom i to za jakieś tam głupie kilkadziesiąt złotych pensyi na miesiąc. No, przyznać trzeba, że nie bardzo one i głupie, tem bardziej że na każdej danej na cokolwiek złotówce urwiesz kilka groszy, a czasami i całą schowasz do kieszeni. Dziś naprzykład pan mi powiada: „Lafleur!“ Notabene, tu się nazywam Lafleur, a we wsi gdzie się rodził wołano na mnie po prostu Kacper. Ale o tém długa historia; niemało już widziałem świata od tego czasu. Wracam do rzeczy (zatrzymując się na środku mówi rozkazującym tonem) „Lafleur, ty coś mi dzisiaj nie tak pachniesz jak zwykle, zapewne kupujesz kiepską kolońską wodę.“ Ja myślę, że kiepska kiedy ja sam ją fabrykuję, dolawszy do wody wiślanej nieco spirytusu, balsamu i soku cytrynowego z rozmaitemi ingredyencyami w dodatku, które mi nie kosztu-

ją, albowiem zabieram prawem kaduka, z szafki panny klu-
cznicy. Pieniądze zaś dane mi od pana na perfumy jako dba-
ły o rozchód wyrobów krajowych zanoszę Esteree za miód,
aż na Pragę. (Śpiewa.)

Nro 1.

Na co mi kolońska woda,
Kiedy na spacerze,
I bez tego mi dłoń poda
Każde dziewczę szczerze.
I nie dbając o wonności,
Czule oczkiem strzeli,
I z grzeczności (ciszej) czy miłości,
Miodek mój podzieli.
A przy szklance, przy kochance,
I pieniądze lecą;
Człek powraca, kieszeń maca,
A tam pustki świecą.
A gdy z złością pan mi powie:
Gdzie kolońska wódka?
Po dziesiąty raz się dowie,
Że ma pamiąg krótką.

(Słychać silnie trzykrotne dzwonięcie, Lafleur rzuca szczo-
kę; chce biedz w tę stronę, w tém drzwi się otwierają i
wchodzi bankier Ezel, mężczyzna lat 50 z dużym brzuchem,
łysą głową, fizyonomia zawsze uśmiechająca się, dobroduszną,
w téj chwili przyjęła wyraz srogi, gniewny, trzyma w jednéj
ręce zapalone cygaro, a w drugiej gazetę, wchodzi krzycząc).

SCENA 2.

LAFLEUR, — EZEL.

EZEL (z fukiem.)

Hultaju, łotrze, nikczemniku! zabić mnie, zamordować
chcesz swoim lenistwem, ośle dardanejski, czy ty nie wiesz,
że kiedy ja dzwonię to się ma znaczyć, że ty przylecieć po-
winienes (Lafleur chce coś odpowiedzieć, Ezel przeszkadza mu,
mówiąc wciąż dalej), milczeć, ani mru mru! (Słuchaj co ci
mówię. Ty galgan jesteś (wacha coś i mówi z coraz większą
zapalczywością). A to co? Tego jeszcze brakowało. Ty wcale
nie pachniesz niegodziwcze!

LAFLEUR (kłaniając się).

Ja, ja! wielmożny panie!

EZEL, (łagodniej nieco).

Wszak ja ci dałem pieniądze.

LAFLEUR (z nader niskim ukłonem).

Jaśnie wielmożny panie!

EZEL (udobruchany zupełnie, uśmiecha się).

Ach ty oszuście nad oszustami, pewno przepiłeś pieniądze.

LAFLEUR.

Przyznanie się do winy zmniejsza ją o połowę... Monsieur
le Baron, bądź wspaniałomyślnym dla twojego sługi.

EZEL.

No, daruję ci jeszcze ten raz, ale wiedz braciszku, że kie-
dyndziej nie ujdzie ci na sucho. Dziś pachnąć powinienś
jak flakonik od kolońskiej wódki, przywdziać rękawiczki białe
jak śnieg, frak ze świecącymi guzikami. Dziś święto w na-
szym domu, córka moja ukochana, jedynaczka, moja nieosza-
cowana Judyta, wraca z Paryża, gdzie wyuczyła się po fran-
cuzku mówić lepiej od rodowitych francuzów, sam zobaczysz.

LAFLEUR (na stronie).

Wolałbym nie patrzeć; otóż masz pociechę, czy cię lich-
nadało czy co? pięknie moja pensya brana za francuzki język,
którego boję się jak diabła, a pan mój myśli tymczasem, że
Francuz zabity i grube mi płaci pieniądze za francuzczyznę.
Bięda, bięda będzie z panienką.

EZEL.

Co ty tam mruczysz pod nosem?

LAFLEUR.

Cieszę się, że mi przyjdzie usługiwać córce pana ban-
kiera.

EZEL.

Pamiętaj, że zabraniam ci z nią mówić innym językiem
jak francuzkim. Raz chociaż pokaż, żeś wart czegoś.

LAFLEUR (na stronie).

Zginałem!

EZEL.

Razem z nią przybędzie guwernantka jej francuzka i po-
kójówka Rozalia.

LAFLEUR (na stronie).

Brakuje jeszcze guwernera francuza, a będę miał do czynienia z całą francuzką parafią; z pokojówką lepsza sprawa, jeśli młoda na miód ją zaproszę.

EZEL.

Co ty sobie tam bąkasz pod nosem, czy dowiem się nareszcie?

LAFLEUR.

Cheiałbym wystąpić z mową na przyjęcie panny Baronessy, i układam ją sobie na pamięć.

EZEL.

Masz rozum! kontent jestem z ciebie i jeżeli zaskarbisz sobie łaski u mojej córki, wynagrodzę cię sowicie i powiększę ci pensyą.

LAFLEUR.

Postaramy się (słychać za sceną turkot zajeżdżającego powozu, Lafleur wybiega i po chwili wchodzi anonsując głośno) Mr le baron! córka pańska przyjechała razem z matką i synem!

EZEL.

Co on plecie! zwaryował czy co?

SCENA 3.

Ciż sami, JUDYTA, GRANDE-COQUINE, FRIPON.

(Ezel biegnie na spotkanie córki z otwartymi objęciami, chcąc ją uściskać, to cofa się w tył z obrażoną miną).

JUDYTA.

Mon père c'est mauvais genre całować się w naszych czasach, teraz podaje się rękę po angielsku (podaje mu swoje).

GRANDE-COQUINE.

Oui, monsieur, obecnie taka moda.

LAFLEUR (na stronie).

Nie dodała tytułu, baron, dostanie za swoje ta sucha wierzba!

EZEL.

A to co znowu za brewerye, ojciec nie ma prawa pocałować swojej córki, ach wy poczwary!

LAFLEUR (na stronie).

Jak na pierwszy raz to dosyć. Biedny tatulo, nie wie, że we Francyi mają prawo całować się tylko sami kochankowie.

JUDYTA.

Ah quel horreur! nazwać nas poczwarami! O! ojciec okrutny! Ranisz serca nasze. Je me sens mal! Słabo mi. Wody, wody.

LAFLEUR (na stronie).

Lepiej wina!

FRIPON (przybiega z nadskakującą miną z flakonikiem wręku).

Czy pani pozwoli. Cela refraiche!

JUDYTA.

O merci, grand merci. Ojciec! zabileś swoje córkę!

EZEL.

Ja ciebie zabiłem, jam cię kiedyś nawet zabijał, jam cię nie tknął moje dziecko, co ty gadasz, zmiłuj się!

JUDYTA (patetycznym tonem).

To zabójcze słowo „poczwary!“ trucizną jest dla moich słabych nerwów. O! oszczędzaj mi mój ojciec, nazbyt czuła, nazbyt drażliwa jestem na te rzeczy.

FRIPON.

Mademoiselle qui est si nerveuse!

EZEL.

A ten co chce odemnie? Biednaż moja głowa!

FRIPON.

Monsieur le.....

LAFLEUR (na głos).

Baron!

FRIPON.

Monsieur le baron! Mam zaszczyt przedstawić się....

JUDYTA.

Hrabia Feliks Fripon, syn emigranta francuzkiego, urodzony w polsce.

LAFLEUR (na stronie).

Wygląda kubek w kubek jak paryzki perukarz odmalowany na szyldzie niedaleko ztąd.

EZEL (z przesadzoną grzecznością).

Panie hrabio, rad jestem poznać się z nim.

JUDYTA.

My obie (wskazując na guwernantkę) mocno jesteśmy obowiązane panu hrabiemu za świadczone nam grzeczności w czasie drogi. On wizował nasz paszport, wybierał najlepsze miejsca na kolejach i statkach parowych, czuwał nad bezpieczeństwem naszej osoby (deklamując) wyrwał nas z rąk rozbójników! (Po każdym frazesie Fripon kłania się nisko).

EZEL.

O mój Boże! wyście miały do czynienia z rozbójnikami, z prawdziwymi rozbójnikami, z nożami w rękę i pistoletami za pasem. I ty nie umarłaś ze strachu, i nie schowałaś się za krzaki?

JUDYTA.

Nie, zemdlałam tylko! a pan hrabia cucił mię z macierzyńską troskliwością (patetycznie) i w pół martwą unosił na łonie swoim, pod którym biło serce śmiertelną przejęte trwogą!..... O! nigdy mu nie zapomnę tego czynu bohaterkiego. Oto Ryszard łwie serce... czy czytałeś ten romans mój ojciec?...

EZEL.

Nie.... ależ to okropne! (wzruszonym głosem) Dziękuję panie hrabio, po stokroć dziękuję za uratowanie mojej córki, mojej ukochanej córki. No uściskaj mię ty figlarko, ty zepsute dziecko!

JUDYTA (całując go w czoło).

Przyjm odemnie pocałunek przyjaźni.

LAFLEUR (na stronie).

Pocałunek miłości bierze ktoś inny, wedle francuzkiego zwyczaju.

JUDYTA.

Gdzież moje apartamenta, czy pomieszcimy się w nich wszyscy?

EZEL (zdziwiony).

Jakto wszyscy? Nie rozumiem ciebie.

JUDYTA.

Rzecz nader prosta! Wdzięczność za świadczone usługi, nakazywała mi zaprosić hrabiego na mieszkanie w naszym domu, dopóki nie wstąpi do ambasady francuzkiej, gdzie mają go wkrótce powołać, dowiedział się bowiem, iż obenie wyszedł manifest łaski. Tak w wielkim świecie przyjęto, a nam nie wypada przekraczać zasady arystokracji. Vous comprenez mon père.

EZEL.

Nie będę się sprzeczał i w tym względzie; rób jak chcesz, odstępuję ci całą drugą połowę mego mieszkania.

JUDYTA.

C'est comme il faut! c'est magnifique! Ojciec, jesteś aniołem dobroci!.... Tallejrandem towarzystwa.

EZEL.

Czy ty grasz na jakim instrumencie?

JUDYTA.

Na fortepianie, me tout petit peu!

EZEL.

I śpiewasz?

JUDYTA.

Tak sobie wedle fantazyi.

EZEL.

No moja duszko! zaśpiewaj mi jaką piosnkę Mejerbeera.

JUDYTA.

Mejerbeer nie pisał śpiewek, chyba chcesz posłuchać arya „Grace.“

EZEL.

Co za Marya Grass. Ja znam kucharkę tegoż nazwiska dziesięć lat służy u mego sąsiada.

JUDYTA.

Nie rozumiesz mię mój ojciec, nie wiem jak by ci to wytłumaczyć.

EZEL.

Śpiewaj co chcesz, na przykład jaką pieśń z opery. Niedawno byłem w teatrze, dawano „Perukarza cywilnego.“

JUDYTA.

Chyba Cyrulika Sewilskiego.

EZEL.

Wszystko jedno czy cyrulik czy perukarz, jeden i drugi z głową ma do czynienia. No! nie daj się długo prosić, siadaj do fortepianu.

JUDYTA (zwracając się do Fripona).

Panie hrabio chwaliłeś mi bardzo piosnki Bérangera, przytém posiadasz sam przesłiczny baryton, czy nie zaśpiewamy co en deux!

FRIPON.

Non, mademoiselle! To nie uda się nam tak łatwo, lepiej odśpiewaj pani ulubiony jój romans francuzki prześliczny Antoniego Kąskiego (przyśpiewując) En me promenant hier au rivage..... Ja pani dopomogę wzdychać.

JUDYTA (z wybuchem radości, który stara się zaraz powściągnąć.)

Ah prawda! — Mais vous avez raison! c'est délicieux! Nie traćmy czasu (siada do fortepianu).

Śpiew Nro 2.

En me promenant hier au rivage,

Pendant une heure à vous j'ai revé.

J'ai perdu mon coeur, mon coeur sur la plage,

Vous veniez ensuite et vous l'avez trouvé.

FRIPON.

Ah! vous avez trouvé, oh! vous avez trouvé.

JUDYTA.

Maintenant comment arranger l'affaire,

Les proces sont longues et le juges vendus,

Je perdrai ma cause et pourtant que faire,

Vous avez deux coeurs, et je n'en ai plus!

FRIPON.

Ah! je n'en ai plus, oh! je n'en ai plus.

EZEL.

Ah, ah, ah! (nadzwyczajnie fałszywie).

GRANDECOQUINE.

Ab!.....

EZEL.

Ze wszystkiego zrozumiałem jedno tylko ah!

FRIPON (dyrygując).

Zaczynamy ostatni kuplet.

JUDYTA.

Mais si on le vend bien l'affaire s'arrange,

Et souvent un mal finit par un bien,

Ainsi entre nous deux faisons une échange

Rendez moi le vôtre, et gardez le mien!

FRIPON (powtarza ostatni wiersz.)

EZEL (klaszcząc).

Bravo, bravissimo! Ale czas pomyśleć o jedzeniu. Śniadanie pewno gotowe. Chodźmy do stołowego pokoju. Lafleur, otwórz drzwi na rozciez!

LAFLEUR.

Oui! monsieur le baron!

JUDYTA.

Czy to Francuz?

EZEL.

A jakże? z samego Paryża.

LAFLEUR (na stronie.)

Z hotelu tegoż nazwiska.

JUDYTA.

C'est très bien, c'est comme il faut. Lafleur, appelez moi la servante.

LAFLEUR.

Oui, Monsieur le baron!

JUDYTA.

Monsieur! alboż ja monsieur?

LAFLEUR.

Ah! pardon! (na stronie) jak dalej.....? (głośno) Niech mi jaśnie pani daruje, jeszcze nie przyzwyczaiłem się do tój prononsacyi. Jój akcent jest czysto szwajcarski!..... Co pani baronesse rozkaże?

JUDYTA.

Każ mojej pokojówce, żeby rozpakowała rzeczy i zajęła się ich uporządkowaniem.

LAFLEUR.

Tout de suite! jaśnie wielmożna pani (otwiera drzwi, wszyscy wychodzą).

SCENA 4.

FIDELBERGER (sam z książką w ręku).

Nowina w naszym domu. Przyjechała córka mojego pryncypała. Mówią że to śliczne dziewczę, pięknie wychowane, dowcipne, w obejściu się, w manierach zakrawa na rodowitą francuzkę. Ot co ja tu pocznę nieszczęśliwy prostak, nieokrzesany, niedołęga, umiejący zaledwie czytać i pisać po francuzku, i to dzięki nie sobie a panu Feliksowi Fripon, w rozmowie bowiem jakam się za każdym słowem. Jakąż ja tu będę miał minę, głupca, nieuka! (uderza się ręką w czoło). I po cóż ślęczę nad książkami, wzrok tracę, czytając je do późnej nocy. Cóż mi to pomoże żem ocytany, z książek nie nabierzesz rozumu, nie nauczysz się dowcipu, one ukształcić, wyrobić tylko mogą gust, sprostować pojęcia o rzeczy, ale chociażbyś czytał bez końca, chociażbyś zgłębił całą filozofią mędrców naszych, jeśli nie masz sprytu w głowie, nic to nie pomoże; pierwsze mądre dziewczę pomiesza ci wszystkie szyki, złowi na każdym słowie i wstyd ci będzie podnieść oczy do góry. Nie, ja stworzony jestem widać na buchaltera, i przeznaczeniem mojem jest wiecznie rachować..... rachować..... rzeczy i pieniądze! (rzuca się na krzesło i upuszcza książkę na stół).

SCENA 5.

FRIPON.

FRIPON (Wchodzi mówiąc do siebie).

Tu mi naznaczono schadzkę, dalibóg! nudzić mię już zaczyna ta cała sprawa, czas skończyć, gotowi bowiem odgadnąć moją tajemnicę i cel ukryty.

FIDELBERGER (ogląda się).

Ktoś wszedł.

FRIPON (zrywa się).

Kto tam się odezwał, głos znajomy.

FIDELBERGER (przybliżając się).

A!..... pan Fripon, co za niespodzianka, cóż to państwo znajomi z bankierem Ezel, moim pryncypałem. Kiedy pan powrócił? i czy na długo? stęskniliśmy się po nim i mocno się cieszę, że go widzę znowu.

FRIPON (na stronie).

A ja bynajmniej, djabli go tu nadali (głośno). I ja rad jestem nieskończenie, że go widzę; świeżo co tylko wracam z zagranicy; (patrząc na Fidelbergera) ależ pan wyładniałeś, jesteś nie do poznania, zmieniłeś się na swój awantaz (śmiejąc się) ho! ho! ho! Niebezpieczny z pana rywal, ja pierwszy zawsze bym mu bez batalii z placu ustąpił. Nie bierz pan tego za komplement, to czysta prawda. Po dwóch latach niewidzenia ani poznać pana. Czy mieszkasz w domu bankiera Ezel?

FIDELBERGER.

Jestem głównym rządcą jego kantoru, i cieszę się nieograniczonem zaufaniem pana bankiera. Jeżeli mogę w czem służyć, gotów jestem w każdej chwili.

FRIPON (na stronie).

Kiepska sprawa! Trzeba udać lisa (głośno). Panie Fidelberger czy tak przychylnym jesteś dla mnie jak dawniej? czy liczyć mogę na pańskie względy?

FIDELBERGER (zdziwiony).

Nie rozumiem pana, szacunek mój dla niego, jest zawsze jednakowy, jestem mu wiele obowiązany.

FRIPON.

O to najmniejsza! Ja tak jestem skromny w tym względzie, że proszę pana, zaklinam na wszystko, nikomu ani słowa nie mówić o tém, żem mu dawał lekye francuzkiego języka, żeśmy się znali przedtém. To moja tajemnica. Trzeba panu wiedzieć, żem rzucił teraz nauczycielstwo, godność mi moja nie pozwala tego; zrządzeniem losu, wróceniem dawnych praw zostałem... (słyszac szelest) pst! słowem, nie znaleźmy się z sobą.... i dziś widzimy się po raz pierwszy. Liczę na

honor pański.... że mnie nie wydasz z sekretu. No podajmy sobie rękę na zgodę (wyciąga rękę, Fidelberger podaje mu swoje).

FIDELBERGER.

Ani słowa nie rozumiem. Jestem ciemny jak tabaka w rogu.

FRIPON.

Tém lepiej dla mnie.... (patrzac w okno) ot i ona!

SCENA 6.

Ciz. — JUDYTA.

JUDYTA.

O mon fidèle berger! szukam ciebie wszędzie.

FIDELBERGER (na stronie).

Fidelberger. Zdaje się, że o mnie mowa (kłania się niezgrabnie).

JUDYTA.

Voilà encore une creature (lornetując go) kogo mam honor widzieć?

FIDELBERGER.

Buchalter bankiera Ezel, jój ojca, do usług pani.

JUDYTA.

Cela doit être quelque chose spéciale, buchalter. Je ne comprend pas que ce que ça va dire? Expliquer moi monsieur le comte.

FIDELBERGER (na stronie).

Monsieur le comte! w głowie mi się przewraca.

FRIPON (ciszej).

O ma fidèle bergère! Bądź ostrożniejsza nieco, ten człowiek jest niebezpiecznym dla nas, on może się stać wrogiem, prześladowcą naszej pasterskiej miłości. On nie pojmuje, co to jest Arkadya, co to jest wzniesć się myślą w mitologiczne sfery, odetchnąć boskiem powietrzem, on nie czytał Platona i może wszystko odkryć ojcu pani.

JUDYTA (na stronie).

O Dieu misericorde! co tu począć?

FRIPON (na stronie).

Zrób go pani swoim niewolnikiem.

JUDYTA (na stronie).

Teraz rozumiem. To moja rzecz, przestrogi Grandecoquine mojej guwernantki żywo mi tkwią w pamięci (zbliżając się do Fidelbergera, kłania się z gracya). Jak godność pańska?

FIDELBERGER (z głębokim ukłonem).

Jonatan Fidelberger.

JUDYTA.

Fidelberger. O co za szczęście? Fidelberger to po francuzku fidèle berger, wierny pasterz, to ślicznie, pan masz imie arkadyjskie, a ja ubóstwiam tę stronę, uwielbiam arkadyjskich pasterzy, oni są moim ideałem. Pan słyszałeś co o Arkadyi?

FIDELBERGER.

Ja przypominam sobie wiersz, wystawiający tę okolicę w języku niemieckim (patetycznym tonem):

O du Arkadien Land!

JUDYTA.

Wybornie! mistrzowsko! Pan masz talent do poezyi, do deklamacyi, znakomity talent!

FIDELBERGER (zawstydzony nie wie co powiedzieć i bawi się z łańcuszkiem od zegarka).

JUDYTA.

Pan mię zachwyciłeś, sprawiłeś istotną siurpryzę. Je vous admire, depuis ce moment.

FIDELBERGER (który zupełnie stracił głowę, bąka niezrozumiale słowa, kłaniając się to w tę, to w ową stronę).

Madame, Mademoiselle.... moi.... j'ai....

FRIPON.

To połowa jeszcze tylko tych pochwał, na które pan zasługujesz. Je suis votre ami. Tylko proszę milczeć.

JUDYTA.

Vous êtes un homme comme il faut! Je suis votre fidèle amie, mais silence! (wychodzi razem z Friponem).

FIDELBERGER (biegając po pokoju).

To zwaryować trzeba, czego oni chcą odemnie? żebym milczał i owszem, obowiązkiem to jest moim, kiedy o to prosi córka mego pryncypała, ale co oni mają w tém? Na co im się przyda moje milczenie? Dalibóg nic nie rozumiem (wychodzi spiesźnie trzymając się za głowę).

(Zasłona spada).

AKT II.

Ten sam salon, co na wstępie.

SCENA 1.

Wchodzi EZEL (strasznie rozgniewany).

EZEL.

Dobrzem się wykierował z mojem ojcowskiem pobłażaniem. Teraz w moim domu Sodoma i Gomora! posłuszeństwa ani za grosz, nie słuchają mnie wcale. Jestem zero w domu, kompletne zero. Córeczka moja przewróciła cały dom do góry nogami, cała służba lata jak kot zagorzały, za posyłkami rozmaitego rodzaju, to do hrabiego Fripon, to od hrabiego do panny Judyty, to do Grandecoquine, to do magazynu mód, to do sklepu norymberskiego. Cały dzień stoją konie zaprzężone i powóz na zawołanie. Nawet Lafleur przepadł, i kręci się djabeł wie gdzie. A to na mnie spadła plaga egipska, kara niebios za grzechy moje. Niech wszyscy djabli porwą! Nie... trzeba tu zaradzić złemu, póki czas jeszcze. Héj służba! (nikt nie odpowiada).

EZEL.

Żeby to choć pisała ktokolwiek. Czy oni pomarli wszyscy czy co? Może epidemia zakradła się do mego domu. Héj! Lafleur! (milczenie, Ezel krzyczy na całe gardło, dzwoniąc zarazem) Judyta, Judyta! Grandecoquine, Rozalia! Fidelberger, Fidelberger, przeklęty Fidelberger!

SCENA 2.

Wbiega FIDELBERGER, za nim LAFLEUR i ROZALIA.

EZEL (obraca się do Fidelbergera).

Czy panu nie wiadomo przypadkiem, kto przewrócił cały porządek rzeczy w moim domu? czy córka moja? czy guvernantka? czy też guwerner? nie, hrabia chciałem powiedzieć.

FIDELBERGER (na stronie).

Hrabia!

EZEL.

Cóż pan milczysz, czyś pan głos stracił?

FIDELBERGER.

Z rozkazu....

EZEL.

Z czyjego rozkazu? pytam pana (gwałtowniej) z czyjego rozkazu?

FIDELBERGER.

Pana..... pańskiego.....

EZEL (z zapalczywością).

Co? z mojego rozkazu. Ja kazałem nie słuchać siebie, na złość sobie robić. Pan zwaryowałeś chyba, albo nie wiesz co pleciesz. Lafleurze ty pewno mi objaśnisz całą rzecz. Tyś mi był zawsze wiernym sługą. Nie nie ukrywaj przedemną, powiedz mi całą prawdę, kto tu winien najwięcej?

LAFLEUR.

Je ne sais pas (na stronie) tego frazesu wyuczyła mnie nasza młoda pani, której przyznałem się że nie Francuz.

EZEL (zwracając się do buchaltera).

Wytłómacz mi pan co znaczy ta odpowiedź.

FIDELBERGER.

Nie wiem.

EZEL.

Jakto pan nie wiesz, uczyłeś się przecież po francuzku (do Lafleura). No powiedz mi toż samo po polsku.

LAFLEUR.

Nie wiem.

EZEL (wstrząsając nim silnie ze złością).

Jakto nie wiesz sam co mówisz, widzę więc, że i nie myślesz o tem co gadasz, a tak na wiatr sobie puszczasz słówka. Cóż ty sobie śmiesz kpić z swojego pana? Ty trutniu przekle-

ty! Ja cię nauczę rozumu. Cóż ty sobie myślisz, że tak łatwo oszukać bankiera. Nie życzę ci zostać w twój skórze.

LAFLEUR (płacząc).

Za co mię pan trzesiesz! Cóż ja winien, że mi pan kazał mówić tylko po francuzku, a sam nie rozumiesz tego języka? Je ne sais pas, znaczy się, nie wiem. A ja zkad mam wiedzieć kto panu na złość robi? Ja, słuchając rozkazów pańskich, służę wiernie córce jasnie pana i spodziewam się za to sowitej nagrody i powiększenia pensyi; pan baron cieszyć się powinien że ma córkę, która tak doskonale rozumie francuzkie obyczaje.

EZEL.

Oh! ta córka moja, zawołać mi ją tutaj. Czy to moja córka? Ja jej nie poznaję, ja sam siebie nie poznaję, w tym francuzkim chaosie.

LAFLEUR (do Rozalii).

Proś swoją panią, pan baron życzy sobie widzieć się z nią.

ROZALIA.

Natychmiast (wychodzi).

EZEL.

To nie do wytrzymania! Tu pęknąć można ze złości!

SCENA 3.

Ciż (prócz Rozalii) wchodzi JUDYTA.

JUDYTA.

Co chcesz ojcie! pourquoi criez vous tant? Chcesz pewno, żeby ci coś zagrać, zaśpiewać.

EZEL (okazuje niecierpliwość).

JUDYTA (nie zwracając na to uwagi).

Bardzo chętnie zagram ci muzykę klassyczną Mendelsohnowską.

(Uderza kilka strasznie fałszywych akordów, wszyscy zakrywają uszy następnie zrywa się bystro i przybiega do ojca mówiąc):

No drogi ojcie, nie gniewaj się, ja tego nie lubię, mnie marnotkno się robi, na płacz mi się zbiera, już mam łzy w oczach,

już płaczę (ociera oczy chustką i łkając woła) O mon père tu est une vipère.

EZEL (rozrzewniony).

No daj pokój moje dziecko, czy ty w samą rzecz płaczesz? No przestań Judyto, nie pieść się. Nie jesteś już dzieckiem przecie. Jeśli ja gniewam się, to mam rację. Dalibóg że jest o co, ty sobie za wiele pozwalasz. Jeszcze się nie zdążyła zagospodarować w swoim domu, a już zmieniasz w nim porządek rzeczy, który trwał od niepamiętnych czasów. Ja lubię, aby wszystko działa się z kupiecką akuracją, a ty trzpiotko, postępujesz wbrew mojej woli. Czyś się we Francji nauczyła nie słuchać ojca, bo ja tu wciąż widzę jawne nieposłuszeństwo; nie stoi na swoim miejscu: na ulubionej mojej fajce powieszono czepek, w rachunkową moją książkę włożono kwiaty od kapelusza, do szuflady, gdzie leżą ważne notatki handlowe, nasypano tyle szpilek, rozmaitego rodzaju liszbinów, sznurków, sznureczków, guzików, guziczek, flaszeczek, mydeł, flakoników, rozbitych słoików z pomadą, i waty, straszną moc waty!... do ładów trafić nie mogę. Nie dowołasz się żadnego służącego, wszyscy są na posyłkach u ciebie. Co to będzie dalej, moja córko? Ja już głowę tracę. Probowaleś ci robić swoje uwagi, a ty śmiejesz się, a z tobą razem cała twoja świta. Nie, tak być nie może.

JUDYTA.

No! drogi ojcze, udobruchaj się, młodość dopomina się o swoje prawa. Kiedyż się weselić, jeśli nie w moje lata? Teraz grzechby był smucić się. Całą moją winą jest mój żywy temperament, charakter dziwaczny. Nienawidzę żałoby, cały świat w różowym świetle stoi przedemną, a jednak bywają chwile, że ja smutną jestem, że i na mnie napada melancholia, jakaś niewypowiedziana tęsknota; wtedy marzę, dumam, całymi godzinami, i śmiech obcym wtedy dla mnie, ale w tej chwili coś mi wesoło. Jestem szczęśliwa, swobodna..... Tańczć mi się chce. Ojcze chodź ze mną do tańca.

EZEL (przestraszony).

Co ty bredzisz moje dziecko. Ja stary człowiek, mam tańczyć.

JUDYTA (z kokieteryą).

Kto ci to powiedział, żeś ty stary mój ojcze? ty jesteś w sile wieku, tyś mężczyzna jeszcze zuch co się nazywa, un homme à marier (pieszczotliwym tonem). A pamiętasz jakżeś zawsze rwał się do mazura, kiedyś jeszcze była małym dzieckiem. Pamiętam na weselu pani Ochs bankierowej. No, po co to długo rozpowiadać.

Śpiew Nr. 3.

Graj mazura, graj wesoło,
Niechaj troska rzuci czoło,
Niechaj lecę w marzeń kraj,
I dzieciństwa wspomnę wiek,

Tego mi mazura graj,
Co to aż weselszy człek.

Niechaj lecę w marzeń kraj,
Graj mazura, graj.

(tańczą.)

(Po każdym kupiecie, Judyta chwyta za rękę ojca i tańczy z nim do upadłego, wybijając takt ręką. Ezel sapie od znużenia i robi rozmaite grymasy, krzywiąc się i łamiąc figury mazura. Orkiestra również zmienia tempo, grając to wolniej, to prędzej, prawdziwie zaś tempo mazura powinno być zachowane tylko wówczas kiedy Judyta śpiewa).

Graj mazura co to serce,

Co to dusza sama gra,

Kiedy podasz dłoń tancerce,

W oczach błyszczy skra!

Graj mazura, co to lata,

Młode wspomni ci,

Co tak nęci cię do świata,

Blaskiem szczęścia łni!

(tańczą.)

Graj mazura tego hucznie,
Co mazurów zdobi kraj;
Ty co tańczysz mądrze, sztucznie,
Istny taniec znaj.
Gdy nie umiesz go tańcować,
Próżno pięt nie tłucz,
Zamiast drogi czas marnować,
Od nas go się ucz.

(Po ostatnim kupiecie, Judyta wpada w szal i kręcić się zaczyna z ojcem, z którym wśród głośnych śmiechów wylata za kulisy; wszyscy wychodzą, na scenie robi się coraz ciemniej).

SCENA 4.

FIDELBERGER (sam).

Szatan nie kobieta! wszystkim zawróciła głowę. Ja sam nie pojmuję co się ze mną stało. Jestem odurzony tym wirem wesołości, tą panującą wrzawą, przedtem pędziłem życie tak spokojne, tak akuratne, a teraz? Ale cóż ja winien jestem, kiedy nikt zda się, nie jest w stanie oprzeć się czarującemu spojrzeniu panny Judyty, jej głosowi tak dzwiecznemu, tak przemawiającemu do duszy i serca. O! ona jest zachwycającą, cudną istotą.... I gdyby..... O! jedna mi rzecz tylko niepokoi, ten pan Fripon.

SCENA 5.

FRIPON (wchodzi.)

(mówi z coraz większą prędkością.)

Moje uszanowanie, szukam pana, z ważnym zleceniem od panny Judyty. Trzeba panu wiedzieć, że zrobili krucyatę, to jest, tylko wciąż słyszę pańskie nazwisko, co za miły, co za grzeczny, co za uprzedzający, usłużny młody człowiek, ten pan Fidelberger, powtarzają mi na każdym kroku, trąbią mi w uszy bezustannie, tak że w końcu zazdrościć mu zaczynam jego powodzenia u płci pięknej. Co więc, aby panu dowieść ile go ceni, panna Judyta bierze pana za swego.....

FIDELBERGER.

Swego..... swego..... swego.....

FRIPON.

Lektora!

FIDELBERGER (z nieukontentowaniem).

Lektora?

FRIPON.

No.... rozumiesz pan, będziesz jej czytywał książki sentymentalne, będziecie się przechadzać razem przy świetle księżyca, liczyć gwiazdy na niebie (z udaniem uniesieniem), wówczas kiedy cała natura uśmiechać się wam będzie, i kiedy w wód zwierciadło ujrzycie wasze twarze, fantastycznym opromienione blaskiem, kiedy śpiew słowika, tego nocy kochanka, ukołysz was w kolebce marzeń, a upajająca woń kwiatów, uniesie was w czarodziejskie miłości sfery, pan będziesz jej czytał: „Cierpienia Wertera,“ tę książkę, którą za mojej pamięci jeszcze oblewałś łzami rozrzewnienia, i razem będziecie cierpieć nad znikomością rzeczy ludzkich, razem marzyć o cudach idealnych, o świecie Platona! (Oddaje cztery tomy Fidelbergowi, z których jeden tom bierze wrękę).

FIDELBERGER.

Jakto?.....

FRIPON.

Ja jadę wkrótce, i nie mam czasu oddać się poezji, karmić się tym nektarem razem z panną Judytą. Panu więc zostawiam obszerne pole odznaczyć się w zawodzie poety, zajmować swą rozmową i czytaniem książek pannę Judytę. Pierwsza próba rozpocznie się dzisiaj, ona tu zaraz przyjdzie, polecam panu na pierwszy raz śliczne na pierwszy debiut dziełko: Klimena i Kleopatra, czyli nowy Kastor i Pollux w języku francuzkim. Ot jeszcze nową korzyść będziesz pan miał, wprowę w tym języku. Jest to romans w czterech tomach z pięcioma prologami i trzema epilogami, złożony li tylko z listów, ale à propos, proszę nie zapomnieć oświadczyć pannie Judycie, że odbierze prędko list adressowany na jej imię, który pan jej doręczysz osobiście. (Fidelberger zamyśla się, Fripon

patrzac na niego mówi:) Otóż masz, zamysliłeś się pan, choć to panu bardzo do twarzy, ale schowaj tę sentymentalność na później, ona ci się przyda bardzo. Bacznosc, idzie panna Judyta (odchodzi).

SCENA 6.

JUDYTA (w bieli z niebieską kokardą na piersi, włosy przyczesane à la Diane, twarz blada, oczy spuszczone na dół, cała jęj postać niby wpół uśpiona, chód Lunatyczki w trzecim akcie; trzyma w ręku świecę zapaloną, muzyka gra z cicha urywek z trzeciego aktu Lunatyczki, głęboka cisza panuje na scenie).

FIDELBERGER (po chwili na stronie).

Jak piękną, jak poetyczną jest ona w tym stroju.

JUDYTA (proroczym głosem przy dźwiękach cichęj muzyki.)

Jak piękną jest natura w swojej szacie, jak pełną jest fantastycznego uroku. Ludzie śpią, a na niebie gwiazdy szepcą pomiędzy sobą, zefir kołysze liście przywołane do życia rosą wieczora, a jego łagodne tchnienie jak miłe działa na wyobraźnię. Jeżeli ci się zdarzy słyszeć symfonią opiewającą piękności noey, zachwycasz się nią, a jak słabą jest ona jeszcze w porównaniu z samą naturą, o! i muzyka w takim razie jest prozą, a tu:

Każdy jakimś niebiańskim ujęty natchnieniem,
Karmi duszą poezją, oddycha marzeniem,
A gwiazdy jaśniejące na niebios błękitach,
Są to światy, aniołów zdradzające życie,
I człowiek musi znowu powtórzyć boleśnie,
Że wymarzone szczęście widzi tylko we śnie,
O i ja widząc często w łódce marzeń siebie,
Z żalem wracam na ziemię, będąc duszą w Niebie!

(Zwraca się raptem do Fidelbergera, który słuchał z największą uwagą, robiąc przytęm śmieszne gesty, wyrażające zadziwienie i mówi):

A..... pan tutaj na ziemi.

FIDELBERGER (przestraszony).

Czy mam być na powietrzu?

JUDYTA.

O! Boże mój, co ja też mówię. Zdaje mi się, że wszyscy, muszą koniecznie tak myśleć, i widzieć wszystko w tak poe-

tyczném świetle jak mnie się zdaje, że każdy z chęcią poleci ze mną w krainę marzeń; (zmieniając ton) panie Fidelberger, pan jesteś prozaikiem.

FIDELBERGER.

Ja..... (spuszczając oczy) jam buchalter!

JUDYTA (z gorzkim uśmiechem).

A pan, za nic masz poezją, nie czytałeś Lamartina, Mickiewicza, Malczeskiego, a jednak widzę książkę w pańskich ręku, pokaż pan co takiego (biorąc ją od Fidelbergera, czyta tytuł). O! Boże mój! co za radość! Klimena i Kleopatra, romans w listach, zkadżes pan wziął tak drogą książkę? Ach! prawda, pan Fripon mi obiecał. O! nie traćmy czasu, pójdźmy na świeże powietrze do ogrodu, i siądźmy w altanie z książką w ręku (z kokieteryą) Pan tak dobry, przyjąłeś obowiązok lektora. Pan Fripon mi mówił, że czytasz po francuzku, a więc przeczytasz mi.

FIDELBERGER (zdziwiony).

Pan Fripon mówił.

JUDYTA (ciągnąc go).

Pójdźmy, pójdźmy, (otwiera drzwi od ogrodu; do Fidelbergera.) Pan otwórz okno (wychodzą.)

(Na scenie nikt nie pozostaje, i przez chwilę trwa cisza, potem przez otwarte okno slychać głos Fidelbergera).

FIDELRERGER.

Climene à Cleopatre, L'amour c'est bonheur, et bonheur c'est l'amour! Castor était amoureux. Pollux son de sa passion. Cleopatre tombée malade. Cette catastrophe ma cher Climene.....

SCENA 7.

EZEL, a za nim LAFLEUR ze światłem.

EZEL.

Czy nie widziałes pana Fidelbergera? on zdaje się zwałyował do reszty, do kantoru przestał chodzić, w papierach największy nieporządek, roztargnienie jego widać na każdym

kroku. Klucz od kassy zostawił na stole, rachunki na podłogę rzucił, i sam gdzieś przepada. Pst, słyhać głos jego.

FIDELBERGER (za sceną).

Mais patience, mon coeur!

EZEL.

Co on plecie.

LAFLEUR (na stronie).

A ja niby wiele rozumiem, ale nie zawadzi skłamać (głośno) kładą passyans i rzecz idzie o króla kier!

EZEL.

Ot, pięknymi rzeczami trudni się mój buchalter. Poczekaj, nauczę ja ciebie czas mitrzyć (przysłuchując się) coś mówi po polsku.

FIDELBERGER, (za sceną).

Zapomniałem powiedzieć, że pani odbierze list odemnie, który....

EZEL.

A to co znowu? i on się z moją córką wdaje w korespondencją, poczekaj bratku oduczę ja ciebie francuzkich manier. Patrzcie państwo, mieszkają w jednym domu i pisuje jedno do drugiego. Czy to nie skandal? Dam ja wam za swoje (wyskakuje do ogrodu przez okno rozbijając szybę).

(Słyhać krzyk, poczem słowa Ezela.)

Jaki list, co za list, pokażcie mi ten list!

SCENA 8.

Wszyscy wchodzą naprzód sceny.

JUDYTA.

Pocóżes mię tak przestraszył mój ojciec, przeszkodziłeś nam czytać książkę tak piękną, tak zajmującą, romans w listach. Ot zaraz się przekonasz mój ojciec, że to o tych listach była mowa. Lafleurze przeczytaj tytuł.

LAFLEUR (bierze książkę widocznie zaturbowany i mówi na stronie).

Zginałem, jak ruda mysz w popiele, jeśli panienka mi nie dopomoże.

(Judyta korzystając z chwili, w której ojciec odwraca się i patrzy na Fidelbergera, szepce w ucho Lafleura.)

Klimena i Kleopatra czyli Kastor i Pollux, romans w listach.

LAFLEUR (głośno).

To proszę jaśnie pana, Syrena i Salamandra czyli Pastor i Polip, listy romansowe.

EZEL (groźnie).

Więc wy marnujecie czas na listach romansowych, a moje interesa śpią sobie spokojnie, a księgi handlowe leżą nietknięte. Ja mogę być zrujnowanym, skompromitowanym (do Fidelbergera) ja pana wypędzę (do córki) a ciebie zamknę o chlebie i wodzie na cały miesiąc. Cóż ty chcesz, abym ja zbankrutował, żeby poszedł z torbą po bożym świecie, zniesławił ród Ezarów. Buchalterom moim każesz czytać książki romantyczne, z ludzi moich porobiłaś kuryerów, z domu mego teatr, w którym daliście mi rolę... osła. Ja wam pokażę kto z nas osioł.

JUDYTA.

Ojcie! Ty....

EZEL.

Kto? ja! nie, mylicie się państwo dobrodzieństwo, ja zbije wasze plany, zniweczę całą waszą taktykę, ona mi już kością w gardle stoi, ze wszystkimi się teraz porachuję (do Fidelbergera, groźno.) Pójdiesz pan razem ze mną do kantoru, natychmiast! Lafleur! czekaj na mnie w gabinecie, wydam ci rozkazy (dzwoni, wchodzi Rozalia).

SCENA 9.

Ciż — ROZALIA.

EZEL (do Rozalii).

Odprowadź pannę do jej sypialnego pokoju.

JUDYTA (pieszczonym głosem).

Papo! ja nie chcę spać, ja chcę jeszcze spacerować po ogrodzie.

EZEL.

Dość spacerować, lepiej zajmij się gospodarstwem, od jutra tobie powierzam zarząd domu i wręczę ci wszystkie klu-

cze, a żeby ci nikt nie przeszkadzał w tém w początkach dość trudném zajeciu, podziękuję panu Fripon i pani Grandecoquine za ich grzeczność i uwolnię cię od ich towarzystwa, gotów jestem sam im wynająć mieszkania w innym domu, aby mnie tylko dali pokój.

JUDYTA (porywając ojca za rękę z dramatyczném uniesieniem, mówi drżącym głosem.)

Ojcie! Na miłość boską nie rób tego, ce sera le scandal! Całe miasto zagada o tém, cały świat śmiać się z nas będzie. Ojcie! ja ci będę posłuszną, będę czuwać nad twojem gospodarstwem, ale nie odbieraj mi moich przyjaciół, nie odmawiaj im gościnności. Ot jużem posłuszna, idę spać zaraz, już usypiam nawet.

EZEL.

No! jeszcze raz spróbuję. Pamiętaj tylko abyś dotrzymała danego słowa, inaczej pożegnasz się z Francją, to jest z francuską strażą otaczającą ciebie. Za wilem ci dał wolności moja córko! i przymuszasz mię podciąć ci skrzydła. A chociaż teraz już nie gniewam się na ciebie, na sercu jakoś lżej, strzeż się jednak abym znowu nie wybuchnął.

JUDYTA.

O! nieprędko już wybuch nastąpi.

EZEL.

Tém lepiej dla ciebie (do Fidelbergera), a pana proszę do kantoru, całą noc racz porządkować papiery (do córki) dobranoc Judyto!

(Zasłona spada).

AKT III.

Wnętrze ogrodu; gdzieś laweczki darniowe i drewniane, pomalowane zielono, dalej altanka i rozmaite gimnastyczne i ku zabawie służące urządzenia. Dzień na schyłku, zachodzące słońce oświeca scenę, przez chwilę nie widać nikogo, poczem wchodzi Ezel.

SCENA 1.

EZEL (sam).

Teraz cicho w moim domu, minęła burza, już ustał ten przekłety harmider, który trwał dawniej i wszystko idzie swoim porządkiem, a jednak jestem niespokojny. Ten nieznośny graf Fripon, coś mi się wcale nie podoba, przyzwyczaił moję córkę wszystko mówić szepejącym głosem, udawać przy mnie jakąś tajemniczą postać, dawać mi kabalistyczne odpowiedzi, albo jak zaczęła bez końca swoje parle, parle i parle, to ja do reszty tracę głowę, bo ani słoweczka nie rozumiem, z całej ich paplaniny. Trzebaż jeszcze nieszczęścia, że i Lafleur przeszedł na stronę mojej córki, ani więc słowa z niego nie wydobydziesz, a jednak te częste schadzki z panem Friponem, źle się skończyć mogą. Zdaje mi się nawet, że oni już knują jakiś spisek. Poczekajcie, zaczęję ja was śledzić, chodzić za wami i na nie się zdadzą wasze intrygi. Niech też rano wstanie, kto mnie oszukać zechce, nie taki ja głupi jak się wydaje, ale iść trzeba, czekają na mnie. No, zostawiam cię jeszcze panie Francuzie, ale nie na długo. Wkrótce my pokwitujemy się z tobą.

(odchodzi).

SCENA 2.

Wchodzi ROZALIA i LAFLEUR, pokładając się od śmiechu.

ROZALIA.

Ha, — ha, — ha! Ah! jaki twój pan zabawny, kiedy się gdzie śpieszy, zgarbiony, skurczony, mówi sam z sobą, kiwa głową, rachuje jakieś neapolitańskie summy. Kapelusz nosi na bakier, chustka sterczy mu z kieszeni, kamizelka nie na ten guzik zapięta co potrzeba, zapierzony, zawałany mąką czy wapnem, nieogolony, dobrze że włosów nie ma na głowie, bo pewno by ich nie przyczesał.

LAFLEUR.

Ha, — ha, — ha! Ty bardzo dowcipna jesteś, moja ty koteczko!....

ROZALIA.

A ty jeszcze dowcipniejszy, mój ty kanareczku!

LAFLEUR.

A wiesz co moja duszko, wyborna myśl wpadła mi do głowy.

ROZALIA.

A jaka naprzykład?

LAFLEUR.

Jak tylko francuz Fripon porwie naszą panienkę i zaślubi ją sekretnie i ja porwę ciebie i poženimy się bez wiedzy rodziców.

ROZALIA.

Ach ty papło przekłętą, co ty trąbisz już zawczasu o rzeczach, które się projektują dopiero. Pani naszój podoba się francuzisko, ale pytanie czy ty mi się podobasz mój ty koczkodanie. Tysiąc razy ci powtarzałam, żebyś ciszej mówił, bo możemy popsuć wszystko.

LAFLEUR.

Przepraszam cię kaczatko moje kochane, ale przecież pan wyszedł z domu, a Fidelberger siedzi w kantorze.

ROZALIA.

Ach ten Fidelberger, także śmieszna figura. Kręci się jak mopsik, koło naszój panienki, która igra z nim jak z lalczką jaką. A on biedak pokorny jest jak jagniątko jakie i ani beknie.

LAFLEUR.

W samą rzecz, pani nasza zawróciła i jemu głowę; czyta on tylko teraz te książki, które były wprzód w ręku panny Judyty, błąka się po nocy w ogrodzie jak cień, albo upiór jaki i straszy tylko nocne ptaki swoim ponurym głosem, którym Bóg wie co recytuje. Czy on nie zakochał się przypadkiem?

ROZALIA.

Zakochał! śmiałyby się on zakochać, jakiś tam Niemiec z końca świata... cierpieć nie mogę Niemców.

LAFLEUR.

To jeszcze nie dowodzi, aby twoja pani miała podzielać gust twój; alboć Francuzi lepsi?

ROZALIA.

Rozumie się, przynajmniej mają więcej ognia w sobie, a ci kochankowie niemieccy tylko jęczą, a płaczą, słyszysz tylko z ich ust, ach! och! i co dziwna, że zawsze znajdują czas na to swoje stękanie, bo ich westchnienia, również idą langsam, po niemiecku, ani mniej, ani więcej, jak 60 razy w godzinę..... a u Francuzów dziś oświadczył się, a jutro po ślubie.

LAFLEUR.

A na trzeci dzień rzuci żonę i dziecię i rusza w świat szukać szczęścia, ot! my co innego, ja naprzykład jestem Polakiem, choć wykradnę cię na francuzki manier, a jednak kochać cię będę na wieki.

ROZALIA.

Ty mię wykradniesz, jak kocham ciocię nie rozumiem.

LAFLEUR.

Otóż ja ci wytłumaczę, wymyśliłem koncept doskonały, kiedy pan Fripon zaślubi tajemnie pannę Judytę i my zawrżemy związek małżeński, niby to w sekrecie. Ja rzucę służbę,

bo przyznam ci się, że naprzykrzyło mi się, udawać wciąż francuza i trzymać perfumy w kieszeni. Pieniędzy chwala Bogu uzbierałem niemało i ty jakieś mi mówiła masz oszczędności, rzucim się na spekulacje i.....

Spiew Nr. 4.

Gdy z mą lubą się ożenię,
Mając pełny trzos,
Sposób życia swój odmienię,
Zadrę w górę nos.

Francuzczyzna mi pomoże,
Rolę pana grać;
I gdy frak nowutki włożę,
Będą respekt znać.

„Jak cię widzą, tak cię piszą!“
Kiedy zmienię ton;
To rodacy wnet usłyszą,
Żem z dalekich stron.

„Ot to hrabia, każdy powie,
Co w Paryżu żył.“
I nieprędka ktoś się dowie,
Żem lokajem był.

Choć się dowie, nie rozgłosi,
Bo mu będzie żal,
Że go lokaj nie zaprosi,
Na wspaniały bal!.....

No i cóż ty na to?

ROZALIA.

No zobaczymy, wprzód trzeba dopomódz naszej pani do pomyslnego ukończenia jój przedsięwzięcia. Wiadomo ci przecież, że ja mam jój doręczyć sekretnie list od pana Fripon. Ah!..... pst, ktoś idzie (uciekają w różne strony).

SCENA 3.

JUDYTA (sama, widocznie wzruszona).

Mam prędko rzucić rodzicielską strzechę, odważyć się na czyn śmiały, rozstrzygający los mojego życia. O! Boże mój dodaj mi siły..... Czuje że tracę zapal..... ale cóż w tém tak złego. Zostanę hrabiną, będę żoną francuzkiego magnata! I ojciec z radością potwierdzi nasz związek sekretny i pobłogosławi nas kiedy wrócim z pokorą do jego domu, a później pojedą do Francyi.... Francyi, tego kraju uroczego, gdzie Russo panuje, gdzie pani Cottin ma popularność, gdzie pojmują rozkosz arkadyjskiego życia, i gdzie na każdym kroku napotkać można pasterzy i pasterki i usłyszeć głos pasterkiej fujarki; gdzie ziemia oddycha miłością. Niebo sprzyja kochankom, powietrze przyjmuje ich wyznania i przysięgi, a ojcowie wtedy dopiero dowiadują się o związku małżeńskim swoich córek, kiedy oni połączeni już są z sobą, w obliczu cudownej natury i całego chóru powietrznych i napowietrznych mieszkańców. O Francyo!.... przyjm mnie w swoje objęcia, już nie jako dziewczę..... ale jako..... małżonkę... Przebóg!..... ktoś idzie.

SCENA 4.

GRANDECOQUINE, — JUDYTA.

GRANDECOQUINE.

Ty tu moje dziecię, balsamiczne powietrze znęciło cię do przechadzki, przypominając Francją.

JUDYTA.

O nie, w tej chwili nie zajmuje mię powietrze, stanowczy krok, który postanowiłam uczynić, trwoży mię.... i niepokoi. Przyszłość w czarnych kolorach staje przedemną. O! droga przyjaciółko, jeśli ojciec mój wydziedziczy mnie, przeklnie, po mojej ucieczce z jego domu, co ja pocznę sama jedna w obcej ziemi? Prawda że Fripon, kocha mię prawdziwie, że on nie opuści mię nigdy, ale i miłość stygnie z czasem, a on chociaż

i z wysokiego pochodzi rodu, ale okoliczności jego zmienić się mogą. Brylanty moje, kosztowności nie na długo wystarczą i czeka nas nędza i sieroctwo!

GRANDECOQUINE.

Ma chère, poetyzujesz za wiele, twój ojciec c'est un gentilhomme, on wcale się nie umie gniewać.... pokrzyczy trochę i przestanie, a później sam kontent będzie, że córka jego wyszła za mąż za hrabiego. Wróćcie et quelques larmes, spasmes, et mouvements convulsifs feront le reste, ne c'est pas?

JUDYTA.

Vous encouragez, ma chère. Nabieram odwagi; kiedyż więc ma się zjawić moje przeznaczenie?

GRANDECOQUINE.

Dzisiaj! odbierzesz list, a w nim pan Fripon oznaczy ci godzinę i miejsce (na stronie) Bogu chwała żem ją namówiła, byłoby pękło tysiąc franków... od Fripona.

JUDYTA.

Dziś.... o Boże! No, wszystko jedno, trzeba raz skończyć, (słysząc szelest).

GRANDECOQUINE.

Uciekajmy, tutaj podsłuchują nas.

SCENA 5.

EZEL (sam.)

Ot znowu szept, szur, szur, szur, szur, i zdaje się, że to guwernantka z moją córką. Ta przeklęta jęzga niedarmo chodzi za Judytą, jak ciebie za krową, to jest, co ja mówię, krowa za cielęciem. No, to nieprzyzwoite porównanie, ale gadajcie co chcecie, a ja przeczuwam coś niedobrego. Wierzcie mi, że to nieczysty interes. Ale ja im pokażę, że mam olęj w głowie, schowam się za krzaki i przypilnuję ich, najbardziej by mi się chciało zdybać Lafleura i Rozalię, od nich dowiem się wszystkiego. Poczekajcie teraz mam czas i będę czekał na was do północy (chowa się.)

SCENA 6.

EZEL (za krzakami) i ROZALIA (z listem).

ROZALIA (mówi do siebie).

Ten niepozorny liścik, ważną obejmuje nowinę i trzeba go jak najprędzej doręczyć panience; o! tu nie o lada co rzecz idzie, bo nie zdążono nawet wybrać ładniejszy papier i złoczną kopertę. Trzeba odszukać pannę Judytę.

EZEL (wyskakując nagle.)

Zaczekaj trochę, wprzód ja przeczytam i dowiem się co się święci (wyrywa list z rąk Rozalii i ściska ją tak gwałtownie rękę, że ta krzyczy z bólu) poczekaj ja wam dam listy (odrywa pieczętkę i czyta):

„Najdroższa Judyto! „Patrzcie państwo już ją ocenił i zna jej wartość. Zobaczmy co dalej będzie: „Tracim czas na próżno, trzeba korzystać z okoliczności, gdyż nasz Argus gotów odkryć nasze plany, „(zatrzymując się) Argus, co to za jeden ten Argus, w całym domu nie znam takiego nazwiska. No idźmy dalej: „Dziś wykradnę ciebie z domu rodzicielskiego, a to sposobem następującym: o 10 w wieczór zaprzężony powóz ojca będzie stał u kolei żelaznej, a w nim oczekiwać cię będzie z niecierpliwością twój Fidèleberger, „(wykrzykuje z zaskoczeniem) Fidelberger, tfu do licha, to, — to on taki mądry ptaszek, on ma zamiar wykraść moją córkę, bez mego pozwolenia. A bodajcie djabli porwali, skąd jemu się wzięła śmiałość do tego, co za poufałość! Poczekajno kochanku ja ci pokażę, żem gorszy jeszcze od twego Argusa, którego nie mam honoru znać, ale który pewno jeszcze większy łotr jak ty sam. Poczekaj panie Fidelberger, dzisiaj jeszcze wypędzę cię na rozstajne drogi, gdzie spotkasz się z panną djabłem (zwracając się do Rozalii). A ty jak śmiałaś nosić list miłosny od Fidelbergera — he.... ty intrygantko?

ROZALIA.

A ja zkąd mam wiedzieć, że to list miłosny, kiedy nie na różowym papierze, a owszem wygląda na kupiecką kore-

spondencya, bo nie naperfumowany i na bibule. Ja służę swojej pani wiernie i powinnam jój wszystko oddać co do niej zaaddressowane.

EZEL.

No, rozumiemy te rzeczy, ale nie wykręcisz się tak gładko, naprzód rozprawię się z Fidelbergerem, a potem na ciebie przyjdzie kolej (wybiegając) Ja ciebie nauczę służby....

SCENA 7.

ROZALIA (sama.)

Nauczy mnie służby, nie bój się pan, ja nie potrzebuję pańskich lekcyj, obejdę się bez nich śmiało. Patrzcie państwo, on myśli, że ja zlekne się jego pogrózek. Nie taki ja ichórz jestem, i owszem, zaraz doniosę pani mojej, że francuzki język wybawił ją i pana Fripona od wielkiego kłopotu i dopomógł im jeszcze do wykonania projektowanej ucieczki. Cała burza spadnie na biednego Fidelbergera, który nie rodząc się nigdy Francuzem, ma jednak dwa francuzkie słowa w swoim nazwisku! i jeszcze jakie poetyczne słowa, które pani nasza co minuta powtarza panu Friponowi, a on jój nawzajem: fidèle berger, fidèle berger, już i ja się ich nauczyłam na pamięć. No rzućmy Fidelbergera, niech się wykreści jak może i jak umie z swojej biedy, a idźmy dać znać pannie Judycie.

SCENA 8.

EZEL prowadząc za sobą FIDELBERGERA, który wyrzucił się.

EZEL.

Poczekaj pan dobrodziej, niech się pan tak nie spieszy, zdąży jegomość jeszcze naspacerować się do woli, z lekką głową, a pustym workiem, bo od tej chwili nie masz miejsca u mnie. Zaraz porachujemy się z sobą, co się panu należy?

FIDELBERGER (zdziwiony.)

Ja pana nie rozumiem, co to się ma znaczyć, ja się nie upominam u pana o pieniądze i wcale ich nie potrzebuję.

EZEL.

To je sobie wyrzucić za okno, ale co się należy, to wziąć musisz i natychmiast precz z mojego domu. Poszukaj pan sobie tam miejsca, gdzie bankierowie pozwalają buchalterom swoim umizgać się do swoich córek i wywozić je bez wiedzy ojca za granicę. Ha, mości panie, pobladłeś, trzęsiesz się ze strachu. Już nawet chcesz gorączki dostać z przerażenia! blednij, umrzyj, skonaj, dostań gorączki, spal się ze wstydu, mnie wszystko jedno, tylko wynoś się czempredzój pókiś cały i póki jeszcze jam nie pękł ze złości, bo inaczej (grozi mu) kiepsko będzie z twoim karkiem.

FIDELBERGER.

Ależ wytłómacz mi pan....

EZEL.

Ja ci jeszcze będę tłómaczył, alboż ja twój tłómacz. Czy pan mi płacisz pensją za to czy co? Proszę bardzo bez impertynencyj, bo i przestanę być dobrze wychowanym człowiekiem i powiem panu grubijaństwo. Przestępstwo pańskie jawne i widoczne. Mam dowód w rękę i jeśli pan natychmiast nie wyniesiesz się z mego domu, dam znać policyi (widząc że Fidelberger chce coś odpowiedzieć), no...no, no.... idź pan pakuj swoje rzeczy, a ja odeślę zaraz należne mu pieniądze przez lokaja. Pójdźmy tylko na chwilę do kantoru, zdasz mi pan kasę, chodź pan, chodź, (ciągnie go i obaj wychodzą).

SCENA 9.

FRIPON (wbiega na scenę mówiąc do siebie).

Prędko 10 godzina, czas jechać, teraz zdaje się nie nam nie stanie na przeszkodzie. Dzięki francuzkiemu językowi, ojciec zwałił całą winę na biednego Fidelbergera; pocziwy to ojczysko. Pomieszał się na francuzczyźnie córki i lokaja swojego, a sam i pojęcia nie ma o tym języku. Biedny Fidelberger ani się spodziewał, że tak ważną będzie grał rolę w moim romansie z panną Judytą. Ale trzeba mu było się uro-

dzić pod nieszczęśliwą gwiazdą. Trzebaż było, aby ojciec mojej przyszlę, na każdym kroku miał arkadyjskich pasterzy, których jego córka uwielbia, o których bredzi nawet we śnie. Kiedy mi powiedziała Rozalia, że Ezel wydarł jej list mój, jużem był jedną nogą na schodach i chciałem zrobić po prostu marsz, heraus, ale później rozjaśnił się horyzont, a teraz najbezpieczniej ucieknem sobie z moją Duleyneją za miasto.... ale zdaje się.... idzie pan ojciec.

SCENA 10.

EZEL (wchodzi, trzymając pieniądze w ręku.)

No, rachunki skończone, pieniądze dla tego panicza gotowe, trzeba mu posłać, bo ja go więcej na oczy widzieć nie chcę (sposstrzegając Fripona) A.... pan hrabia, moje uszanowanie, dawnośmy się nie widzieli, czy pan zdrow dobrze?

FRIPON.

Dziękuję bardzo, łasce pana barona winien jestem, że mam się jak najlepiej. Ale pan coś nie w swoim humorze.

EZEL.

Familijne kłopoty, interesa domowe. Ot teraz muszę zmienić buchaltera i wziąć kogoś stateczniejszego. Prawdziwie głowę tracę.... (z przymileniem) panie hrabio czy nie raczysz mi zastąpić. Ot pieniądze należne panu Fidelberger, jego dwuletnia pensya, racz się rozporządzić, aby mu oddano takową, a ja tymczasem odpocznę trochę na świeżem powietrzu (rzuca się sapiąc na ławkę z darnin.)

FRIPON.

Z największą przyjemnością, miło mi jest usłużyć panu bankierowi (na stronie), a jeszcze więcej sobie; brylanty pozostaną w całości, mamy pieniądze (odchodzi).

SCENA 11.

EZEL (sam patrząc za odchodzącym).

Nie wiem co ja mam do tego Francuza, to wcale miły człowiek. Bogu duszę winien. Daremnie miałem na niego

podejrzanie. On sobie lubi popaplać i nie wiecój, a przynajmniej nie naznacza rendez-vous u kolei żelaznej. Całego tu ambarasu narobił mi ten niewdzięcznik Fidelberger, i ten łotr zawołany Lafleur z swoją pomocnicą Rozalią; oboje jutro wezmą dymissyą. Ale.... ale zapomniałem o tej megerze Grande-coquine. I ona tu niemały miała udział, zapewne cały plan przez nią wymyślony. Ta stara sekutnica, ona teraz u mnie ani za grosz nie ma kredytu. Zanadto się ona rozgościła w Polsce, trzeba ją do Francji wyprawić. Znajdzie tam więcej czarownic sobie podobnych. Z córką pomówię dziś jeszcze na seryo, a jutro pojedę do bankiera Ochs, i w parę tygodni wydam ją za męża za jego syna, młodego człowieka z wielkimi nadziejami, bo w ciągu dwóch lat był w czterech uniwersytetach i jednej akademii, i wiele się mądrych rzeczy tam nasłuchał, a egzaminu nie zdał tylko dlatego, że nie znalazł ani jednego mędrszego od siebie professora. No, trzeba kazać poprosić Judytę..... (krzyczy) Héj! służba! (cisza) Héj! wy szelmy, ogłuchliście czy co? (trwa milczenie.) Co to znaczy, znowu epidemia w moim domu (lata po scenie krzycząc) czy wy przyjdziecie do mnie, wy łotry!....

SCENA 12.

FIDELBERGER (z tłómkami w ręku).

EZEL.

Co to? a pan po co? czy ja go wołałem? ja go wcale nie potrzebuję, ja żądam się widzieć z moją córką, i wołam tych łajdaków służących moich. Pan odebrałeś swoje pieniądze i możesz sobie ruszać z panem Bogiem.

FIDELBERGER.

Ja nie odbierałem żadnych pieniędzy i pan mylisz się zapewne.

EZEL (z wykrzykiem).

Jakto! pan Fripon nie oddał panu jego dwuletniej pensyi? Co to jest, gwałt!.... zdrada!.... oszustwo! Héj służba! służba!

FIDELBERGER.

Nie dowołasz się pan nikogo, Lafleura spotkałem wyszedłszy kilka kroków ztąd na ulicę, jak z Rozalią pojechali gdzieś razem, na koźle pańskiego powozu, a wewnątrz, zdaje się, że siedziała panna Judyta.

EZEL.

Co to jest, oni wszyscy pojechali, całym hurtem, a gdzie? Czy pan nie wiesz, może pan wiesz?....

FIDELBERGER.

Nie wiem, ale ot ktoś się zbliża, zdaje się czy pocztylion, czy lokaj z listem.

SCENA 13.

Ciż i lokaj z listem.

EZEL (biorąc szybko list z rąk jego).

Dawaj, dawaj, od kogo?

LOKAJ.

Od córki jaśnie wielmożnego pana.

EZEL.

Od mojej córki? (rozłamuje pieczęć i czyta; do Fidelbergera) panie Fidelberger co to takiego na początku?

FIDELBERGER (patrzając przez jego rękę, czyta).

Mon cher papa.

EZEL.

Znów po francuzku, a bogdajcie.....

FIDELBERGER (zatrzymując go).

Panie bankier, to pańska córka.

EZEL (czyta głośno.)

„Gdy będziesz czytał, słowa skreślone na prędce, córka twoja będzie już na pierwszej stacyi kolei żelaznej, razem z hrabią Fripon, którego kocham i z którym połączę się dziś jeszcze nierozzerwanym związkiem małżeńskim. Świadcami ślubnymi będzie przyjaciółka moja Grandecoquine i słudzy Lafleur i Rozalia. Drogi ojcze! nie gniewaj się na mnie, że czynię to bez twojej wiedzy, ale nie zniosłabym odmowy i wolałam zgodzić się na szczęście, jak na śmierć pewną z suchot

miłosnych; nie gniewaj się również na pana Fidelbergera, bo on niczemu nie winien; na liście było podpisano, fidel-berze (wypisuję ci naumyślnie polskimi literami) to znaczy po francuzku: wierny pasterz, a trzeba ci wiedzieć, że pan Fripon był dla mnie zawsze wiernym pasterzem, a ja dla niego wierną pasterką. Ty tego nie rozumiesz mój ojcze, bo nie czytałeś nic o Arkadyi..... ale gdybyś rozumiał, pojałbyś jak przyjemnie nazywać się tém przyjemném nazwiskiem. Jak twój pierwszy zapal ochłonie mój ojcze! wrócim do ciebie razem z hrabią moim mężem i u nóg twoich będziemy błagać przebaczenia.“

„Twoja kochająca córka Judyta.“

EZEL.

Oni uciekli, oni wyszli za mąż! To jest ona wyszła za mąż, za hrabiego. Panie Fidelberger na miłość Boską nie opuszczaj pan mię, my ich dogonim, my im zabronim żenić się.....

FIDELBERGER.

Już zapóźno kolój żelazna odeszła! i córka pańska już jest zapewne nauczycielką francuzkiego języka.

EZEL.

Jakto nauczycielką, Hrabinią, przecież ona pisze, że ona Hrabina.

FIDELBERGER.

O ile mi wiadomo, pan Fripon był nauczycielem języka francuzkiego w domu bankiera Ochs.... ja sam od niego le-
keye brałem.

EZEL.

A czemużes mi pan tego nie powiedział?

FIDELBERGER.

Córka pańska mi wzbronila, a pan kazałeś wszystkim domownikom słuchać jej we wszystkim.

EZEL.

O ja osiel! wielki osiel i dureń w dodatku! Tak się dać za nos wodzić!..... Dobrze mi tak.... Teraz wszyscy mię opuścili, wszyscy zgoła.... Cała winna na mnie spada (przysługując się). Ot i publiczność śmieje się ze mnie..... Pójdźmy

panie Fidelberger, schowajmy się gdziekolwiek od wstydu....
Nie jakoś nie chce mi się odejść.... Trzeba się spytać tych pa-
nów o radę (zwraca się do widzów):

Śpiew Nr. 5.

Co tu robić publiczności?

Ja proszę o radę,

O ja pragnę bez litości,

Ukarać ich zdradę.

O mój Boże! na błaganie,

Śmiech mi odpowiada;

(patrzac w około)

Zda się słyszę już sykanie,

I tu nawet zdrada.

Żegnam, żegnam was panowie,

W swym kantorze się zagrzebię;

Świat się o mnie nic nie dowie,

Bo żyć będę sam dla siebie.

(odchodzi parę kroków i wraca.)

Czy już wszyscy bez litości,

Nie, nie lękam się,

Ty! szanowna publiczności!

Nie opuścisz mnie!

(Kurtyna zapada.)

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ PAN WAMPIR.

LISTA PRENUMERATORÓW
PAMIĘTNIKÓW WAMPIRA Nr. 4.

	Egzempl.
Aruzel	1
Barciński, Dyrektor żeglugi parowej	1
Belkie, magister farmacyi	1
Bobrowski Aleksander	1
Bobynin, członek Komory Wincenta	1
Borkowski	1
Brzeziński Fryderyk	1
Brzozowski, Urzędnik Komory Składowej	1
Bunbelski	1
Dylewski T.	1
Dziewulski, Urzędnik Kom. Skład.	1
Grantzow Adolf, obywatel	1
Grantzow Kazimierz, obywatel	1
Greinert Józef, Urzędnik Tow. Kred. Ziemskiego	1
Hennel Adolf	1
Herman Jan	1
Hoch Jan, obywatel	1
Janiszewski, kupiec	1
Janowski K.	1
Klopfert	1
Kostrzębski Walery, Urzędnik Mennicy	1
Kosztulski, Dr. Med.	1
Kropiwnicki Kazimierz, obywatel	1
Lewenberg Adolf, kupiec	1
Lewenberg Jakób, kupiec	1
Lethak Jakób	1
Lipkau Julian, obywatel	1
Maciejowski Wacław Aleksander	1
Margulies, kupiec	1
Mührad Mozes, bankier	1
Muraszew S. kupiec	1
Pszczółkowski Walenty	1
Rzewnicki, ekspedytor konsumpc.	10
Ruszkiewicz Albin, urzędnik	1
Skarzyński, obywatel ziemski	1
Styczakowski, Kommissarz Cyрку IV.	1
Trausolt, Naczelnik Powiatu Warszaw.	1
Werner, Radca Stanu	1
Wieczorkowski, Prezes Sądu Kryminalnego	1
Wiszniewski Julian, Urzędnik Kom. Skład.	1
Wiśniewski	1
Winawer B. A. kupiec	1
Zaborski Antoni, Urzędnik Mennicy	1
Zaleski Aleksander	1
Zbijewski	1

ANTONI KATSKI

Życiorys z portretem

PAWEŁ WARSZAWA T. II

 Antoni Kątski, urodził się 25 Września 1817 roku w Krakowie. W piątym roku życia swego dał koncert na ubogich i z takim był współzuciem przyjęty, że nazajutrz powołanym był jednogłośnie na członka muzycznego Towarzystwa, i uzyskał na to odpowiedni dyplom w roku 1822. Następnie udał się z rodzicami do Warszawy, gdzie pobierał nauki do roku 1827. W siódmym roku życia wydał na widok publiczny dwie kompozycje grywane powszechnie, i odtąd przewano Antoniego „Małym Mozartem.” W dziewiątym roku życia nie tylko, że publicznie odegrał z towarzyszeniem wielkiej orkiestry dwa koncerty H moll Humla i Cis moll Ricsa, ale nadto udowodnił gruntowną znajomość generalbasu i kontrapunktu, będąc egzaminowanym z rozkazu Cesarza Aleksandra Igo, przez komitet złożony z najsławniejszych muzyków owjej epoki, jakoto: *Elsnera, Kurpińskiego, Jaworka, barona Markenfa i Hermana.*

ANTONI KATSKI.

Wiedeński publiczności. Tamże kompozycjami swemi wykonał największych fortepianowych trudności, że tak powiem, mechanizm maszynami piekielnego, że tak powiem, mechanizmu. Wiedeńskiego Konserwatorium i przeto stał się ulubioncem orsz. w publicznych koncertach w tamtejszym teatrze i w sali miał często zaszczyt dać się słyszeć przy dworze cesarskim. Podczas swojej tury w Wiedniu w stołach Austriackiej. zaczęła się w Wiedniu w 1832. Po dłuższej nieobecności odwiedził swoje ojczyznę. Który w pierwszej edycji ukazał się w Moskwie w roku 1830 skomponowany na fortepian, z towarzyszeniem orkiestry, wiedeński okaz, otrzymał Filidow swój pierwszy koncert. Kątski stał się jego ulubionym uczniem i chętnie mu publiczne wygłaszał jego natchnieniem rok jeden. W 1830 roku W. był jego natchnieniem rok jeden. Tym muzycznym światem. nie odbył jednakże sławę jego geniusza rozszerzyła się w całości. Pomimo, że jeszcze żadnej podroży w celu artystycznym nity z radosną i miłą. Kątski grał najtrudniejsze kompozycje na pamięć, czytał

Kątski grał najtrudniejsze kompozycje na pamięć, czytał nuty z zadziwiającą łatwością, *prima vista*.

Pomimo, że jeszcze żadnej podróży w celu artystycznym nie odbył, jednakże sława jego geniuszu rozszerzyła się w całym muzycznym świecie.

W 1829 roku Fild był jego nauczycielem rok jeden; Kątski stał się jego ulubionym uczniem, i chcąc mu publiczną wdzięczność okazać, ofiarował Fildowi swój *pierwszy koncert*, skomponowany na fortepian, z towarzyszeniem orkiestry, który w pierwszej edycji ukazał się w Moskwie w roku 1830.

Po dziesięcioletniej nieobecności odwiedził swoje ojczyznę, a następnie udał się do Wiednia w roku 1832; odtąd zaczęła się jego sława, która doszła europejskiej wziętości. Podczas swojej trzyletniej bytności w stolicy Austriackiej, miał często zaszczyt dać się słyszeć przy dworze cesarskim, oraz w publicznych koncertach w tamiecznym teatrze i w sali Wiedeńskiego Konserwatorium, i prędko stał się ulubieńcem wiedeńskiej publiczności. Tamże kompozytami swemi wymagającymi piekielnego, że tak powiem, mechanizmu, łatwem pokonywaniem największych fortepianowych trudności, zyskał sobie przydomek „Antoniego Diabła.”

W Wiedniu napisał on swój drugi koncert *Gis moll*, z towarzyszeniem orkiestry, i wiele innych sztuk; najznakomitszą było *Oratorium* pod tytułem *Dzwon* (*) na wielką orkiestrę, i chór, które po raz pierwszy wykonane było pod jego dyrykcją w sali wiedeńskiego konserwatorium w roku 1834. Po takich mistrzowskich próbach sława Kątskiego ustaliła się zupełnie; opatrzony nader pochlebnymi rekomendacyami dworu cesarskiego, odwiedził Monachium, gdzie często grywał na dworze królewskim i zawsze doznawał najświetniejszego przyjęcia; każdy koncert jego był zaszczycony obecnością króla i królewskiej familii.

(*) Die Glocke Schillera.

Na świetnych wieczorach Zimmermana w Paryżu, wstawionych obecnością Cherubiniego, Rossiniego, Donizettego, Spontiniego, Halewego, Adama, Paganiniego, Kalkbrennera, Carafy i t. p. stanowiących znakomity areopag sztuki, Kątski przez tychże jednogłośnie do rzędu pierwszych fortepianistów poliezonym został. W roku 1837, a 20 swego życia Kątski był *przysięgłym sędzią* nagród, w jednym czasie z Cherubiniem, Cramerem, Chopinem, Zimmermanem, i Thalbergiem. W konserwatorium paryżkiem, jako professor udzielał lekcje muzyki i kształcił wielu uczniów, których niemała liczba wyszła na doskonałych nauczycieli muzyki, trzymających się wyborniej metody Kątskiego. Wyszła ona na p: *Beŕquin du Piano*, w Paryżu, metoda dla dzieci; *L'Indispensable du Pianiste*, metoda przyjęta w konserwatorium; *Iszłożenije fortepiannoj igry*, w Petersburgu, metoda dla dzieci z początkami harmonii. Koncerta jego w Paryżu były najliczniej odwiedzane, a jego kompozycje robiły furorę. Wydano przeszło 200 sztuk, a i wiele manuskryptów dotąd jeszcze istnieje, jak np. Wielka symfonia *C moll*. na orkiestrę, sextet *A moll*, 3 tria, msza na solowe głosy i chór, *Salve Regina* i t. p., które z największym powodzeniem wykonywane były. Koncertowe jego etiudy na fortepian służą za wzór po dziś dzień przy elementarnym wykładzie muzyki w Konserwatorium tak Paryżkiem, jako też i w innych stolicach.

Kątski przedsięwziął podróż na zachód i zaczął w roku 1840 od Hiszpanii. Madryt dotąd jeszcze wspomina o jego tryumfach i koncertach, na których duszono się, o wieńcach i kwiatach, które mu słały pod nogi damy hiszpańskie, słowem jako o artyście słynnym w całym świecie. Królowa Izabella zaszczyliła Kątskiego tytułem *Pianisty di Camera*, i bogatym podarunkiem, to jest siedmioma brylantowymi guzikami do kamizelki.

W Sewilli grał u Infantki Luizy i u księcia Montpensier; tamże uczczonym został wierszami, serenadami i kwiatami,

a na pożegnalnym koncercie uwieczono go złotym laurowym wieńcem.

W Lizbonie czekały go nowe tryumfy i nowe laury. Przy dworze królewskim dostąpił największych zaszczytów i otrzymał w darze złotą tabakierkę, zdobną koroną z brylantów. Dnia 23 Czerwca 1849 roku, Kątski został mianowanym kawalerem orderów: *Maria de la conceição, de la villa Viçosa*. Kątski jest jedynym artystą, który posiada te znaki honorowe. Po 30tym koncercie danym w Lizbonie udał się do Niemiec; w Berlinie wystąpił przy końcu 1850 roku. Dziesiątego Stycznia 1851 roku, Kątski był zaproszonym do Charlottenburga, gdzie grał w obec Króla. W jednym ogromnym dworskim koncercie, 8 Lutego, na którym oprócz Arcy Księcia Leopolda Austriackiego znajdowało się i wiele innych dostojnych osób płci obojęd, oraz występując w publicznych koncertach zaszczyconych obecnością dworu, Kątski podobał się powszechnie i otrzymał od Jego Królewskiej Mości, oprócz innych podarunków, za dedykacją koronacyjnej uwertury, duży złoty medal, *Pour les mérites dans les arts*, do którego był dołączony własnoręczny list Króla (*).

W przejeździe Jéj Cesarskiej Wysokości Wielkiej Księżnej Maryi Mikołajewnej danym był w dużym pałacu koncert, na którym Kątski odegrał ulubione sztuki Królowej i zgodnie z Jéj życzeniem mianowanym został nadwornym fortepianistą. Książęta, ministrowie i Aleksander Humboldt, obsypali go tysiącami grzecznościami.

(*) Monsieur de Kontski. C'est avec intérêt, que Je viens de recevoir la Partition de l'Ouverture, que vous avez bien voulu Me dédier, et Je Me fais un plaisir de vous exprimer Mes remerciements de cet envoi; en vous assurant de Mon estime et de Ma bienveillance Je vous engage à accepter, comme une preuve de Ma satisfaction, la médaille ci-jointe, destinée aux mérites dans les arts. Votre affectonné.

Frédéric Guillaume.

Berlin, le 19 Février 1851.

A Monsieur de Kontski, Pianiste de la Chambre de sa Majesté la Reine d'Espagne.

Za szkołę dedykowaną w październiku Królowi, otrzymał Kątski order Orła czerwonego. Wkrótce potem udał się po 20 letniej niebytności do Krakowa, gdzie w jedenaście dni dał siedem koncertów, we Lwowie zaś osiem.

Przy dworze królewskim w Hanowerze doznał najświetniejszego powodzenia. Panujący Książę Saski Koburg-Gotha z szczególnych względów udarował go orderem saskim; tegoż samego zaszczytu dostąpił od Króla Greckiego, który go mianował kawalerem Orderu Zbawiciela, 5go Sierpnia 1852 r. w Karlsbadzie.

Kątski nie tylko jest fortepianistą, kompozytorem na fortepian, ale nadto pisał symfonie Msze i Opery; z tych ostatnich głównie zwracają uwagę na siebie: Egilda de Provence, Esmeralda i Zbójcy z Samosierra.

W Warszawie dał Kątski z największym powodzeniem, siedemnaście koncertów; odbył również podróż artystyczną po królestwie, będącą pasmem ciągłych owacyj i bezustannych tryumfów, dowodem czego są następujące wiersze, które załączamy w przedruku:

1. SONET.

DO

ANTONIEGO KĄTSKIEGO

po koncercie w Lublinie dnia 21 Stycznia 1853 r.

Od dziecka nieobecny na téj ojców ziemi,
Grałeś mistrzu u obcych; twe natchnione trudy,
Ocenili już w świecie Królowie i ludy;
Kiedy stajesz nam wreszcie pomiędzy swojemi.

Warszawa wita ciebie siłami całemi,
Już potęgą twój chwały zachwycona wprzód,
Biegnie teraz z grą twoją w kraj czaru, uludy,
Cieszy się pociechą, płacze łzami twemi.

Błogo nam, żeś nie minął i naszego grodu,
Daleś tu jedną chwilę co z duszą się splata;
Bo tony pieśni twojej, to gieniuszu dzielność!
Mistrzu! tyś jest czarownik wszech ziemi obwodu,
Przed tobą wieczny tryumf, poklask reszty świata,
Z tobą chwała i miłość, w dali nieśmiertelność!...

2. TOAST

wśród uczty danej dla

ANTONIEGO KĄTSKIEGO

*przez Resursę Lubelską, na balu danym w dniu 22 Stycznia
1853 r. przez Towarzystwo Lubelskie Dobroczynności.*

Uroczysta to biesiada,
Mistrz do uczty z nami siada!
W sercach dzwieczny szal.....
Wczoraj błogo on zachwyił,
A dziś znowu nas zaszczycił,
I pieśń nową grał.
Przez świat cały uwieńczony,
W rodzinne schodzi strony,
Czarowny nasz brat;
Chwała znaczy jego stopy,
Dziś do wieńca od Europy,
Włączmy bratni kwiat.
Lublin dzieckiem znał go jeszcze,
W dziecku przeczuł dary wieszczce,
I obecną cześć.

A więc panie i panowie,
W imie Boże, mistrza zdrowie
Chlubnie nam jest wznieść.
Lecz niekoniec mego słowa,
Bo biesiada ta godowa.
Nie tu ma swój kres:
Mistrz rozjaśnił bal ten świetny,
Biedni przyjmą dar szlachetny,
Oschnie wiele łez.

Więc niech wita myśl pogodna,
Każdy ze mną czarą do dna.
Zdrowie mistrza pij,
Dzięk mu złożmy od ubogich,
Starców nędznych, sierot mnogich,
Żyj nam Kątski żyj!

Edmund Znatowicz.

W Kijowie razem z bratem swoim Apollinarem był nader świetnie przyjętym.

W Petersburgu koncerta jego były nazywane prawdziwą uroczystością muzyczną, tak pod względem wykonania programu, jak również i świetnego zebrania się publiczności. W Moskwie zawsze na parę dni przed koncertem już wszystkie bilety były rozkupione.

Obecnie mistrz nasz osiedlił się na czas długi w Petersburgu, gdzie corocznie daje koncerta, odwiedzane przez najmodniejszy świat stolicy. Najznakomitsi wydawcy muzycalni na przemian ubiegają się o jego kompozycje, a jako nauczyciel muzyki trzyma prym w rzędzie swych współzawodników; na tym więc zakończęm jego dotychczasowy życiorys, — reszty dopełni potomność.

Wice miedzi wina iwy pogodna
Kiedy ze niny oazy do dna
Zobowiazanie nasze
Dziś mi złożył obłogi
Siercow nędnym, serot mnogich
Xyl nam Kłesł xyl

Edmund Znamierowski

1857

W Kijowie razem z bratem swoim Apollinariem był nadier
awieranie przystępne
W Petersburgu koncerta jego były nazywane prawdziwym
niezwykłością muzyczną, tak pod względem wykonania, pro-
gramu, jak również i świętego xęptania się publiczności.
W Moskwie zawsze na parę dni przed koncertem już wży-
skie bilety były rozkupione.
Opiekie mistrza nasz osiobił się na czas długi w Peter-
sburgu, gdzie corocznie dął koncerta, odwieczane przez naj-
modniejszą światł stołicy. Najbardziej żył w muzyce
ni na przemian ubiegają się o jego kompozycje, a jako na-
czelni muzyki trzymają w rękach swych, współzawo-
dników; na tym więc zakonczam jego dotychczasowy życie-
tyś — reszty dobiełni potomność.

Chwała i szacunek

Dziś do nas przyjeżdża

Wszyscy w tym czasie

W dzień ten przyjeżdża

W dzień ten przyjeżdża

W dzień ten przyjeżdża

A więc patrzcie i słuchajcie

W imię Boże, miłujcie

Chłabcie nam, miłujcie

Lećcie niekoniecznie mego słowa

Bo biesieda to gołota

Nie ma tu i teraz

Mistrza rodu, tak ten świat

Bieda przynosi nam zło

Och, nie wiecie ten

POGADANKA

O MUZYKACH I MUZYCE.

(1857 roku)

FELIETONY.

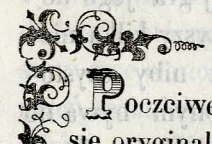
Wice miedzi wina iwy pogodna
Kiedy ze niny oazy do dna
Zobowiazanie nasze
Dziś mi złożył obłogi
Siercow nędnym, serot mnogich
Xyl nam Kłesł xyl

W pierwszym dniu koncertu
który miał za cel parę obywateli
Laska lub Łaskiego, w drugim natomiast
winnym duchem tworzą nie po ciele, lecz

POGADANKA

O MUZYKACH I MUZYCE.

(1857 roku.)

 Pocziwe miasto nasze Warszawa, rzadko odznaczające się oryginalnością, sławne jednak dobrmi chęciami, mie-
wa swe artystyczne peryody, imitując znaczniejsze mia-
sta Europy.

Obecnie, weszła zwyczajko muzyka do naszych salonów, a więc jest peryód melodyi. Lecz też ile razy ta melodia na ciężkie próby naraża pocziwe uszy, ileż razy za szklanke herbatki z sucharkiem jesteśmy zmuszeni podziwiać cudne utwory Verdego i Mejerbeera w najbezpieczniejszy wykonane sposób, że prawdziwie błogosławimy chwilę, gdy się wymknąć możemy i błogosławimy traf szczęśliwy, że ci wiecy mistrze nie słyszą parodyi swych arcydzieł. Szczęśliwy jednak śmiertelniku, jeżeli na tém kończy się próba twojego słuchu, stokroć szczęśliwyś, jeżeli tylko złe pojęcie autora, niewłaściwie naciśnięte forte, fałszywie wydobyty ton i brak w grze deklamacyi zadraśnie ci ucho; lecz wystaw sobie cierpienia tego, kto skazany na wypróbowanie czyjegoś talentu improwizatorskiego, pocić się musi nielitościwie przez kilka, a czasami i więcej godzin.

W pierwszym razie mordują cię koncertami amatorowie, którzy najdalej za lat parę obiecują przewyższyć Drejschoka, Liszta lub Kąskiego; w drugim: natchnieni albo upojeni wieszczym duchem tworzą nie już cuda, lecz cudaki harmonii,

nie żałując rąk i nóg do wydatnienia swoich tworów, a raczej potworów. Znajdziesz dziś takich w każdym niemal zebraniu, w każdym salonie; geniusze dziś rosną jak grzyby, nie sieją ich, nie orzą, a jednak rosną na chwałę kraju, jak sami utrzymują. Improvizator w salonie, bywa to zwykle młody jakiś Maestro, niepoznany, nieoceniony, i nieopłacony, lecz za to z wielkim talentem, z bardzo długimi aż na ramiona spadającymi włosami, z zadartym nosem i błędnym wzrokiem. Taki mistrz niedługo daje się prosić, lecz uprzedza zwykle, że jest w rozstrojeniu czy też odstrojeniu, co na jedno wychodzi, a mówi prawdę najszczerszą, jak później gra jego dowodzi. Siada wreszcie do fortepianu i uderzywszy kilka niesfornych akordów, zaczyna waryacje na temat niby czystomiejskowy, który przecież daleko więcej podobnym bywa do lapońskiej pieśni, lub uroczystego marsza mieszkańców Tumbuktu. Nie tu przecież bywa koniec doświadczeń słuchaczy, wysuwa się zaraz potem jakaś olbrzymich kształtów figura rodzaju żeńskiego; jest to salonowa poetka i jak ją w swym gronie zwykli nazywać: „Natchniona córka Bogów.“

Otóż ta natchniona córka Bogów, moderując głos swój do natchnionej muzyki, improwizuje wiersze pełne fantazyi, nie krępując się żadną formą wersyfikacyi, a nawet sensu, lecz na chybił trafił, jak Bóg da, co też jęć się najzupełniej udaje, bo nikt zrozumieć nie mogąc, podziwia jęć erudyce lub milczy z swoim zdaniem, nie wiedząc o co rzecz idzie.

Nieharmonijne jęć wiersze są zwykle tęp dla czulego ucha, czem jest skrzypienie po szkle lub jazda niesmarowanym wozem. Zdawałoby się komuś, że te karykatury muzyki i poezyi, wyśmiane, wyświstane być powinny, nie tak przecież się dzieje. Każda ma swą koteryą zwolenników, uwielbiaczy mniemanego talentu, bywają też hojnie obsypane oklaskami, podziękowaniami i wdzięcząciami się uśmiechy, które zebrane razem, stanowią świetny wianek bobkowego liścia (trudno powiedzieć lauru), na ich szczęśliwe głowy włożony.

Są jednakże i tu wyjątki: wśród liczego grona dylletantów, znajdziesz i rzeczywiste talenta, znajdziesz artystów i artystki w całym znaczeniu tego wyrazu, których gra porywa i unosi. Są to jasne, pełnym ogniem natchnienia płonące gwiazdy wśród tych niezgrabnych imitacyi, tak jak czyste złoto przy zbrukanym szychu. Lecz te artystki pełne talentu i zamiłowania w swęj sztuce, miewają na nieszczęście jak cień nieodstępne ciotki i kuzynki, które sądząc się poświęconymi w tajniki artyzmu, plotą dzikie absurda i połowę psują efektu. Gdyby przynajmniej miały mniej zarozumienia i mniej były gadatliwe, znoszonoby je jako sprzęt konieczny, jako dodatek, którego usunąć niepodobna; ale one posiadają niestety swe stanowcze zdanie, mają w swęj głowie zapas wyrażań technicznych, które połknawszy w przelocie, przetrawione, przefiltrowane i do niepoznania zmienione, szafują niemi przy każdej okazji, jakby zdawkową monetą.

Do teje samej kategorii należą mężowie primadonn. Jak tamte, tak i ci świecą pożyczanym blaskiem; są to satelity, są to zera, które nie same z siebie nie znacząc, stanowią jednak cyfrę w połączeniu z żoną. Dowodem tego jest fakt, który zaraz przytoczę.

Sławna śpiewaczka, której imię cała Europa z uwielbieniem powtarza, przybyła po wielu latach w rodzinne swego męża strony. Mąż jęć, człowiek dobrze urodzony i wykształcony, miał sobie za obowiązek złożyć wizytę swemu wyższego znaczenia rodakowi, a zarazem załatwić interes jaki mu wypadł w tym czasie. Przybywszy do jego pałacu, kazał się zameldować, lecz gospodarz nie znając go z nazwiska, polecił powiedzieć, że go nie ma w domu; powtórzyło się to raz drugi i trzeci. Nareszcie zniecierpliwiony biedny mąż śpiewaczki wymienia nazwisko swęj żony, i natychmiast zostaje przyjęty. Zdarzenie to dowodzi jakie poszanowanie obudza powszechnie prawdziwy talent, i jeżeli go dziś nie zasypujemy złotem, to przecież nikt obwinić nie może, abyśmy nie nieśli mu hołdów i pozwolili umrzeć z głodu.

Bywają jednak zdarzenia, że popularności nabywają je-
niasze dopiero po śmierci, że wtenczas dopiero oceniają ich
ogrom i budują im pomniki wiekopomnej sławy, a chociaż za
życia już znani i cenieni, śmierć im przecież dopiero kładzie
na skronie wianek laurowy.....

Tego losu doznał nasz serdeczny Chopin. Dzieła jego
brzmia sławą zasłużoną za granicą, potęgą swą pieśni porywa
serca słuchaczy, a my ziomkowie jego, własnej pieśni, jakby
z własnej naszej wysnutej duszy, zrozumieć nie potrafimy i
dziś gdy Francya, Belgija i Włochy z świętym zapalem wita-
ją jego twory, my zaledwie kiedy niekiedy i jakby ze stra-
chem umieszczamy w koncertowym repertuarze jego kompo-
zyce.

Szczególny był początek jego chwały i szczególne zejście
z osobą, która wielki wpływ wywarła na koleje jego życia.
W pewnym domu w Paryżu, zajmował Chopin mieszkanie,
którego okna były naprzeciw okien pani George Sand. Otóż
pewnego razu młody nasz artysta, tworzył jakąś melodyą, ale
mu coś widocznie zbywało na natchnieniu, bo po kilkakroć
wstawał i siadał do fortepianu, lecz myśl niesforna nie była
mu posłuszną, a fantazja na lotnych uleciała skrzydłach. Na
drugiej stronie, naprzeciw, pani Sand, maczała pióro, myśla-
ła, znowu maczała, znowu myślała, a myśl upornie więzła
na piórze i ani jednym wyrazem na papier przenieść się nie
dała. Rzuciła więc pióro z niecierpliwością i patrząc w prze-
ciwległe okna, spytała prawie bez swęj wiedzy, „kto tam
mieszka.“ Subretka wzruszyła ramionami i odrzekła od nie-
chcenia: „Jakiś cudzoziemiec, muzyk, podobno nazywa się
Chopin.“

Prawie w tej samej chwili Chopin porzucił fortepian,
a chodząc po pokoju dla rozerwania myśli, podobnież zadał
zapytanie służącemu. Ten z podziwieniem podniósł oczy, i
podrapawszy się za ucho, rzekł jak człowiek, który się waha
w odpowiedzi nie będąc pewnym swego: „podobno jakaś pi-
sarka, dama, którą nazywają Sand.“

Dziwna rzecz, dwa te nazwiska wymówione jednocze-
śnie, dały natchnienie dwóm jenialnym głowom. W miesiąc
potem miał miejsce wielki koncert Chopina wykonany w sali
Pleyela, a z druku wyszła ona sławna Lelia napisana przez
p. Sand.

Któż nie zna stosunków Chopina z tą sławną kobietą?
Razu pewnego jenialny nasz rodak dogorywał, trawiony nie-
uleczoną słabością, leżał więc w szesłagu i marzył jeszcze
boskie melodye, jakie wiecznie w duszy jego brzmiały. W sa-
lonie tymczasem, obok jego pokoju, pani Sand jako gospodyni
przyjmowała gości. Zebranych było kilku pisarzy i artystów,
między temi ostatnimi zaszedł spór, kto jest wyższym pod
względem mechanizmu Thalberg czy też Liszt? Mejebeer mogąc
ustalić zdania, wezwał o takowe Chopina. Ten się uśmie-
chnął i rzekł bez namysłu: „Obydwaj są wielcy mistrze i
równi sobie, lecz gdybyś każdego z nich pottrzymał z jakie
kilka miesięcy w odosobnieniu, Liszt by zagrał, jakby do-
piero wczoraj wstał od fortepianu, a Thalberg by się zmie-
szał, bo pierwszy gra z natchnieniem, a drugi jest biegłym
wykonawcą.“

W parę minut Berlioz zbliżył się do Chopina i wyznał
mu pod sekretem, iż napisał marsz uroczysty, i że go chce od-
dać pod sąd jego. Chopin wtenczas prosił go jak o łaskę,
aby ukrył ten utwór na czas jakiś przed światem i zachował
go na śmierć jego, aby mu służył za marsz pogrzebowy.

— Wiem, rzekł dalej, że nie lubisz długo czekać z wy-
daniem prac swoich, lecz zapewniam, — dodał z smutnym u-
śmiechem, — że ja ci długo czekać nie dam na siebie. „I rze-
czywiście w kilka dni potem przed grobowym konduktem or-
kiestra grała marsz Berlioza, a na marach spoczywało cia-
ło Chopina.

Kamieniem węgielnym koncertu jest salon, salonik, teatr lub teatrzyk, a czasem sklep do wynajęcia (w tymczasowej podnocy); podobnie program, który powinien obejmować parę różnych imion artystów i amatorów; a imię koncertanta to nie dbaj, ono może być nieznaną, może tu jakieś pismo, sławę, chowają na później, przy okazji, przy po-
myślnym zbiegu okoliczności, przy względach pana Redaktora, który jest na szczególne ciętecznym bratem siostry kon-

KONCERCIKI.

Co to jest koncert? Polowanie na sławnych artystów. Wampiry. Wampir i umierający. Strach ma wielkie oczy. Widziadła. Słyszadła. Klaskadła. Cudowni dzieci. Fenomeny. Recenzenci muzycy. Mniemani soliści cudzoziemskich dworów. Słowo o bezstronnej krytyce Zapła. Oklask wymuszony i ulubieniec publiczności. Zakonczenie.

Chcecie żebym wam powiedział, co to jest koncercik? jest to popis na jakimkolwiek instrumencie, na skrzypcach, fortepianie, waltorni, trąbie, kontrabasie, wiolonczelli, flecie, oboju, harmonijce, bębnie nawet, młodzieniaszka, młodzieńca, żaka, dziecka, niemowlęcia czasami, bez różnicy płci; a nawet tytuł tylko, dla pokazania publicznie kilku młodzieniaszków, młodzieńców, żaków, niemowląt razem zgromadzonych; albo wreszcie popisy orkiestrowe, nagromadzenie tonów bez końca, chaos w którymby i sam Mefistofel do ładu nie trafił, zebranie afiszowych koncertów, a nadewszystko darmo wyzebranego grosza. Koncerciki w ostatnich czasach, masą nieprzemierzoną wtargnęły się do światła spekulacji, a z nimi wzrasta liczba geniuszów i meteorów muzycznych!

Dziwna rzecz, dwa to nazwiska wymyślone jednocześnie. W miesiecu potem miał miejsce wielki koncert Chopina wykonany w sali p. Sana. a z drugą wysła ona sławną kelią napisała p. Sana.

Ktoś nie zna słowników Chopina z tej sławnej kielichy? Bana pewnego jennitny nasz robał dogorywał, trawiony nie-
ulekoma słabością, leżał więc w szpitalu i marzył jeszcze dobieć melodii, jakie wieszanie w duszy jego brzmiały. W sa-
lonie tymczasem, obok jego pokoju, pani Sana jako gospodyni przyjmowała gości. Zebranych było kilka pisarzy i artystów, między temi ostatnimi zasiadł spór, kto jest wyższym po-
względem mechanizmem Thalberg czy też Liszt? Mefistor mógł ustalić zdania, weszła to takowe Chopina. Ten się usmie-
chał i rzekł bez namysłu: „Obydwaj są wielcy, mistrzo i równi sobie, lecz gdybyś każdego z nich potrzywał z jakiegoś
kilka miesięcy w odosobnieniu, Liszt by zagrył, jakby do-
piero wczoraj wszedł od fortepianu, a Thalberg by się zmie-
szał, do pierwszego grał z natchnieniem, a drugi jest biegłym wykonawcą, z wyjątkiem tym zaś, natchnieniu to Liszt i Thalberg

W parę minut Berlioz złożył się do Chopina i wyznał mu pod sekretem, iż napisał marzę uczyć się, iż go chce od-
dać pod sąd jego. Chopin wiencał prosił go, jak o jakieś, aby ukrył ten utwór na czas jakiś przed światem i zachował go na śmierć jego, aby mu służył za marzę pogrzebową.

Wiem, rzekł dalej, że nie lubisz długo czekać, a wy-
daniem prąd swoich, lecz zapewniam, — doba z samymi ci-
smiechem, — że ja ci długo czekać nie dam, na siebie. I prze-
czywiście w kilka dni potem przed grobowym konduktorem —
kiesza grała marza Berlioz, a na marcach spoczywało cia-

Kamieniem węgielnym koncerciku jest salon, salonik, teatr lub teatrzyk, a czasem szopa do wynajęcia (w razie gwałtownej potrzeby); później program, który powinien obejmować parę głośniejszych imion artystów i amatorów; o imię koncertanta tu nie dbają, ono może być nieznane, rzecz tu idzie o pieniądze; sławę chowają na potem, przy okazji, przy pomyslnym zbiegu okoliczności, przy względach pana Redaktora, który jest na szczęście ciotecznym bratem siostry stryja koncertantki.

Jak tylko sala jest gotowa i program w projekcie, robi się plan polowania na artystów mających przyjąć udział, i na publiczność mającą się zebrać gromadnie na koncert. O! wiek nasz, jesz to wielki myśliwy, poluje on na wszystko, co tylko pieniądze w zysku przynieść może.

Zadaniem koncertanta lub koncertantki jest zwrócić uwagę publiczności na afisze, przekonać ją gwałtem, iż będzie miała miłą sposobność wesprzeć poczynający talent, i usłyszeć artystów europejskich posiadających wziętość; otóż i obmyślane łowy na publiczność i na artystów głośniejszej reputacji. Nieszczęśliwi ci artyści!... napróżnoby zabarykadowali przed tą szarańczą drzwi swego mieszkania, napróżnoby kilku argusów postavili w przedpokoju. Blade figury bohaterów koncertików wszędzie trafiają, wszędzie się przedrzeć zdołają. Ich załośnie mina ściga artystę we dnie i w nocy, zasnąć mu nie daje, ich głos rozdzierający wytrąca mu łyżkę rosołu z ręki; jeśli ośmieli się sięść do obiadu, ich cierpkie melancholiczne spojrzenie, zda się nawet, że na dolinie Józefa czynić ci będzie wyrzuty za nieczułość. Słowem każdy z proszących jest dla artysty istnym Wampirem.

Rzadko więc kiedy odmawiają oni Wampirem, z obawy narażenia swojej doczesnej i wiecznej spokojności, i dlatego też liczba koncertików powiększa się z dniem każdym; artyści w ciągłym obleżeniu, publiczność niemniej, codziennie bowiem spadają deszcze biletów 3-rublowych, aż ją zimno na wskrós przejmują.

W jednej z stolic europejskich w roku 185* mieliśmy daleko więcej koncertików, jak kiedykolwiek. Silono się na różne wynalazki, na wybryki przemysłu, nareszcie zaczęły się pojawiać na afiszach koncerciki dla improwizowanych sierot, familij bez nazwiska, dla ślepych, głuchych, kulawych; słowem każdy rad korzystał ze swojej ułomności prawdziwej lub udanej, aby tylko ogłosić koncertik pod nazwą *wielkiego koncertu*.

Wchodząc do pokoju jednego ze znanych artystów, zastałem już o godzinie 8 z rana ośmiu czekających Wampirów z karteczkami obejmującemi programata. W kilka dni potem zagadnąłem w tym samym przedmiocie pana S. milionowego miłośnika i protektora muzyki. Pokazał mi całe szuflady wypełnione biletami i programami tęczowych kolorów; był to tylko zapas z jednego miesiąca.

Mógłbym przytoczyć wiele anegdot, charakteryzując tego rodzaju polowanie na publiczność, i napady wśród białego dnia na nią, przymuszające ją gwałtem do sympatyj koncertowej, ale przeszedłbym zakres niniejszego artykułu, podaje więc tylko jeden autentyczny wypadek, dowodzący o ile taki Wampir jest niebezpiecznym dla osób mających zbyt drażliwe nerwy.

Do pana *** wszedł Wampir płci żeńskiej, zapraszając go na koncert. Pan był słaby, nie przyjął więc nieproszonego gościa, ale sługa jego, chcąc się uwolnić od natręctw Wampirów z biletami, oświadczył mu, iż nazajutrz mu ułatwi wstęp do pana. Na drugi dzień zjawia się Wampir powtórnie. Nagły blask jarzących świec uderza go i zdumiewa, wokoło czarno, w tém spostrzega katafalk, a na nim trup spodziewanego słuchacza. Wrażenie trwało chwilę. Wampir nie traci czasu i biegnie do osoby zapisanej w dalszej kolei na liście.

Wchodzi i zastaje panią domu, na kanapie siedzącą przy śniadaniu. Zaledwie rzecz wyjaśnił, zachmurzyło się pogodne dotąd czoło gospodyni, brwi zmarszczyły, śmiejące się usta przekrzywiły, głos ochrypl.

— Mój Boże! zawołała, znów bilety.... już nie chcę więcej koncertów, muzyka nerwy mi rozdziera, słuch przytępił mi się znacznie, przyjdzie wkrótce zmysły postradać.

— O pani! kwilił żalonym głosem Wampir, sąsiad pani miał wziąć dwa bilety dzisiaj.... ale umarł. Teraz pani mi odmawiasz.

— Jakto? sąsiad mój nie wziął biletów i umarł?

— Tak pani, po niego to karawan stojący przed bramą zajeżdżał.

— A to proszę o dwa bilety, proszę mi darować, zem odmówiła z początku, ale nie w humorze byłam. Co się należy?

— Sześć rubli srebrnych, najdroższa pani dobrodziejko.

— Proszę.... umarł.... patrzcie państwo, i nie będzie na koncercie.

Cóż ztąd wypływa? iż koncerciki takie, napęniają się automatami chodzącymi, które idą tylko po to na koncert, aby nie wydać darmo pieniędzy. Wampiry bowiem nikogo nie szczedzą; osoby, którym gwałtem bilety wciśnięto, albo które wzięły takowe przez litość, bilety swoje zwykle odstepują słuzącym i ich znajomym. Sala napęnia się, że tak powiem, słysządlami, które nie nie słyszą, a przynajmniej tego co słyszą, nie rozumieją; widziadłami, które w twarzy grającego na jakim instrumencie szukają odcienia urojonój przez siebie powierzchownej oznaki geniuszu, i biada jeśli nos jego, oczy albo włosy uznają za niejenialne; artysta przepadł bez ratunku, a z nim i jego przyszła karyera.

Spotykałem wiele widziadeł patrzących na pannę Rachel i niedbających bynajmniej o to, co ona deklamowała; im dość było wpatrywać się w jej nos, oczy, usta, włosy przyczesane à la Diane; tam to oni wypatrywali źródło tego geniuszu, który podziwia Europa, a serce ich było głuche i milczące, chociaż w tym razie wybaczyć im można, biorąc na wzgląd, iż mało było takich, do głębi serca których deklamacya panny Rachel wkraść się potrafiła.

Wracając do koncercików dodać należy, iż stają się one przedmiotem pogłosek, które obrażają reputacyą imienia ma-

jącego już zasłużoną wziętość. Zaiste! jest wiele osób, które więcej się zajmować lubią plotkami koncertowymi, jak koncertami, bo tam prócz bemolów nie więcej nie znajdują, a tu przynajmniej do woli nagadać się mogą. Cóżbyście naprzykład powiedzieli czytelnicy, gdyby wam się zdarzyło być na koncercie, w którym akompaniujący na fortepianie prowadzi taką rozmowę z grającym. Scena odbywa się jak następuje:

Wiolonczella: Pan grasz fałszywie i za prędko.

Akompaniator: To pan sam zgubiłeś takt, trzeba być Salomonem na to, aby mu dogodzić.

Wiolonczella: Weź pan akord be moll.

Akompaniator: Fałsz, należy wziąć e dur.

Wiolonczella: To ja grać nie będę i na śmiech pana wystawię.

Akompaniator: Nie graj pan sobie; ja koncertów nie daję, mnie sławy nie potrzeba.

Kilka słyszałeł razem: Cóż to, oni się tu klócić przyszliz? tego u nas i w domu nie kupić.

Pierwsze słyszało: Powiedziecie mi panowie, co on gra? co tam stoi w programie?

Drugie słyszało: Swoją improwizacyą.

Trzecie słyszało: O dziwy! To jenuz! Tak młody a już komponuje.

Czwarte słyszało (z gniewem): Co wy gadacie, ja znam ten kawałek. To sonata Mendelsohna.

Piąte słyszało (z dobrocią): No, cóż to szkodzi, to się często zdarza.

I tysiące podobnych wybryków. Otóż to tacy słuchacze sądzą później o artystach. Jeśli na nieszczęście przyjmował w takim koncerciku udział artysta, który w kilka dni ogłasza swój własny, na uwagę znawców zasługujący koncert, usłyszysz w około siebie śmiech pogardy i ironii, błędzący na ustach, i słowa wymówione półgłosem:

— On śmie dawać koncert!... ładnie się popisał niedawno, na koncercie danym na dochód niewidomego flecisty!... nut czytać nie umie!

— Zkąd pan to wiesz, spyta ktoś z boku.

— Opowiadała mi to siostra mojej bratowej, której gwałtem dwa bilety wsunęto.

Brak dobrych koncertów wpływa także wiele na zepsucie gustu w publiczności. Sezon koncertowy w pewnych peryodach, nazwać można siecią nastawioną na zwolenników muzyki. Biorą się na rozmaite sposoby, aby zaostrzyć uwagę; afisze codzień zmieniają formę, programy na coraz innym drukowane są papierze. Ogłaszają to koncert olbrzymów jeniałnych, to znowu Liliputów arcy-jeniałnych. Co chwila słyszymy:

— Jutro warto iść na koncert. Będzie grało jeniałne dziecko, wyobraźcie sobie ma lat 7 i już gra na 7 instrumentach.

— Jakto na siedmiu razem?

— Zwaryowałeś?... na każdym z osobna, a czasem i na dwóch razem.

— Na jakież, powiedz mi?

— Zgadnij?

— No powiedz mi, bądź łaskaw, to już gotów będę zryzykować 3 rsr.

— Gra na skrzypcach i sam sobie akompaniuje, śpiewa i gwizdże zarazem to jest cztery: tańczy kacuczę, deklamuje aż miło i umie wywracać koziołki i skakać na linie.

— A! a! a! a! doprawdy.... to fenomen!

Lub znowu spotyka się dwóch przyjaciół.

— Gdzie pędzisz? pyta jeden.

— Na koncert.

— Na czyj koncert?

— Wystaw sobie, dwunastoletnia dziewczynka gra na skrzypcach i naśladuje na nich wszystko co się podoba, ryczenie wołu, krowy, osła, śpiew kanarka, świst wiatru, burzę, i wszystko to robi z cykają.

— Chyba staccato.

— A Bóg ją tam raczy wiedzieć, mówię ci tylko, że mój brat, co przepada za skrzypcami, a zwłaszcza za pięknymi skrzypicielkami, ledwie nie oszalał z zadziwienia....

— Och! to jeniusz!

— Naturalny jeniusz, nieporównany jeniusz! dziwo! ośmy cud świata.

— A to warto pójść, już też dawno nie słyszałem dziecka z jeniuszem.

— Ale, słuchaj!... przyjechał tu pierwszy wiolonczelista w Europie. Jutro także jego koncert.

— A już trudno, na dwóch razem być nie mogę; zresztą, któżby mi tam kazał słuchać starego, kiedy młody jeniusz o trzy kroki. Pewno u tamtego, nie ma już ani za grosz ognia i zapachu. Passyami lubię jeniałne dzieci!

Otóż to tacy ichmościowie zainprowizowali sobie jeniusz, i poszli trąbić po całym mieście o nim. Jeśli dla wielu, głos ich będzie głosem wołającego na puszczy, to znajdują się jednak i tacy, którzy za nim polecają, i będą na koncercie 12sto letniego jeniusza krzyczeć, hałasować, tupać nogami, rzucać wieńce, które zawczasu zabrali z sobą, i jeniusz, który daj Boże aby był choć miernym wykonawcą, będzie okrzykanym, wyniesionym pod niebiosy. Wywołają go w sali, w korytarzu, na schodach, często na ulicy nawet, a nazajutrz napiszą w gazetach, że wywołanym był 40 razy!

Rozumie się, że złudzenie prędko znika, ale pewien czas pozostawi publiczność w błędzie. Koncert wiolonczelisty europejskiego pusty, a co gorsza, iż znajdzie się zaraz recenzent, który otrzymawszy bilet na koncert jeniałnego dziecka, a nie mogąc z powodu licznych zajęć pójść na takowy, posyła na swoje miejsce znajomego. Ten wpada zadyszany, złany potem, który kroplami spływa po jego twarzy.

— No i cóż? pyta zdumiony recenzent.

— Czterdzieści razy wywołano. Zarzucono wieńcami, entuzjazm, furore!!

— Nie może być? Dobrze żeś mi to powiedział, wspomnę o tym w pierwszym felietonie.

I nazajutrz wychodzi felieton, który się zaczyna temi słowami:

„Tak jak w państwie powietrznym rzadkie są meteory, i ukazanie się ich w podziw wprowadza, tak i na niwie muzycznej jutrznia fenomenalnego geniuszu, wywołuje przy ukazaniu się swoim entuzjazm widzów....“ Z tego ustępu łatwo można osądzić co będzie dalej.

Zdarza się nieszczęściem, iż zagraniczna gazeta przedrukuj ten artykuł pana X. X; Z. Ż, albo Ż; a brat skrzywiecielki bawiący za granicą, usłyszawszy o niesłychanym powodzeniu swojej siostry, odgrzebuje czempredziej zastygły swój talent na klarynecie, co tchu stara się o miejsce honorowe w orkiestrze jakiego księstwa niemieckiego i otrzymawszy takowe, pobędzie tam parę miesięcy, poczem bierze uwolnienie i spieszy na łeb na szyję do stolicy, gdzie jego siostra miała takie powodzenie i niezadługo potem słyszymy:

— Pan Y. przyjechał.

— Któż on taki?

— No, nie żartuj sobie, to solista teatru *. Przeczytaj na afiszu, przytém, jest to ten sam którego siostra miała tak olbrzymie powodzenie....

Znajdą się usłudni, którzy rozniosą famę po mieście, przytém tworzą się zaraz partye gardlujące jak na sejmikach, którzy na każdym kroku cytują ci jego zalety. Nareszcie koncert ogłoszony, sala wynajęta. Siostra koncertanta rozwinęła bilety wielbicielom swego.... talentu; „to geniusz,“ powtarza ona z zapalem.

Ale publiczność potrząsa głową z niedowierzaniem; taką mnogość geniuszów zastrasza ją nareszcie, straszy ją myśl powodzi muzycznej. Nareszcie pseudo-geniusz ukazuje się na estradzie, oklask grzmiący, przeciągły, dodaje mu moralnej odwagi; z wdziękiem, z przymileniem przytyka ów klarynet do ust, czarodziejski świst się rozlega. Publiczność natęży uwagę, ale niestety, te dźwięki poruszyć jej nie są w stanie, chce poklaskować z grzeczności, ale i oklask się jakoś nie składa. Wprawdzie brzmi jeden i drugi przytłumiony odgłos, niby szmer brzęczących pszczoł w ulu... to ma oznaczać brawo!

Nie przeszkadza to jednak publiczności rozejść się przed końcem koncertu.

I czy myślicie że recenzenci zamileją? Bynajmniej. Siostra koncertanta ma swoją partyę, ta ma swoich recenzentów, i nazajutrz czytamy w jednej z gazet: „Pan Y. był przyjętym z entuzjazmem i przywołanym pokilkakrotnie.“

Zdania tego bynajmniej nie stosuję do recenzentów.

Jest wielu krytyków, którym głos sumienia, nie dozwala z obrazą prawdziwej zasługi wystawiać mierność.

Ale ja tu mówię o recenzentach, którzy podpisują się trzema gwiazdkami, i zachowują najsurowsze incognito; bojąc się własnego zdania, niedowierzają oni własnym słowom. Wstydzą się nazywając mierność ulubieńcem publiczności, bo w tym przydomku wiele, wiele się zawiera. Wytlómaczę wam co to jest zapal i oklask wymuszony, i co to jest ulubieniec.

Muzyka obudzić w nas powinna rzewne uczucie, wzruszenie wznioślejsze. Żle się ci wyrażają, co nazywają koncert *zabawą*. Koncert jest to coś wyższego jak zabawa. Jest to wrażenie co usypia zmysły, bo tkliwą melodyą przemówić powinno nie do nich, ale do serca i duszy, i tknąć je niby iskrą elektryczną.

Słuchając pięknej muzyki, stopniowo przenosimy się w świat poetów, w świat marzeń; artysta staje przed nami, odziany wieszczym jakimś urokiem; widzimy w nim istotę wyższą, istotę wybraną od Boga, aby nas z niebiańską poznała melodyą, i uczucie czci, które nas ogarnia dla tłómacza wyższych natchnień, wydziera nam wykrzyk podziwu z piersi, popycha rękę do oklasku, i zamienia się wreszcie w jedno uczucie panujące, które wszystkie wrażenia razem połączyło w sobie, i które nazywamy zapalem, entuzjazmem.

Artysta, który takie uczucie obudzić potrafi w massie, łatwo się stać może jej ulubieńcem. Publiczność upragnioną jest wzniosłych wrażeń, lubi odróżnić mierność od wyższości, i ona to najlepiej osądzić potrafi, kto godzien jest nosić imię geniuszu, i komu ten przydomek nadany był prawem szlusz-

niego uznania. Publiczność ma ów instynkt, który, ją na tór prawdziwego talentu wprowadzić nie omieszką, ma zresztą i swoje zdanie, które rzadko kiedy zaprzeczonem bywa przez sumiennego recenzenta.

Artysta ulubiony przez publiczność nie potrzebuje roznosić biletów na koncert po domach, utrzymywać na stole swojej partii, kłaniać się recenzentom i pisać alisze w chwilach jeniałnych pomysłów.

On zaufany jest w swoją publiczność, wierzy w swój talent, i tryumfów jego ani głos, potwarzy, ani zółć recenzentów, ani intrygi współzawodników zagłuszyć nie są w stanie.

Byliśmy na koncertach, które gazety jako fakt w kronice muzycznej wskazywali. Publiczność tym razem uwierzyła gazetom: na pierwszy koncert zebrało się 1000 osób, na drugi 500, na trzeci 250.

Rezultat koncertów artystów posiadających reputacyą publiczną, ale przeciw którym żądło krytyki wymierzaniem było bezustannie, przedstawił cyfry następujące: na pierwszym 800, na drugim 1000, na trzecim 1200.

Na koncertach pierwszych zauważyliśmy, że poklaskiem słuchaczów rządziło spojrzenie bliskich przyjaciół lub krewnych koncertanta, albo koncertantki; bukiet kwiatów przeznaczony dla nich, długo drżał w ręku rzucającego, póki skinienie przyjaciela nie wskazało mu należytego kierunku, i dlatego też oklask ten był omdlały, przytłumiony, gasnący, kwiaty zwiędłe i pomięte; w koncertach zaś artystów będących przedmiotem ciągłej polemiki, w koncertach tych nie potrzeba było najmować klaskaczy; oklask szedł prosto z serca, wieniec spadł za popędem entuzjazmu, a artysta zdobył sobie tryumf, kosztem własnego imienia.

Jasno więc zrozumieć można, o ile pożądaną jest krytyka bezstronna, zdanie stanowcze, nie tehnące osobistością, i jak ważnem jest zdanie krytyka donoszącego o ruchu muzycznym i nie profanującego słowa *jeniusz*. Publiczność przez

dobrą krytykę nabiera gustu, prostuje fałszywe pojęcia o rzeczy, nabiera więcej zaufania do artystów, i więcej chętną się okazuje do wspierania pierwszych kroków poczynających.

Zdrowy sąd o rzeczy, światłe zdanie ludzi doświadczo-nych i fachowych, są dla każdego prawdziwą szkołą życia i postępowania.

dobrze krytykę, nabiera gustu, prostuje fałszywe pojęcia o rzeczy, nabiera więcej zaufania do artystów i więcej chętnie się okazuje do wspierania pierwszych kroków początkujących. Zdrowy sąd o rzeczy, światłe zdanie ludzi, doświadczonej i fachowej, są dla każdego prawdziwie szkołą życia i postępowań. W tym celu, koncert po koncert, musimy się walczyć o swoje, a także o ogólną kulturę i rozkwit sztuki w naszym kraju. Jesteśmy pewni, że wkrótce nasze koncerty przyniosą wielkie korzyści.

Oni jednak nie są tacy, którzy publiczność, której się starają, talent, i rynek jego ani głębi, ani siły, ani rozumu, ani intrygi, ani wspaniałostki, ani rozległości, ani w stanie.

Byliśmy na koncertach, które gazety jako foki w koncerty muzyczne wliczały. Publiczność tym razem nie miała racji, na pierwszy koncert zebrało się 1000 osób, na drugi 500, na trzeci 250.

Rezultat koncertów artystów posiadających reputację publiczną, ale przeciwnie, którym żądło krytyki wyniesieniem było bezustannie, przedstawia cyfry następujące: na pierwszym 800, na drugim 1000, na trzecim 1200.

Na koncertach pierwszych zauważyliśmy, że pokłaskiem słuchaczy, rzadko spojrzenie bliskich przyjaciół lub krewnych koncertanta, albo koncertantki; bukiet kwiatów przeznaczony dla nich, długo drżał w ręku rzucił się, pokłaskiem przyjaciela nie wskazało mu należyciego szacunku, i dlatego też okłask ten był omalby przydatny, gestem. Kwiaty świeżo i pomimo, w koncertach zaś artystów bezadw. przedmiotem ciągłej polemiki, w koncertach tych nie potrzebne było najmniejszego okłasku, a przynajmniej z sercem, wieniec spadł za popędem entuzjazmu, a artysta zbliżył się do tryumfu, rozkiem własnego imienia.

Jako, więc zrozumieć można, o ile pożądana jest krytyka, która nie jest tylko słownością, nie traktuje osobistości, i nie uważa się za zadanie krytyki donosić o rzeczach, których nie rozumie, a nie potrafi słowa zrozumieć. Publiczność przez

PAMIĘTNIKI ŚWIEŻEGO SZLACHCICA

zebrane przez

WŁÓCZYKJA

PAMIĘTNIKI ŚWIEŻEGO SZLACHCICA

zebrane przez

WŁÓCZYKJA.

Łokotek by myślał, że się urodził dwa wieki temu, bardzo by się mylił. Jestem owocem obecnego zwiłocia, z wszystkimi jego wadami i przyniosami; o ile te sobie przypisuję, ilem w stanie. Nie sądzę jednak, że to mnie, bynajmniej, a nawet przeciwnie, dnoży jestem z tego i chłabię się niemniej, że nie mam przedków, którzyby się za mnie ramię mogli, jak to mówią, niebądź nam dalsz arty, cześc się blazie.

Urodziłem się tedy owego pamiętnego roku wynalezienia gamowych kaloszy; to jest charakter mój, praktyczny, wyważony, certy tego szacownego przedmiotu, to jest, gębność, siłność, nieprzenikliwość, na wszelkie możliwe słoty losów. Opieram się z powodzeniem wilgotnej, gorączkowej aurze bynajmniej, w świecie kosmetycznym ostatniego grasa, a może wioda ka i nie swego; w trwałym ciążku, rany, przesłabie, a i ja, niem, ody, choć nieco wybitny, na warstwach, bym. Oficer mój, dalszóg nie wia czy był, na Antypach, lecz ponowat.

WŁÓCZYK IJA

zebrane przez

PAMIĘTNIKI ŚWIEŻEGO SZLACHCICA

Ktokolwiek by myślał, że się urodził dwa wieki temu, bardzo by się mylił. Jestem owocem obecnego stulecia, z wszystkimi jego wadami i przymiotami, o ile te sobie przyswoić byłem w stanie. Nie sądzie jednak, że to mnie boli; bynajmniej, a nawet przeciwnie, dumny jestem z tego i chlubię się niemal, że nie mam przodków, którzyby się za mnie rumienić mogli, jak to mówiąc między nami dziś arcy często się zdarza.

Urodziłem się tedy owego pamiętnego roku wynalezienia gumowych kaloszy; to też charakter mój przybrał wszystkie cechy tego szacownego produktu, to jest giętkość, ciągłość i nieprzenikliwość na wszelkie możliwe sloty losowe. Oparłem się z powodzeniem wilgotnej, gorączkowej aurze błyszczenia w świecie kosztem ostatniego grosza, a może w dodatku i nie swego; wytrwałem ciężkie razy, prześladowania i jestem cały, choć nieco wytarty, na warszawskim bruku. Ojciec mój, dalibóg nie wiem czy był na świecie; lecz ponieważ

ręczono mi honorem, że egzystował, musiałem więc uwierzyć, i nawzajem zapewniam was, że miał ojca. Lecz czy ten ojciec był czém na świecie, czy także miał jakiego ojca, o tém was całkiem zapewnić nie mogę, bo w chwili gdy okiem rozumu spojrzał raz pierwszy do koła siebie, nie żył już podobno, i widziałem tylko matkę, trudniącą się hodowaniem czarnych królików i białych kanarków. W dwunastym roku życia i ją straciłem. Otóż zostałem sam jeden na świecie, niewiadomego pochodzenia, niewiadomego stanowiska i niewiadomego sposobu do życia; jednym słowem człowiek trafia. Byłbym zapewne nie pisał wam kochani czytelnicy tych arcy-ciekawych pamiętników i zginął w tłumie przedwcześnie zgasyłych jeniuszów, gdyby pocziwy nasz sąsiad, wykwalifikowany introligator, nie wziął mnie na ucznia i jedyne go kollaboratora swych artystycznych wyrobów.

Przez trzy długie lata mazałem się w kłajstrze i lepiałem beiecznych kształtów pudełka, nazwane szumnie *roccoco*, mające zdobić konsole i gotowalnie wykwinionych apartamentów, aż znudzony tą mozolną pracą, porzuciłem opiekuna i zacząłem fabrykę na własną rękę, lecz czego?... nie zgadnicie, oto futerałów do kapeluszy.

Wielu się z was uśmiechnie na ten bagatelny produkt przemysłu XIX stulecia, lecz ja go inaczej ceniłem. Filozof we wszystkim znajdzie stronę dodatnią, i ja ją znalazłem w futerałach. W marzeniach rozbijał wyobraźni podnosiłem go nieraz do pewnego stopnia godności, i osądziłem, że kiedy kapelusz pokrywa najszlachetniejszą część ciała, to jest głowę człowieka, to i futerał do niego nie jest rzeczą tak błahą, na którą by uwagi zwrócić nie można, że więc naturalnie i on dzieli połowę sławy kapelusza, dla którego służy za przytułek po całodziennych pracach.

Jakoż los mi pomagał w nowym przedsięwzięciu i zarobek z każdym dniem się zwiększał. Materiał kosztował tak mało, potrzeby moje były tak bagatelne, gdy wprowadziłem rozumie się ściśle hemeopatję konsumcyjną, podług Hufelanda, że dochód przechodził najświetniejsze oczekiwania. Bo też

dodać tu muszę, że wyroby mej fabrykacji tyle łączyły w sobie gustu, elegancji i trwałości, że były pociechą i dumą każdego porządnego kamerdynera.

Po dwóch latach pracy, byłem już posiadaczem kapitału wynoszącego paręset złotych, który niebawnie powiększył się o jaką setkę, za dwóch psów odprowadzonych właścicielom, wedle wskazania szanownego organu brukowego.

I znów upłynęło lat parę, i znów kapitał urosł w dwójnasób, lecz też duma i chęć zysku urosła wraz z sumą, i biedziłem się po dniach i nocach całych nad sposobem forsownego zwiększenia mojego skarbu. Tysiące projektów rozsadzało mą biedną czaszkę, aż sam traf nasunął mi w ręce fortunę.

Jednym ze stałych moich kundmanów był Herszek Gitara, nazwany rudym, choćby właściwiej nazwać go można *czzerwonym*, tak pięknym kolorem jaśniała jego broda i para wspinających pejsów. Wiem, że go znacie wybornie, bo i któżby nie znał rudego Herszka, któżby nie znał Herszka, który wszystko kupuje i wszystko sprzedaje, zaczawszy od schedy modnego panicza, aż do złamanego pogrzebacza i stłuczonej butelki, który wszystkim się trudni, prócz tego co nie przynosi pieniężnego zysku.

Ten Herszek, to był cudny człowiek: nigdy nie jadł, nigdy nie pił, nigdy zdaje się nie sypiał, a jednak żył i chodził, a co największa, że nosił w starym pugilaresie masę pieniędzy, jak zwykli mawiać swego szwagra, brata, wuja, stryja, ale nigdy swoich, bo to był na pozór człowiek najbiedniejszy i najgodniejszy litości. Herszek był dla mnie z wielkim szacunkiem i serdecznością, z powodu mej oszczędności, wytrwałości i przemysłowej żyłki, a nawet raz przepowiedział mi świetną przyszłość, z warunkiem jeżeli mnie jęść będę. Odwiedzał mnie bardzo często i kupował hurtem futerały. Raz się zdarzyło, że wszedł do mnie bardzo rano i bardzo zafrasowany, głaskał brodę, pejsy i co chwila wciągał głośno slinę przez zęby, z czysto żydowskim akcentem. Widziałem dobrze, że go coś piecze pod jego spekulacyjnym ser-

cem, lecz nie chciałem go się pytać, bom był pewny, że skłamię, choćby tylko z nałogu; czekałem więc aż sam zacznie. Wkrótce też dobył owego pugilaresu i wyjmując jedną piątą częśćkę loteryjnego losu, namawiał mnie, abym ją wziął koniecznie. Pokazało się, że właściciel opłaciwszy cztery klasy, do piątej wykupić nie chciał, tak więc Herszek na mnie zagiał parol zarobienia po raz drugi całej cztero-klassowej należności. Nie wiedząc jednak o tém, zgodziłem się na projekt, ryzykując po raz pierwszy na tak niepewną spekulacją.

W tydzień byłem panem kilku tysięcy rubli, a Herszek obdarł sobie w przystępie rozpaczony pół brody i obydwaj pejsy.

Odtąd życie moje inny całkiem przybiera charakter. Zarzucam lichę rzemiosło, rzucam się na spekulacje, pożyczki, facyendy, nabycia, loteryę; zawsze wychodzę szczęśliwie, zawsze z wielkim zyskiem. Po kilku latach byłem prawie u szczytu szczęścia, krocie liczyłem w obrotach, gotówka leżała w szkatule, gdy naraz ciche i potulne dotąd moje serce, z wielkim o swe prawa krzyknęło ferworem. I ja com dotąd cały świat mój widział w blasku gromadzonego złota, zacząłem z zaciętością studenta marzyć o czarnych oczach i pięknej nóżce panny Katarzyny! Do licha, ciężkie to, ciężkie były dla mnie próby! Los dając mi bogactwa, odmówił urody. Miałem niecałe pięć stóp wysokości, twarz niezbyt ponętą i figurę wychudłego świerszcza. Na dobitkę rodzice panny chwycili się maksymy (z piekła ją chyba wyrwali), że kto nie szlachcic to nie człowiek, a panna wręcz mi oświadczyła, że stokroć woli poświęcić się murom klasztorным, niż oddać rękę jakiemuś indywiduum, nieposiadającemu języka francuzkiego, nieczytającemu 2000 tomów Dumasa, 400 tomów Balzaka i tuzina tomów George Sand.

Do diabła, myślę sobie, krucha sprawa! Z językiem francuzkim pół biedy; popracuję, wyuczę się choćbym wysechtł jak słomka, ale szlachectwo to sek!.... Biedzę się tak czas jakiś, dłużej nad grammatyką i wokabulami, aż naraz rozjaśnią mi się w mózgu, i czuję, ale to czuję wyraźnie, jak dukata kocham, że jestem doskonałym szlachcicem. Jadę z tą

myślą do Lwowa, zwierzam się znanemu erudytowi genealogicznemu panu Gasiorkowskiemu, i ten po pewnym namyśle i rozwadze zaręcza mi, że mam zupełną rację, a nawet wkrótce oddaje mi patent z tytułem barona, herbu *Futerał*.

Taką więc drogą doszedłem celu mych gorących życzeń w osobie panny Katarzyny. Nie jednak na świecie nie ma stałego!! i jej też uczucia zbyt rychło spełzły, jak różowe obicie jej buduaru, a po roku najdziwniejszego pożycia.... uciekła do domu rodziców, dając za powód jakąś figlarną przyczynę, objętą paragrafem prawa kanonicznego, o którym jakem żył wcale nie wiedziałem.

Opuuszczony przez małżonkę, syty domowych rozkoszy, rad byłem spróbować życia bezczynnego w tém chaotycznym kółku nazwanem dobrym tonem, z którego wyniesionych kilka okrucichów dam wam ku zabawie i pożytkowi duszy, moi kochani, eierpliwi czytelnicy.

PAN HILARY PIECZĄTKA

Szlachcic jakich wiele.

Któryś tam mały człowiek powiedział, że nie ma większego nieszczęścia, jak być wielkim człowiekiem. Jaki miał cel ów mały człowiek w wygłoszeniu tak wielkiego zdania, trudno mi dziś wyrzec, bo anim go znał osobiście, ani też z jego ust tego nie słyszałem, lecz wyczytałem na pustej kartce starego kalendarza. Mimo tego przecież, śmiem trzymać stronę naiwnego autora tego pewnika, bo i w samej rzeczy, pomy-

ślny tylko uważnie, czy choć jeden jeniusz został należycie oceniony? czy jest profan, coby się nie śmiał targnąć na niego i niedołężnym skalpelem analizować olbrzymich jego idei, czy jest taki, któryby nie nicował, nie przykrawał ich na miarę swego płytkiego pojęcia i nie sądził jak wyrocznia, z wysokości swych wysokich napiętków?!!! Zaprawdę, już dla tych tylko powodów niewarto być wielkim, to też i pan Hilary Pieczątką był sobie wcale małym człowiekiem, co mu jednak bardzo szło na zdrowie. Cóż więc możeby być ciekawego w życiu małego człowieka Pieczątki? Ach! mój Boże, toć to właśnie najciekawsze, że był małym, gdy dziś wszyscy są wieley.

Pan Hilary miał już lat 50 z czubem, lecz że był kawalerem, liczono go do ludzi w *sile wieku*. Młodzież zawistna jego położeniu, w umysłach rodziców wszystkich panien na wydaniu, pomawiała go o brzydotę, starość i rubasność. Lecz za to wszystkie matki, hurtem wyrzekły, że to człowiek bardzo miły, bardzo stateczny, i *bardzo na męża przydatny*. Podejrzewam ja wprawdzie, że głównym tych powodów pochwał był spory pęczek listów zastawnych, duszonych przez naszego bohatera w najskrytszej kryjówce najtajemniejszego kantorka, ale to tylko domysł, i nie więcej.

Pan Hilary był bardzo oszczędny, i oszczędność uważał za jako najpierwszy przymiot człowieka, sam go posiadał i szczycił się nim przed światem. Nadto był szlachcicem (niewiadomej daty), o czém przekonywał wielki herb w wielkim rznięty sygnecie. I tu oszczercy znaleźli przedmiot obmowy, utrzymując, że ojciec pana Hilarego, gdy fakrykował szuwaks i trociczki ani się domyślał, że z tak dostojnej krwi pochodzi. Fałsz to był jednak widoczny, bo nacóżby się Pieczątką nazywał, gdyby nie był szlachcicem?

Więc pan Hilary był szlachcicem i do tego człowiekiem oszczędnym. Te dwa tylko przymioty, jużby mu zjednały serca wszystkich matek całego starego, nowego i najnowszego świata; a cóż dopiero gdy się doda, że takie robił interesa i takie zbierał dochody, jakie tylko prawdziwa córa Terpsy-

chory zwydatkować jest w stanie. To też wszędzie był mile witany, szacowany, wielbiony, pieszczony.

Że zaś z natury bardzo był punktualny, cały ranek zajmował się interessami, czas poobiedni poświęcał sercu, które zwykle o jednej godzinie, minucie i sekundzie, odzywało się ruchem zepsutego zegarka. Ten ruch był zawsze powodem kilku westchnień, kilku ziewnięć i wzięcia się do kredki, którą obliczał najskrupulatniej majątek i dochody siedmiu napiętych oblubienic, a to wedle notat starannie zbieranych przy każdej zdarzonej okazji.

Działo się to jednak wtedy tylko, gdy pan Hilary w domu objadał, co na pochwałę jego oszczędności arcy-rzadko się zdarzało. Bo ten wybór siedmiu dziewic nie był bez zasady, jak w całym panu Hilarym nie bez zasady być nie mogło. Liczba siedem była naprzód liczbą kabalistyczną, liczbą szczególną, powtóre odpowiadała doskonale siedmiu dniom tygodnia i siedmiu objadom, które kolejno za darmo zjadał, i to najpункtualniej do ostatniej resztki, a to aby się zaoszczędzić nawet na kolacyą. Niepodobna nam się dziwić tej zaciętości odjadania objadów; był to tylko sposób dowcipnie obmyślany dla bliższego zbadania zamożności panny.

Pewnego tedy czasu w poobiedniej porze, gdy wszystkie siedem posagów zważył na szali głębokiego rozmysłu, gdy wszystkie *za i przeciw* dostatecznie zbadał, zasiadł wygodnie w najniewygodniejszym z foteli i począł dumać nad swoim kawalerskim stanem. Dumania te jakoś żałośnie wypadły, bo twarz mu zwisała, warga dolna się wzniosła i głowa z boku na bok chwiać się zaczęła. Potarł gwałtownie perukę, aż jej piękny pukiel rudawy na nos nasunął, tupnął nogą i krzyknął: *basta!*

Te lakoniczne *basta* odnosiło się do jego dziewictwa, które postanowił złożyć na ołtarzu Hymena. Stawiając jednak ten piękny fundament wahał się i biedził nie mało, na którą z siedmiu dziewic rzucić swą sułtańską chustkę? i nie dziwnego, w wyborze swym na takie natrafił trudności, że każdy inny a nie pan Hilary, rzucił by do licha całą tę ope-

raeę. Lecz on wytrwał jak nieboszczyk Herkules wśród siedmiu prac swoich, bo aby się zryzykować na krok tak stanowczy musiał mieć arcy-ważne powody. Stan małżeński bowiem pociągał za sobą znaczne ekspensa, a przedewszystkiem konieczność objadowania w domu; i jakkolwiek umyślił intercyzą przedślubną zastrzedz sobie trzy objady rodzicielskie na tydzień, to obok tego jeszcze nie miała summa wchodziła rocznie w rubrykę rozchodu.

Całą zaś przyczyną tego coup d'état było ukończenie 53 lat wieku i pewna niedokładność trawienia, jaką z niemałym przestraczem pan Hilary doszegł od pewnego czasu.

Ważył się więc biedak w wyborze, jak to wyrzekliśmy wyżej, i trzykroć już peruka odbyła ruch sferyczny na jego obnażonej głowie, i trzykroć zatarł do czerwoności gułkowaty koniec nosa, zanim natrafił na myśl szczęśliwą, opartą na gruntowném rozumowaniu tej treści: „Ponieważ posiadam aż trzy krwawnikowe pieczętki z herbem po środku i dwiema cyframi po bokach, słuszną więc, abym wybrał sobie tę na małżonkę, której imię rozpoczyna tą sama litera co i moje; a to dla oszczędzenia w przyszłości wydatku na nową pieczętkę dla mej żony,“ tymbardziej, że te trzy pieczętki były jedynym ekscesem pieniężnym w całym długim życiu pana Hilarego i stanowiły niezaprzeczony dowód jego dumy rodowej.

Po takiej decyzji, przeliczył coś na palcach, popatrzył na sufit i gryząc w roztargnieniu róg zatłuszczonego szlafroka, uśmiechał się pełen wewnętrznego zadowolenia. Nie tu jednak był koniec jego kłopotom; wypadało odbyć oświadczenie z całą uroczystością, jaka przystoi takiemu jak pan Pieczętka człowiekowi. Przystąpił do szafy i zaczął sortować kolekcją fraków, zaczawszy od jasno-migdałowego z bronzowymi guzikami, w którym występował w ostatnich latach księstwa Warszawskiego, aż do koloru zgnilłej brzoskwini, który był sprawiony dopiero piętnaście lat temu i zostawał w zupełnie świeżym stanie. Ten ostatni otrzymał zwycięztwo nad resztą swych braci, i rozpiął się poważnie na okrągłych kształtach pana Hilarego. Jako garnitur do fraka, wydobyl z toalety

paliowe rękawiczki trzykrotnie dopiero prane, a po ostatniem praniu pięć razy dopiero noszone, oraz krawat włosiany tak przerażającej wysokości, że pan Hilary wyglądał jakby tonął w beczce.

Minęło pięć tygodni od owej pamiętnej chwili; dwie najete karetki pędziły zawieszistym klusem do katedralnego kościoła. W jednej panna młoda z matką i druchnami, w drugiej pan młody, (nb. na ten raz tylko) z dwoma świadkami. Pan młody, którym nie był kto inny jak tylko nasz pan Hilary, coraz poprawiał kołnierzyki podryzujące mu niemiłosiernie uszy i ze smutkiem spoglądał na swe świeże białe rękawiczki, które był zmuszony kupić do ślubu; i to go tylko pocieszało po tym wydatku, że zarobił parę rubli na swoim przyszłym teściu, za wynajęcie powozów.

Przy spisrywaniu aktu wszystko szło zwykłym trybem i zdawało się, że nie nie zdoła stanąć na przeszkodzie wzajemnemu szczęściu. Pisarz skrobał piórem po księdze, goście z cicha szeptali, a pan Hilary ze zwykłą powagą prawil od dawna skruszałe już grzeczności swęj smutnej oblubienicy, zachwycając się jęj do zbytku okrągłą figurą, i dowodząc, że osoby otyłe powinny bardzo mało używać pokarmu, celem ustrzeżenia się ataków apoplektycznych. I wprowadzając w wykonanie plan dawno obmyślany zamknięcia żony w czterech ścianach domu, przekonywał ją bardzo wymownie, że niebezpieczną jest rzeczą przyjmować gości i robić wizyty, bo ztąd rodzą się plotki i nieporozumienia, a nadto kilka świec palić trzeba, co szkodliwie na wzrok wpływa; że przechadzki pociągają za sobą koszta na stroje, a te ostatnie wbiągają w pychę, rodzą zazdrość, słowem stają się zawiązkiem siedmiu grzechów głównych i wielu innych powszednich. W trakcie tej budującej konwersacyi wezwano go do podpisu aktu. Lecz zaledwie rzucił na niego okiem, cofnął się, przetarł okulary, znowu spojrzął, wziął za kapelusz i już miał wychodzić, ale po pewnym namysle stanął w progu i kłaniając się ze zgrozą obecnym, wycedził drżącym od oburzenia głosem:

— Załuję mocno, że nie mogę uczynić zadosyć gorącym pragnieniom rozmiłowanego serca mego, lecz nie cierpię podstępem i fałszu. Chciałem się żenić z panną Hiacyntą, lecz nie myślę oddać mej ręki jakiejs pannie Dorocie.

Po tych słowach wyszedł i podwójnym krokiem ruszył do domu.

Tutaj wyjaśnić muszę czytelnikom, że oblubienica wybrana przez pana Pieczętkę, jedynie dla pierwszej litery swego imienia, choć i okrągłe sto tysięcy posagu nie małą w tem postanowieniu grały rolę, miała rzeczywiście dwa imiona Dorota-Hiacynta; lecz dla miękości nazywano ją drugim w domu i za domem; o pierwszym zaś pan Hilary wcale nie wiedział, które jednak przy akcji przed innemi musiało figurować.

Pan Hilary srogo na tem ucierpiał, zachorował (choć nie zaraz) i umarł lecz dopiero po zapadnięciu ostatecznego wyroku, którym odrzucono *najniesłuszniej* jego najśluszniesze pretensye wysokości 20,000 rubli na uekwipowanie, urządzenie, i inne wydatki, które poniósł w swój bujnej w takich razach imaginacyi. Pretensye te miała zapłacić mama i papa narzeczonej za ukrywanie właściwego jej imienia, a złąd zerwanie małżeńskiego związku. Lecz fatalny wyrok zwichnął całą budowę wzniesioną z takim zapalem, a ta zgruchotała swym ciężarem budowniczego i trzy jego krwawnikowe pieczętki, które stały się następnie pastwą jakiegoś starozakonnego jubilera, nie będącego nawet nigdy szlachcicem. Tak skończyła swój żywot perła kandydatów stanu małżeńskiego, oplakiwana przez wszystkich zbliżka znających stan jego finansów, a w mowie mianej nad grobem wysławiano jego wspaniałość, dobroczynność i rzadkie przymioty serca. Pieńdz wiele wad pokrywa, niestety!!

PAN TEZEUSZ BONMARCHÉ.

Niedawnemi czasy, jeden z uczonych niemieckich myślicieli dowiódł jasno jak na dłoni w siedmio tomowym traktacie, że dla tego tak rzadkie są cuda, bo nie przytrafiają się często. Traktat ten z uniesieniem czytany swojego czasu, okrył sławą nieśmiertelną swojego autora i doczekał się aż czwartej edycyi, która tem tylko różniła się od pierwszej, że trzy razy więcej było w niej omyłek drukarskich. To wszystko wzięte razem zachwycalo germańską publiczność, która przysięgała, że od stworzenia świata racjonalniejszy traktat nie egzystował na kuli ziemskiej. Nie chciałem ja nigdy przeczytać całemu areopagowi uczonych niemieckich, myślałem tylko nawiasem, że znać szanowny autor nie wtykał nosa w nasze towarzystwa, bo cuda u nas dzieją się arcy często i to jeszcze na woskowanej nawet posadzce, pod jarzącym światłem kandelabrow, w lakierowanych butach i eleganckim fraku. Że zaś sam na własne oczy widziałem te cudowne cuda, to wam przysięgam na moją złotą dewizkę, a nawet opowiadaniem stwierdzać.

Pewien hrabia z Wołynia (bo na Wołyniu każdy rodzi się hrabią) w ciężkich nudach zimowych wieczorów, postanowił sobie nieodwołalnie zaprowadzić na wielką skalę fabrykę oleju z domorosłych słoneczników i miejscowej buczyny. A choć zebrani na walną sessyą wszyscy okoliczni sąsiedzi zbijali ten wielce przemysłowy zamiar, twierdząc że fabrykacja ta na większe straty narazi, niżby najszcześliwsza w tym celu operacja przynieść mogła zysku, to jednak pan hrabia, poczytał sobie za punkt honoru wytrwać w swem

postanowieniu i rzeczywiście postawił na swoim. W drugim już roku sprowadzony z Nowego Yorku plantator, hodo-
wał całe niezmierzone okiem obszary poczciwego naszego słow-
necznika, a dla ochronienia go od zbójcekiej napaści różno-
rodnego ptastwa, ze sotnia chłopstwa za pańskie, wiewała
stojąc w pewnych odstępach, długimi na tykach przywiązane-
mi szmatami. Pod taką osłoną dojrzewał owoc, mający przy-
nieść niesłychane zyski. Z tém wszystkiem oczekiwania za-
wiedzione zostały, a z każdym rokiem dochód był mniejszy.
Wina całego niepowodzenia, spadła naturalnie na niegodzi-
wość chłopstwa, które wolało spać na miedzach, niż szmatami
wiewać, a wróble tymczasem gospodarowały w pańskim
dobytku. Lecz choć plantacya i fabryka nie wiodły się na-
szemu przybyszowi, to przecież Bóg miłosierny nagradzając
go za te smutki, darzył co roku regularnie mężkiej płci po-
tomkiem. Już ich liczył pięciu, kiedy hrabia znudzony li-
chym słonecznikiem, zmienił plantatora na ekonoma. Był to
skok saltomortale, lecz że pan plantator był kiedyś skoczkiem
na linie, bynajmniej nie poniósł szwanku; owszem, urodził
mu się szósty syn z kolei. Były plantator miał ten dziwny
nałóg, że darł tyka póki się dały, to też każdy zawód był dla
niego zyskowny. Srebrne ruble chował do szkatuły skazując
je na długie więzienie, a synków jak mógł promował. Naj-
starszy z nich jest naszym bohaterem.

Pan Tezeusz Bonmarché, ów nasz bohater, od pierwszych
lat swęj młodości odznaczał się bystrym dowcipem i przebie-
głością, i pod tym względem był tylko poprawną edycją swo-
jego ojca. Darów tych natury używał w najrozmaitszy spo-
sób, stosownie do okoliczności, które umiał wynajdywać ku
swęj osobistej korzyści. Już będąc w gimnazjum tak obet-
giwał swych kolegów w każdej grze dziecinnęj, w każdej
składce i w każdej uczcie studenckiej, że zdawało się niepo-
dobieństwem, aby go nie podejrzewano o złą wolę. Niepra-
wda!.. wszyscy go kochali i nazywali dobrym kolegą, a pro-
fesorowie, którym oczy mydlił, mianowali go chłopcem wiel-
kich zdolności.

Wyszachrowawszy cześć promocyj, a nawet podobno i
jedną nagrodę, wyświęcony przez patent na skończonego czło-
wieka, porzucił rodzinę i rzucił się w świat jako guwerner i
nauczyciel języka francuzkiego, angielskiego i niemieckiego.
Wypada tu nadmienić, że chociaż ojciec jego mówił temi ję-
zykami, a on ich nieco zarwał, to przecież znajomość ta, tak
była niedostateczną, że tylko taki pan Tezeusz potrafił z nięj
coś wyspekulować.

W parę lat zmienił miejsce i przeniósł się na Litwę.
Tam dopiero puścił cugle swęj bujnej wyobraźni! Ton jego
mowy przybrał stanowczość niewzruszoną, dom cały trakto-
wał z góry i pobierając wysoką zapłatę, utwierdzał wszyst-
kich w tém przekonaniu, że obecność tam jego, jest łaską,
którą darzy w przystępie wspaniałomyślności. Bo też pan
Tezeusz w innem całkiem ukazał się świetle; nie był to już
biedny uczeń gimnazjum idący w kondycją z ciężkiej potrzeby,
ale człowiek skończony, obrośnięty jak żubr bakenbardami,
człowiek w paryzkich rękawieczkach z pejczem w ręku i cy-
garem w ustach, człowiek zresztą, który opowiadał swe da-
lekcie wojaże, swe ogromne zdolności i wiedze wyniesione
z Sorbonny i hejdelbergskiej wszechnicy. Jednem słowem czło-
wiek, który podnosi o sto procent wartość domu, pod którego
dachem gości i którego chleb spożywa. Ludzie też wysoce
cenili pana Tezeusza, podziwiali jego głęboką naukę, jego
polor światowy, jego bakenbardy, a nawet pleć piękna nie
była obojętną na jego tiurniurę i nos wschodniego zakroju.

Nasz bohater z wytrwałością indyanina prowadził do celu
swój zamiar wciśnięcia się w świat wyższy. Na wszystkich
wieczorach w domu i okolicy był podziwem zgromadzonych,
jako unikat w swoim rodzaju, jako feniks wszystkich nauczy-
cieli, jacy byli są i będą kiedy w przyszłości, aż do skończe-
nia świata.

Lecz nie tu koniec jego dumie. Zyskawszy pewne stano-
wisko w świecie, czuł że wypada go oprzeć na jakimś pe-
wnym fundamencie, aby za lada powiewem nie runęło jak
dom karciany. I tu znowu jenjusz naszego bohatera wyn-

laż środek tak niezawodny jak klapka na muchy. Zwolna, ostrożnie, w poufnych niby zwierzeniach, wyznał ojcu swego elewa, że w czasie zaburzeń lipcowych we Francyi, rodzic jego należąc do jednej z najstarszych rodzin Prowancyi, zmuszony był ucieczką za granicę ratować życie, że cały ich majątek miljonowy przeszedł na rzecz skarbu, że osiedlwszy się w tutejszym kraju tu się połączył związkiem małżeńskim; lecz wszystko to pod sekretem, pod przysięgą, i obawą kompromitacyi.

Pocziwiy szlachcie nie mógł wynosić długo sekretu, piekł mu wnętrzości i nie dał chwili spoczynku, a po długich debatach z własnem sumieniem, przekonał się najakuratniej, że żonie tylko powierzyć go może, co więcéj nietylko może ale powinien, bo mąż a żona to jedno, i na odwrót, jak kto chce. Żona przyjęła to bez wzruszenia i zapewniała po tysiąc razy, że to jest jéj myśl od pierwszej chwili, bo tylko baron lub markiz może mieć tak proporejonalne kształty. Wieść ta jak lawina spadła na okolicę i rosnąc w miarę oddalenia się od swego zawiązku, stworzyła wreszcie olbrzyma, jakiegoś heroicznego Brutusa, jakiegoś Scewole, w którym zakochać się w jak najkrótszym czasie, wszystkie panny całego powiatu wzięły sobie za święty obowiązek.

A jak postanowiły tak dotrzymały słowa z punktualnością bankierskiego weksłu. Na każdym wieczorku u państwa Marszałkostwa, na każdym balu danym dla ubogich, na którym bogaci tańczyli, a biedni zdaleka wachali kuchenne wyziewy, wszystkie oczy niewieście szpilowały pana Tezeusza na wylot, a tyle westchnień wiało ku niemu, że gdyby bohater mógł być wiatrakiem, bardzo dobry zrobiłby interes. Zimny jednak i surowy jak piramida Cekropsa, głaskał bakenbardy i patrzył chłodno przed siebie przez złoty binokl na czarnéj wiszący wstążeczce. Porównywał piękności, tych młodych kwiatków, porównywał ich posagi, licząc w myśli ilość dusz i gotowych tysięcy.

Pierwsza batalia wygrana. Lecz słusznie powiedział Albertus Magnus: „Złoto złotem się tworzy“ bo toż samo ku-

bek w kubek powtórzył pan Tezeusz kładąc się w łóżko znużony. Tém złotem tworzącém stała się imaginacyjna scheda, która spadła na niego po stryjecznym dziadku rodzono ciotecznej siostry na Honolulu, na wyspach Sandwich, trudniąc się wychowaniem na porządnym dzentlmenów, dwóch synów nieboszczki królowej Pomaré. Wieść o téj schedzie przysłała w liście datowanym z tego antypodycznego miasta, gdzie tak ludzie są otyli, że aż papier listu stał się od tłuszczu transparentowo-przezroczystym, jak wytłómaczył to zjawisko sam pan Tezeusz, ku wielkiemu podziwieniu obecnych.

Ilość téj schedy była niewiadomą, lecz właśnie dla tego samego, że była niewiadomą, otworzyła rozległe pole domysłów, a nawet miejscowy Striapezy, najlepszy na mil dziesięć w okrąg buchalter, jak dowodziły jego kieszenie, ocenił ten majątek na półtora miliona rubli i coś kopiejek. Był to już ostatni cios zadany niedowiarkom i zazdrośnikom. Dla pana Tezeusza stanęły otworem wszystkie salony, wszystkie godności i wszystkie serca. Lecz pana Tezeusza, jako dobrego myśliwy, długo wytrzymywał na celu zwierzyne za nim wypalił do niego, bo to był człowiek co się brzydził pudłem. Lecz jak na wszystko na świecie, przyszedł czas i na wystrzał, który trafił w samo serce panny pułkownikówny, a w największy worek państwa pułkownikostwa. W krótkim czasie dopełniono wszelkich formalności, a pani pułkownikowa z obawy aby młody narzeczony, milioner w perspektywie, nie ulotnił się po objęciu schedy, skróciła termin początkowo wyznaczony do dwóch miesięcy. Jakoż święcie w dniu oznaczonym połączono młodą parę dogonnym węzłem, a pan Tezeusz zamieszkał wioskę w sąsiedztwie państwa pułkownikostwa dając mu w summie 100,000, jako posag żony. Pan Tezeusz już lat kilka cieszy się owocem swego przemysłu; schedy się wprawdzie nie doczekał, bo okręt wiozący ją zatonął, lecz nie zaniedbał zagarnąć jeszcze dwie wioski posagowe siostr swojej żony, a same panny w klasztorze umieścił, czego z wielkim sprytem dokonał, jako człowiek niezmiernie pożyteczny i ogólnym ciesząc się szacunkiem.

tek w klubek powrócił pan Tereza, kładąc się w łóżko znu-
żony. Tym razem twarzą swoją skierował się ku ścianie, a
która spoczyła na niegdyś słynnym dziełku, którego epi-
toję spisał na Honorata, na wyspach Sandwich, i która sy-
gnalizowała się wyłowieniem na porządku dziennym, dwóch sy-
gnalizowała się nieporozumieniem, królowi Poma-
szła w liście datowanym z tego antygodziennego miasta, gdzie
tak ładnie się czyta, że za opłat listu stał się od czasu
transparentowo-przezroczystym, jak wyłomniano, to zjawisko
sami pan Tereza, ku wielkiemu podziwieniu obecnych.
Hasło tej schody była niewiadoma, lecz właśnie dla tego
samego, że była niewiadomą, otworzyła rozległa pole domy-
słom, a nawet niejasny Stripsy, napisał na mi, dając
w okazyjnych, jak dowodził jego kieszonki, ocenę ten
mądrak na półtora miliona rubli i coś kopiełek. Był to już
ostatni ciekawy zdarzony niedowiadom i zaradnikiem. Dla pana
Tereza stały utworom wszystkie szlony, wszystkie go-
dnosci i wszystkie serce. Lecz pan Tereza, jako dobry mę-
szczyzna, długo wstrzymywał na celu, wstrzymując, z nim wypalił
do niego, do był człowiek co się przyznał, panem. Lecz jak
na wszystko na świecie, przyszedł czas i na wyspach, który
trafił w samo serce panny pułkownikowej, a w najgłębszy
wrotek państwa pułkownictwa. W krótkim czasie, dopó-
ki nie wszelkich formalności, a panna pułkownikowa z obawy
aby młody narzeczony, milioner w perspektywie, nie stracił
się po objęciu schody, straciła termin pocztkowy, wynoszący
ny do dwóch miesięcy. Jakże więc, w dniu oznaczonym
połączono młoda parę dogoniły wspaniały, a pan Tereza za-
mieszkał wioskę, w sąsiedztwie państwa pułkownictwa, da-
ną im, w summie 100,000, jako posag żony. Pan Tereza
jakiś lat kilka cieszył się owym, swego piewnystą, schody się
wprawdzie nie dochodził, do okrzyku, wiadoz, że, zatonął, lecz
nie zaniedbał zapłacić, jeszcze dwie wioski, posagowe, sto-
swojej żony, a same panny w klasztorze, umieszczyć, czego
z wielkim spżtem, dokonał, jako człowiek, niezmiernie pozy-
teczny i ogólnie ciekawy się szanującym.

POZÓR CZĘSTO ZDRADZA

S Z K I C.

POZÓR CZĘSTO ZDRADZA

S Z K I C.



W jednej z podróży Szopena z Paryża do Londynu zdarzył się wypadek, którego on był bohaterem, a wspomnienie téj chwili długo niewygasło z jego pamięci.

Zaledwie wszedł wówczas na pokład statku, zastał całe zebrane tam towarzystwo, zelektryzowane wieścią, że wraz z nim odbywa podróż kat miejscowy. Uwaga powszechna zwróconą była na mężczyznę dobrej tuszy, atletycznych kształtów, którego twarz ospowata i czerwonawa, nosiła wyraz krwiożerczy, nieubłagany. Mniemanie, że to jest ów kat właśnie, potwierdzało się z każdą chwilą, nieznajomy bowiem prowadził najobojętniej ze swym sąsiadem następującą rozmowę:

— Reputacya moja wzrosła od chwili, w której po raz pierwszy od jednego cięcia odłączyłem głowę od karku, i dziś fenomenem jest dla mnie, aby raz chybił. Ani jęki konających, ani konwulsyjne drgania i krew brocząca moje ręce nie są w stanie mnie poruszyć.... a nawet jeśli mam prawdę

wyznać, sprawia mi to pewnego rodzaju przyjemność, tak, że gotówbym tę czynność powtarzać jak najczęściej, aby w ciągłym był ruchu mój błyszczący topór.

Wszyscy ze zgrozą usunęli się, a w twarzy każdego odbił się wyraz pogardliwego wstrętu. Oburzenie przeciwko nieznanemu zdradzał szmer przytłumiony.

Nieznajomy spojrzał do koła z pewnym rodzajem zadziwienia, i bynajmniej niezmieszany ciągnął dalej swój dyskurs, nie szczędząc najohydniejszych przechwałek.

W tém zgasto cygaro, które palił zwolna, niechęć przeszkadzać sobie w mowie, najspokojniej więc przybliżył się do jednego z podróżnych i poprosił o ogień, ale obok siedząca dama zemdląła, pasażer przerażony upadł na sternika, który jęknął, nadeptał mu na nogę i ścisnął pięść ze złości.

Teraz przysła kolej na naszego zucha, który krzyknął albowiem zaczepiony pasażer z przestrachu rozżarzone cygaro upuścił na jego ręce, czém poparzył go srodze.

Zuch jednak niewiele zwrócił uwagi na tę okoliczność i spokojnie wrócił na swoje miejsce, lecz już nie wszczynał rozmowy.

Tymczasem Szopen, żywo zaiste rażony sam tém zdumieniem, przerwał na chwilę rozprawę o muzyce, którą z zajęciem prowadził z sąsiadem swoim, ale gdy wszystko się uspokoiło rozpoczął ją na nowo.

— Jakie zdanie pańskie o Glöcku? zapytał Szopen. Glöck, to twórca kościelnej muzyki, w jego śpiewie zda się, że głos samego Boga przemawia do rozkiełznanęj tłuszczy.

— A Mejerbeer? cóż pan powiesz o nim?

— I jemu miano mistrza słusznie się należy, ale utwór więcej rozlewa się na efekt; tem grzeszy i Weber, a znam wiele utworów Webera, z któremi by Mejerbeer nigdy nie wytrzymał porównania. Z nowszej szkoły Szopen jest królem kompozytorów. Jego nokturny, jego drobne nawet etindy są całą operą Mejerbeera, tyle w nich jest poezji, tyle czucia i boskiej harmonii przebija w każdym frazesie muzycznym. Berlioz, Blanchard najlepiej go oceniają mówiąc, że Szopen

nie jest zwolennikiem żadnej szkoły, bo od niego bierze ona swój początek.

Napróżno Szopen starał się wstrzymać mówiącego i napróżno żywy szkarłat, którym powlekła się twarz jego, odbijał nieudane jego zmieszanie. Wielcy artyści zazwyczaj są skromni, a Szopen stał się wielkim już za życia.

W ten sposób prowadziła się rozmowa niejednokrotnie i nasi podróżni przybyli do miejsca swego przeznaczenia.

Meżczyzna ospowatyh i czerwonych rysów twarzy stał się postrachem dla wszystkich, jakaś kłątwa ciążyła na nim, wszyscy usuwali się ze drzeniem, gdyby tonął przypadkiem, ręczę, że nikt by nie podał wybawczej ręki. Wpływ uprzedzenia jest matką przesądu!.... Gdyby podróż dłużej trwała, biedny morderca, który sam dla siebie stał się katem, umarłby z głodu, gdyż trudno mu nawet było dostać łyżkę strawy, a zapas żywności, który miał z sobą wyczerpał się zwolna.

Z szczerem zajęciem spoglądano na Szopena i jego towarzysza, i byli nawet tacy, którzy zazdrościli mu przyjemnej rozmowy z mistrzem, chociaż tamten używał jej z nadzwyczajnym taktem i głęboką znajomością muzyki.

Przy wysiadaniu Szopen wyjmując swą karteczkę wizytową najuprzejmiej podziękował sąsiadowi swemu za towarzysztwo i prosił, aby ten raczył go odwiedzić w Paryżu.

— Jaki pan jesteś Fryderyk Szopen, wykrzyknął żywo i z uniesieniem.

— Tak jest do usług pańskich, odpowiedział skromnie wieszcz kompozytor.

— Niestety, ja panu służyć nie mogę swemi odwiedzinami, a nawet..... wizytowa karta moja.... imię zaś zna cała Francja....

Jestem kat miasta Paryża.

Dla zaspokojenia zaś czytelników dodaje, że mniemany kat był to handlarz wołów i reputowany rzeźnik Paryżki, który opowiadał prawdziwe rzeczy o swojej profesji.

KRYNOLINA

KOMEDYO-OPERA w 2ch AKTACH i 4 OBRAZACH

z muzyką Antoniego Kątskiego.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w domu p. Anzelm.
Głównymi postaciami są: Anzelm, Roman i Romanida.

Anzelm, starszy pan, właściciel magazynu strojów.

Romanida, przyjaciółka jego (młoda miłość).

Roman, jej mąż.

Georg, ich córka.

Jan Anzelm, brat Anzelm.

Jan Anzelm, brat Anzelm, powrócił.

Wszystko dzieje się w Warszawie, w domu p. Anzelm.
Głównymi postaciami są: Anzelm, Roman i Romanida.
Anzelm, starszy pan, właściciel magazynu strojów.
Romanida, przyjaciółka jego (młoda miłość).
Roman, jej mąż.
Georg, ich córka.
Jan Anzelm, brat Anzelm.
Jan Anzelm, brat Anzelm, powrócił.

Od Wydawcy.

Zamieszczając poniższą komedyjke, owoc wesołej chwili życia, Wydawca czuje dobrze, że w obec ścisłej krytyki utwor ten upaść musi. Nie chcąc jednak zawodzić Czytelników, którym przyrzeczony został w prospekcie, umieszcza go, ku zadowoleniu nieprzyjaciół przesady w strojach i wrogów śmiesznych pretensyj. Dla pomieszczenia zaś tej pracy, za którą odpowiedzialności przed krytyką przyjąć nie może, zapowiedziana prospektem objętość niniejszego dziełka znacznie powiększoną została.

KRAJOTYNA

KOMEDJO-OPERA w 2ch AKTACH I I OBRAZACH

OSOBY.

Pan Anzelm, fabrykant powozów.

Pani Anzelmowa.

Cecylia ich córka.

Roman jój narzeczony.

Romuald przyjaciel jego (młody muzyk).

Kalb stary Niemiec.

Aniela stara panna, utrzymująca magazyn strojów.

Maryanna jój przyjaciółka.

Agapit służący Romana i Romualda.

Rzecz dzieje się w Warszawie, częścią w domu p. Anzelma, częścią zaś w mieszkaniu kawalerskiem Romana i Romualda.

AKT I.

(Scena przedstawia pokój p. Anzelma wykwintnie umeblowany, drzwi na prawo prowadzące do gabinetu pana domu i środkowe do przedpokoju).

SCENA 1.

ANZELM.

A ja powiadam, że Cesia nie pójdzie na bal do doktora Fletterbaum.

ANZELMOWA.

A ja mówię, że pójdzie.

ANZELM.

Ja mąż i tak chcę.

ANZELMOWA.

Ja żona i tak rozkazuje.

ANZELM.

A to znowu nowa moda, ty widzę na seryo chcesz mnie przegadać.

ANZELMOWA.

Ja nigdy nie żartuję.

ANZELM.

Ot, to zobaczymy. Jeśli chcesz koniecznie postawić na swoim, ja ustąpię, ale jutro wyjeżdżam za granicę i róbcie sobie, co się wam podoba; przeniosę swój warsztat tam, gdzie córki rzemieślników nie używają krynolin.

ANZELMOWA.

Patrzaj go rzemieślnik! Tyś nie rzemieślnik, ale artysta i wielki artysta, bo robisz powozy dla największych panów, a córka artysty czyż nie ma wszędzie wstępu wolnego.

ANZELM.

A ja ci mówię, że z tego nie będzie. Na bal do doktora Fletterbaum iść pozwalam, bo to człowiek starzej daty, chociaż i jego córki, Boże odpuść im, chodzą nadęte jak indyk w batalii.

ANZELMOWA.

No, no, tylko bez tych karczemnych dowcipów! nie twoja rzecz mieszać ich do zwyczajów wielkiego świata, boś ty sam prostak jakich mało. Panna Aniela lepiej się zna na tém i ona radzi Cesi.

ANZELM.

Wypędzę z domu p. Anielę i Cesię (tupiąc nogą ze złości). Ja powiadam, że nie chcę krynolin. Córka majstra nie powinna udawać wielkich pań, bo jej ojciec nie z wysokiego urodzenia, a z pracy rąk wyrobił sobie utrzymanie.

SCENA 2.

(Wchodzi p. Aniela w ogromnej krynolinie, która utrudnia jej wejście i Cecylja).

ANIELA.

Krynolina będzie gotowa na dziewiątą wieczorem.

ANZELM.

A! witam pannę Anielę, to widać pani fabrykujesz te szanowne krynoliny.

ANIELA.

Ja, do usług Wielmożnego pana.

ANZELM.

Przepraszam panią, nie jestem wielmożny i żałuję, że nie jestem, bo łatwiej by mi przyszło wypędzić krynolinę z Warszawy.

ANIELA.

A cóż ona panu szkodzi?

ANZELM.

Jakto co? spojrzij pani na siebie, ledwie ruszyć się możesz i wyglądasz, przepraszam panią, jak mysz w polapce i to natabene stara mysz.

ANIELA.

Mój panie! zapominasz się widocznie (na stronie) patrzaj go stare monstrum!

ANZELMOWA.

Mój mężu, jesteś niezdolny z swemi porównaniami.

CECYLIA.

Papa tak nieublagany.

ANZELM.

Powiedziałem raz że nie, i tak być musi; słowo majstra jest święte.

CECYLIA.

No, drogi papeczku, to już nie włożę krypoliny, ale powiedz nam przynajmniej, co masz przeciwko niej?

ANZELM.

Nie mogę patrzeć na kobietę chodzącą lub też jadącą jakby w balonie... I czy wy wiecie zkad się wzięła krynolina?

(Damy przystępują z ciekawością).

CECYLIA.

A zkad? słuchamy, słuchamy, mój ojczu?

ANZELM (śpiewa).

Śpiew 1.

Raz pan szatan rozzłoszczony,
Ze przez mężczyzn był zdradzony,
Chcąc pozyskać względy dam,
Krynolinę stworzył sam!

CESIA.

Więc to on nam model dał,
Djabel widać rozum miał.

ANZELM.

Teraz panie z falbanami,
Sprężynami, obręczami,
Tak sążnisty robiać krok,
Że się trzęsiesz o swój bok!
CESIA (jak wyżej).

Jakiż biedny mężczyzn los!
Každy smutnie spuścił nos!

ANZELM.

Gdzie chcesz spojrzeć syngieltony,
Mąż o sążeń od swęj żony,
A na twarzy błota ślad,
Bo już nieraz w rynsztok wpadł.

CECYLIA (tkliwie).

Djabeł lepszy jest jak papa.

ANZELM (z gniewem).

Djabeł głupi, djabeł gapa!

No żegnam was moje panie, wychodzę do miasta, a wy szykujecie się na bal. Damska toaleta, wszak to nie zarty!.. nim powkładacie stroje, rękawki, rękaweczki, broderijki, dentelki, kaszpeniony, to i cały dzień nie wystarczy, chociaż odjąłem wam kłopot z krynoliną. Nie myślcie nawet o niej, jeśli nie chcecie r. zgniewać mnie na serio (zwracając się do Cecylii) bo ręczę, że i twój narzeczony dowiedziawszy się o uporze nie zechce cię za żonę i zwinąwszy chorągiewkę drapnie razem ze mną na koniec świata.

CECYLIA.

O nie! mylisz się mój drogi ojczu, pan Roman przysiągł, że nie będzie nigdy szukał żony w obcym kraju, ani ubiegał się o zamorskie piękności, i zawsze nuci piosnkę, którą wam powtórzę.

(Śpiewa).

Cóż droższego jak dziewica,
Jak bogdanka naszych stron?
Piękna dusza, hoże lica,
I w jej pieśni tkliwy ton.

A gdy ujrzysz uśmiech miłej,
To już w więzach dusza twa,
Już się oprzeć nie masz siły,
I twe serce miłość zna!

A w jej sercu ułud tyle,
Tyle czarü w sobie ma,
Żeby zostać w nim choć chwilę,
Každy z chęcią życie da!

A gdy w pieśni ci wyspiewa,
Swe marzenia, swoje sny,
Rzewnem czuciem pierś owiewa,
I z nią razem marzysz ty!

Bo najdroższe własne spiewy,
Kwiat rodzinny naszych stron!...
Bo czyż pojma obce dziewy,
Staropolskiej pieśni ton?....

ANZELM (ściskając ją).

Dobrze, dobrze moje dziecię, ma on kompletną racya, ale nie nie mówi w swojej pieśni o bogdancu w krynolinie; to psuje nieco illuzya i dla tego powtarzam, krynoliny żadnej!.. (odechodzi).

SCENA 3.

ANZELMOWA i CECYLIA.

CECYLIA (śpiewa).

Śpiew Nr. 3.

Ach cóż to znaczy,
Jestem w rozpacz, Ojciec tak srogi, nieczuły.
Jak że się boję,
O nasze stroje,
By nam się dziś nie zepsuły;
Śmiech obudziemy,
Kiedy wejdziemy,
Jak słomki, jakby patyki!...
I wnet powstanie,
Ciche szeptanie,
A może głośnie okrzyki!

ANZELMOWA.

To okropność! w głowę zachodzę co tu robić! chyba trzeba się wziąć na sposób; przybliź no się moja córko (Cesia podchodzi z skwapliwością i klaszcząc w ręce z radości mówi):

CECYLIA.

Jakto mam, więc jest sposób?

ANZELMOWA.

Wszakże ojciec nie pojdzie na bal.

CECYLIA.

A więc cóż?

ANZELMOWA.

Można w jego oczach ubrać się inaczej, a krynoline twoją kazać przynieść do sąsiada naszego pana Kalb.

CECYLIA.

Ach! do tego zabawnego Niemca! Ależ droga mamie zapomniałaś, że obok mieszka mój narzeczony i jeśli nas zobaczy wchodzące do kawalera....

ANZELMOWA.

Ależ moje dziecko wejdiesz ze mną przecie i przytém pan Roman nie może być zazdrośny o sześćdziesiąt letniego starca.

CECYLIA.

Masz rację droga mamie, ale trzeba uprzedzić Niemca.

ANZELMOWA.

Już ja to biorę na siebie, poczekaj wyjdę na chwilę i zapukam do niego, to on tu zaraz przyjdzie (wychodzi śród-kowami drzwiami).

CECYLIA (sama).

Mój Boże ileż to kłopotu zrządziła ta biedna krynolina! I proszę cóż tu jest tak złego (przeglądając się w lustrze i kręcąc się w okół) na przykład do czego ja jestem podobna teraz bez krynoliny? zaszczupła, zacienka, niezgrabna, słowem do niczego.

Spiewa.

Śpiew Nr. 4 (mazurek).

W krynolinie to aż miło,

Zaraz inna mina,

Zaraz wzrostu ci przybyło....

Wiwat krynolina!

Idziesz wszyscy spoglądają,

Zaraz szept się wszczyną,

Jedni chwalą, drudzy łają...

Wiwat krynolina!

Kiedy stąpasz bez tój pani,

Cieniutkaś jak trzcina;

Ręczę że cię każdy zgani...

Wiwat krynolina!

Każdę pannę, za to ręczę,

To troska jedyna,

By najlepsze mieć obręcze...

Wiwat krynolina!

SCENA 5.

CECYLIA, KALB i ANZELMOWA (wchodzą razem).

KALB.

Pani tu spifał zdaje się jakiś kawatyna.

CECYLIA.

Tak której osnową była krynolina.

KALB (niedosłyszawszy).

Kalina, to piękna spif Herren fon Komorowski.

CECYLIA (zniecierpliwiona).

Ależ ja o czem innem mówię.

ANZELMOWA (wtrącając się).

Widzisz panie Kalb teraz są w modzie krynoliny.

KALB.

Kreoliny? to znaczy żona Kreola.... piękny kobit!...

ANZELMOWA (na stronie).

Ażeby licho porwało Niemca i głuchy i głupi! (krzyczy głośno) Krynoliny!...

KALB.

A cóż to za swierzątko?

ANZELMOWA (krzycząc).

Jest to ubiór z obręczami, przyniosą go wieczorem do pana.

KALB (przestraszony).

Jakto upiór z obręczem? dziękuje za taki kość i nie chce go wcale mieć w swój dom.

ANZELMOWA.

Przyjdzie z nim panna z magazynu.

KALB (nieco śmielój).

A panna przyjdzie, a cóż ja będę robił?

ANZELMOWA.

Przyjdiesz pan do naszego mieszkania, jak mąż mój zasnie i posiedzisz chwilkę w jego gabinecie, a my tym czasem rozgospodarujemy się w pańskim domu i przeberzemy się na bal, tak żeby nikt nie wiedział, w tém cały sekret i proszę nie nie rozgadywać o tém.

KALB (na wpół z gniewem).

Rozumiem, pani chcesz oszukać własny mąż!..

ANZELMOWA (na wpół z gniewem).

Mój panie Kalb, czy pan chcesz zrobić nam tę grzeczność lub nie? mamy jój prawo wymagać jako od sąsiada.

KALB.

Z wielkim przyjemnością ja będę czekał na tego upiór, a jak on przyjdzie to ja ucieknę i dam państwu znać. Do fi-dzenia.

(kłania się i odchodzi).

SCENA 6.

Pani Anzelmowa i Cecylia (pokładają się od śmiechu).

ANZELMOWA.

Cha! cha! cha! zabawny Niemiec! ledwie nie udusiła się od śmiechu!... jakież on pocieszne robi miny, kiedy o czem rozprawia.

CECYLIA.

No, ale interes załatwiony, chodźmy mamó teraz do magazynu i powiedzmy, aby którą z panien posłano do Niemca i dano mu znać, o której godzinie ma być w domu wieczorem, żeby nie wyszedł z mieszkania i drzwi na klucz nie zamknął, bo wtedy nie mogłybyśmy pokazać się na balu; spieszmy się mamó, dzień już na schyłku (chcą odejść, w tém wchodzi Roman).

SCENA 7.

Ciż i ROMAN.

ROMAN.

Panie wychodzą?

ANZELMOWA.

Za sprawunkami, może pan nam raczysz towarzyszyć?

ROMAN (z uszanowaniem).

Pani! uważam to sobie za szczęście, miło mi jest zawsze...

CECYLIA (przerywając).

Tylko bez komplementów i mów pan bez ogródki, czemuś cały dzień wczorajszy nie był u nas?

ROMAN (z czulością).

Pani wie, że zajęty jestem interessami, tyczącemi się naszego losu, odebranie spadku po stryju wymaga wielu formalności, o! wierz mi panno Cecyljo, że każda chwila rozłączenia jest dla mnie wiekiem. Nie dziw się więc, że chcę jak najprędzej zbliżyć dzień naszego ślubu.

CECYLIA.

Czy pan to na seryo mówisz?

ROMAN.

Jakto? pani wątpisz o tém!

ANZELMOWA (przerywając).

No, moje dzieci, nie sprzecajcie się z sobą, bo widzę, że już się na to zanosi, spieszmy się lepij, bo mamy jeszcze dość na głowie (wychodzi, za nią Cecylia i Roman).

OBRAZ II.

Pokój kawalerski umeblowany porządnie prawie na samym środku stoi fortepian, pulpit roztworzony, a na nim nuty, które siedzący przy fortepianie Romuald wciąż kreśli i poprawia.

SCENA 8.

ROMUALD (sam).

Mam już libretto do opery mojej, pod tytułem: „Dydak rozkochany czyli Djabel na Ordynackiem.“ Niepoznany wieszcz dzielnie się wywiązał z swego zadania, muzyka już prawie gotowa, brak mi tylko romansu Dydaka do Syreny Korduli i kilku jeszcze śpiewów nader efektownych. Muzo natchnij mnie! (gra i śpiewa).

Śpiew Nr. 5.

Ja ją kochałem miłością Turka,
Szaleństwo w zęby schwyliłem,
A ta niegodna Warszawy córka,
Rzuciła mnie, i wypilem
Kielich smutku, kielich zrad.

(Agapit wchodzi).

SCENA 9.

ROMUALD i AGAPIT.

AGAPIT.

Praczką przyszła akurat.

ROMUALD.

Aniech ją jasności piekielne ogarną!... czy nie mogła wybrać sobie lepszej pory, w tak ważnym miejscu przerwać mi, zepsuć natchnienie i urwać łańcuch melodyi!... powiedz żeby sobie poszła do djabła, swego kuzyna zapewne.

AGAPIT.

Ależ ona czwarty raz już tu przychodzi i nie ma wcale zamiaru odejść.

ROMUALD (z gniewem).

Więc wynoś się z nią razem do stu tysięcy djabłów! wszakże widzisz, że piszę operę, która da nam sławę i pieniądze.

AGAPIT (wzruszając ramionami).

Co to drugie to bardzo wątpię, a o pierwsze nietrudno: dosyć sobie w łeb palnąć, aby zostać sławnym (odechodzi).

SCENA 10.

ROMUALD (sam).

(Przez chwilę chodzi po pokoju, poczem szybko przystępuje do fortepianu i uderzając się w czoło śpiewa prędko).

Śpiew Nr. 6.

Teraz idzie allegretto,
Sylfa tańczy z kastanietą,
A tu niby fale płyną,
Przy odgłosie tamburyno.

Później largo, presto, trele,
Sylfy tańczą tarentelę,
Śpiew się łączy z skoczną nutą,
A w tém miejscu ritenuto.

Dydak jest w upojeniu, myśl oderwał zupełnie od świata i całą duszą utonął w zdradzieckich falach. Ztąd wychodzi głos jego ziemskiej kochanki, bo trzeba wam wiedzieć, że Kordula była to sobie po prostu magazynierka, która uszła z miłości do Dydaka, z czystej plantonicznej miłości, i po śmierci zamieniła się w podwodną rusałkę, czyli mówiąc po naszymu syrenę. Otoż Dydak jakim już wyżej nadmieniał, zapomniał o Bogu i świecie, gdy nagle:

W oczach jego łzy zabłyśły,
Serce ścisnął żal,
Bo mazura z brzegów Wisły,
Echo niesie w dal.

(Muzyka gra mazura).

(Romuald milczy przez chwilę aż do odegrania ostatnich taktów, poczem mówi).

A tak! to taż sama nuta... I pytanie kogoż by nasz mazur nie wzruszył. Ale wracam do rzeczy. Potem robi się cisza na wodzie, odzywa się głos Syreny, najczystszy soprano, nie, mezzosoprano, bo o sopranowy głos bardzo trudno i przeto nie dadzą mojej opery. Będzie to więc aria solowa.

(śpiewa dyszkantem bardzo fałszywie).

Dalszy ciąg śpiewu Nr. 6.

Jeśli uczuć chcesz ochłody,

Jeśli szczęścia chcesz,

O Dydaku chodź do wody,

W me objęcia spiesz!

Dydak już chce lecieć, w tém wichur się zrywa, robi to ogromny efekt na orkiestrze (zwraca się do orkiestry raptem) a spróbujcie no panowie jak to będzie.

(Orkiestra gra ustęp Burza z symfonii Hayd'na; Romuald machając rękami i czyniąc przytem najśmieszniejsze gesta, wybija takt i niby dyryguje).

(Po skończonej partyi orkiestrowej).

ROMUALD.

Wybornie, wybornie panowie, brawo! należy tylko zwrócić baczną uwagę na dęte instrumenta; trąba tu nie na swoim miejscu, bęben także; proszę mi dalej akompaniować (wstaje i śpiewa z coraz większym zapalem).

Dokończenie śpiewu Nr. 6.

I mar tysiące,

Biegnie po łące,

Smoki, padalce, węże, żmije,

Każdy ci syczy, każdy krew pije,

Siarka, saletra, glina gorąca,

W około tysiąc iskier roztrąca,

Noc nastaje, znika dzień,

Cały obszar kryje cień,

Potem ogień znów wybucha,

Błyskawica niebo drze,

Biedny Dydak z drżeniem słucha,

W tém go coś za szyję rwie,

I uderza straszny grzmot.

(Orkiestra naśladuje grzmot).

(Romuald zatrzymuje się raptem).

ROMUALD.

Śpiewa.

I z piekielnych leci chat,

Nowa duchów karawana.

(słysząc jakiś szelest za drzwiami).

SCENA 11.

ROMUALD i AGAPIT.

AGAPIT (tajemniczo).

Przyszła tam Panna Maryanna.

ROMUALD (z gniewem).

Cóż to za jedna?

AGAPIT.

Panna.

ROMUALD.

Czy ładna?

AGAPIT (gapiowato).

Albo ja wiem.

ROMUALD.

Młoda?

AGAPIT.

Już ci nie stara, kiedy panna.

ROMUALD (sam).

No proszę! czyste staranie z temi gośćmi!... dziś już opera moja na nic, trzeba ją odłożyć na bok, ale może to jakiś młody buziaczek i doda mi transpiracji czy też inspiracji, już nie wiem dalibóg! nigdy nie byłem tegi z łaciny. (do Agapita). Proś niech wejdzie.

SCENA 12.

MARYANNA i ROMUALD.

MARYANNA (wchodząc nieśmiało).

Przepraszam czy to pan jesteś Niemiec?

ROMUALD.

Jestem wszystkiem do usług panny.

MARYANNA.

A więc przyniosę mu krynolinę o dziewiątej wieczór.

ROMUALD.

Co? mnie krynolinę! (na stronie) dobra myśl! przedstawie w mojej operze, syreny tańczące i śpiewające w krynolinach.

MARYANNA.

Panna Aniela przyjdzie zemną razem, później nadejdzie stara jejmość, z nią ładna panna i przebiorą się u pana na bal.

ROMUALD.

Panna Aniela? (na stronie) jakieś znajome imie, Roman miał mały romansik z sylfidą magazynową tegoż imienia, kosztował on go nie mało łez wylanych, rozumié się z jój strony. Oj! te magazynierki, czułość u nich jest dziedziczną, przechodzi z matki na córkę! ależ nareszcie wyjechała, i on niby to wyjechał, to jest odprowadził ją do pierwszej stacyi Kolei Żelaznej, a sam wrócił cichaczem do Warszawy! (Zwracając się do Maryanny). I owszem czekam i przyjmuję wszystkie krynoliny panny i panie (do siebie). Niech mnie djabli porwą jeśli co rozumiem (spoglądając romansowo na Maryannę). Jeśli one wszystkie podobne do panny to winszuję (z umizgiem). Oczki jak dwa brylanty. (Chce ją uściskać, ta się wydziera i wpada na Agapita, który z hałasem otwiera drzwi).

SCENA 13.

Ciż i AGAPIT.

AGAPIT.

Krawiec i szewc weszli, trzymają się za ręce, na krok ruszyć się nie chcą.

MARYANNA.

Czuje, że guz wyskoczył mi na czoło.

AGAPIT.

To trudno, ja nie wiedziałem że państwo będziecie grać w pokoju w Berka (śmiejąc się). Chi, chi, chi! jak małe dzieci!....

ROMUALD.

Powiedz im niech ich jasny piorun trzaśnie! prawda! ziema, pioruny nie trzaskają, szkoda, a ładnie by wyglądali nieruchomi jak dwa posągi (do Maryanny). W którą stronę idziesz śliczna panienko?

MARYANNA.

Na Miodową ulicę śliczny paniczu.

ROMUALD.

A to wybornie, i ja tam idę, służę więc pani, (podaje jój rękę mówiąc na stronie). Jak mnie zobaczą z damą, to nie ośmiela się mnie zaczepić, te komary przekłete, ale chociaż komary, a jednak dla dam są grzeczniejsi, (głośno) idźmy więc na spotkanie naszych, to jest moich wierzycieli (wszyscy wychodzą, Agapit pierwszy otwiera drzwi).

(Zasłona spada).

że dźwigamy obcęgi, a czemu nie śmieją się z tych, którzy w dawnych czasach ogon za wielkimi damami nosili; berżerka, krynolina nadają nam jakąś romantyczną postać.

CECYLIA.

Zdaje się nam, że jesteśmy w Arkadyi, a gdy lada wie-
tryk zawionie czuję, że unoszę się w górę.

ANZELMOWA.

Prawdę mówiąc jak w balonie, ale mniejsza o to; tak
moda każe i tak być musi.

CECYLIA.

Tak mam, zupełnie się zgadzam z jej zdaniem.

Śpiewa.

Śpiew Nro 7.

Gdyby kiedy moda chciała,
By się w górę wznieść balonem,
Jabym pierwsza poleciała,
Chcąc się zgodzić z wyższym tonem.

Ot na przykład moda każe,
By pić mineralne wody,
Więc najzdrowsze widać twarze,
Co je piją tylko z mody.

Moda każe na ulicy,
Nie poznawać nawet brata,
Miłość chronić w tajemnicy,
By nie zwrócić oczów świata.

Moda uścisk wyrzuciła,
Każe witać się z niechcenia,
Choć istota sercu miła,
Uśmiech znakiem jest zgorznienia.

Moda płakać nam zabrania,
Bo też do łez nie jest zdolną,
Śmiech w salonie także zgania,
Mówić nawet nam nie wolno.

Kto jest modnym wszędzie słynie,
Choć by miał najgorszą duszę,
I dla tego w krynolinie,
Ja dziś na bal jechać muszę.

AKT II.

Ten sam pokój co na wstępie, noc, lampa się pali na stole,
przez chwilę na scenie nie ma nikogo, poczem wchodzi pani Anzel-
mowa i Cecylia.

SCENA 1.

Pani ANZELMOWA i CECYLIA.

ANZELMOWA.

Wszystko więc gotowe, ale krynoliny jakoś nie widać,
ojciec śpi dawno po partyi szachów zagranój w wieczór z fa-
brykantem fortepianów, która trwała dwie godziny, trzy
kwadranse i cztery minuty, jak mi to sam rozповідаł, idąc
spać; ze sto razy mi powtarzał, żebyś broń Boże nie wzięła
krynoliny! inaczej zagroził nam, że rzuci dom i pojedzie tam
gdzie nie znają tak śmiesznych wymysłów.

CECYLIA.

No proszę! śmieszne, a jakże tu się pokazać inaczej? wej-
dziesz do salonu bez krynoliny powiedzą zaraz: patrz jaka to
filozofka, gotowi okrzyknąć wieszczką, improwizatorką, mnie,
która dwóch wierszy złożyć nie jestem w stanie.

ANZELMOWA.

Rzeczywiście w całym tym uporze pocziwego ojca nie
wiele widzę sensu. Sprzeciwiać się modzie, oznacza zły gust;
cóż to nas obchodzić może, że ktoś za nami z tyłu iść musi,
bo dwoje trudno zmieścić się na trotuarze? śmieją się z nas,

(Słysząc jakiś łoskot za drzwiami, damy przestraszone cofają się wstecz, w tém drzwi się otwierają z trzaskiem i Niemiec Kalb wpada robiąc najsmieszniejsze grymasy).

SCENA 2.

Ciż i KALB.

KALB.

Upiór z obręczem ja sam fidział jak poszedł razem z panem do pana Roman.

ANZELMOWA.

To być nie może, a na cóż by mu była krynolina.

KALB.

Bardzo piękna pusiacek prowadził tego upiór i wzięła jeszcze jednego panienka do pomoc, bo się widać bal sam sam iść.

CECYLIA.

Moja krynolina, moja biedna krynolina w mieszkaniu mego narzeczonego, lecę po nią zaraz (zatrzymuje się i mówi na pół z płaczem) niech mama pójdzie zemną i pan Kalb także.

KALB.

Ich? ja? Her Jezus, a ja na co?

CECYLIA.

(Wylatuje szybko pociąga za sobą matkę i przez nieuważę zrzuca lampę ze stołu, która tłucze się, Kalb zostaje pociemku).

SCENA 3.

(Kalb sam lata po scenie przestraszony nie mogąc trafić do drzwi).

KALB.

Jak tu wychodzić? ciemno jak w tabakierka, ale ten dam co za to pusty głów, lampa stłuk i uciek, i to wszystko dla jakiegoś upiór z obręczem, a jak on tu przyjdzie do mnie, gdzie ja się schowam?

Śpiewa.

Śpiew Nr. 8.

Ach! ach! ach!

Co za strach!

Jeśli upiór przyjdzie tu,

Co ja biedny pofiem mu,

Jak obręczem palnie mnie,

Gdzie ja biedny schowam się?

(do publiczności).

Mówcie cóż mam robić, cóż,

Ja ze stracha umar już,

Ach! ach! ach! i t. d.

(powtarza pierwsze 4 wiersze).

(Kończy śpiew i lata w około jak wprzód, w tém następuje na szkło).

Aj, aj, aj, ja tu się pokaleczyć.

(słysząc jakiś łoskot za drzwiami gabinetu).

KALB.

Masz ciebie! ktoś idzie!..

(Ucieka przerażony, wtém wbiega pan Anzelm w szlafroku, szlafmicy i pantoflach, chwyta go za kołnierz).

SCENA 4.

KALB i PAN ANZELM (pociemku).

KALB.

Aj! jój!... moje gardło, proszę tak nie cisnąć, przecież to mój gadło, a nie pańska własność, czego pan mnie dusić, ja już tak nie chciałem powiedzieć, dech złapać nie mogę.

ANZELM.

Mam cię złodzieju! wchodzisz pociemku do mego mieszkania! gadaj, jakie były twoje zamiary?

KALB.

Jeśli pan chceć żeby ja gadał, to pan mnie puścić, przecie mego garło nie słoma.

ANZELM (puszczając go).

No! gadaj Niemcze!...

KALB.

Ja pańskiego sąsiad Kalb i pański żon kasal mi tu przyjsć.

ANZELM (zdziwiony).

Co? moja żona?

KALB.

Pański żon, pański własny żon, ona chce żeby jej córka panna Cecylia, przyjęła upiór z obręczem w moje mieszkanie.

ANZELM.

Co za upiór, co za obręcz?

KALB.

Albo ja fiem, zwyczajnie upiór.

ANZELM.

To waryat (woła) héj światła! gdzie moja żona i córka?

KALB.

W mieszkanie pana Roman, posła odbierać razem z córkiem upiór co się nazywa Karlina.

ANZELM.

Ani słowa nie rozumiem, (za drzwiami błyska światło) trzeba wyświecić tę zagadkę moja żona z córką w mieszkaniu przyszlęgo mego zięcia, w nocy, gubię się w domysłach, no chodź Niemceze, sprawdzimy ten interes, (wychodzą).

(Zmiana dekoracji).

OBRAZ IV.

SCENA 5.

(Mieszkanie Romana i Romualda, Romuald siedzi na kanapie i bierze ze stolika stojącego przed nią szklankę herbaty, nalana z kipiącego samowaru, poczem stawia ją i zapala sygaro).

ROMUALD.

Godzina 9ta, wkrótce nadejdzie płeć piękna i rozwiąże się zagadka z krynoliną. Z panną Maryanną, która zapowiedziała mi wizytę dam, jesteśmy już w bardzo dobrej komitywie,

śliczne bo oczy ma ten djabełek, jeszcze do tych czas stoją czarne jak dwa węgle, życie w nich jak.... jak.... no nie wiem, jak.... żywe srebro, no! dosyć, ręczka mała, pulchna jak.... a czy mnie licho z temi porównaniami, no mała i kwita!.. nóżka drobna, drobniejsza jak!.. przeklęty zwyczaj! ale ktoś idzie.

SCENA 6.

ROMAN (wchodzi szybko).

ROMUALD i ROMAN.

ROMAN (do ROMUALDA).

A!... jesteś w domu! rzecz dziwna, o takiej porze zastać ciebie to fenomen.

ROMUALD.

W istocie, ale dziś musiałem zostać bo mi kazano.

ROMAN (z ciekawością).

Kto?

ROMUALD.

Krynolina.

ROMAN.

Krynolina?

ROMUALD.

To jest panna Maryanna, która ma tu przyjsć razem z Aniela i przynieść krynolinę.

ROMAN.

Aniela?

ROMUALD.

A nie podoba się ci to imię, wierzę bardzo, kto się ma żenić, nie lubi myśleć o pamiątkach młodości, o chwilach sentymentalnie spędzonych, ach! niewiadomo jeszcze, czy to jest twoja Aniela, może to inna jaka magazynierka, która przyniesie krynolinę.

ROMAN.

Krynolinę, ależ dla kogo?

ROMUALD.

Pytasz się o to czego sam nie wiem; jakieś damy wzięły nasze mieszkanie za buduar i mają zamiar przebrać się u nas na bal.

ROMAN.

Damy u nas, ależ to istna zagadka.

ROMUALD.

Słuchaj, zwierzę ci się jeszcze z jednej rzeczy. Nie uwierzysz jak dziś jestem szczęśliwy, bo anioł sprzyja mi widocznie.

ROMAN.

W czymże, na przykład?

ROMUALD.

Czy pamiętasz historią o ślicznej maseczce, którą ci opowiadałem w roku zeszłym.

ROMAN.

Czy o tój, co ci naznaczyła rendez vous w saskim ogrodzie?

ROMUALD.

Taż sama. Jak ci wiadomo nie przyszła na schadzkę.... ale po nitce dojdiesz do kłębka. Po długich usiłowaniach, udało mi się wpaść na trop i dziś, spotkałem tę piękność, wchodzącą do naszego domu na pierwsze piętro.

ROMAN.

Na piętro? tam mieszka moja narzeczona.

ROMUALD.

Nie dowodzi to, żeby to ona być miała, może to jój przyjaciółka.

ROMAN.

I mówiłeś z nią?

ROMUALD.

Mówiłem, ale była nieco zmieszana i dała mi tylko znak, abym nie szedł za nią.

A! pst: ktoś idzie!...

SCENA 7.

Ciż MARYANNA i ANIELA.

(Aniela z Maryanną wnoszą monstrualnych rozmiarów krynolinę, którą stawiają na ziemi, Roman i Romuald patrzą na nią zdumieni, Aniela przystępując szybko do Romana, chwytą go za rękę i mówi wzruszonym głosem.)

ANIELA.

Jakto? więc już powróciłeś? a ja nie wiedziałam o tém; nawet nie wstąpiłeś pan przywitać się ze mną, nie dobry pan jesteś, panie Romanie nie zasłużyłam na to.

ROMUALD (na stronie).

Nie omyliłem się, to jego syrena za którą szalał na parę miesięcy jeszcze przed zaręczynami z panną Cocylią, ale ciekawa rzecz, gdzie on wyjeżdżał, widać to po prostu pretekst; wszakże mieszkamy razem, to bym coś wiedział o tém. Złapał się nieborak, chce coś powiedzieć, ale widocznie męsza się i baka coś pod nosem.

ANIELA (mówi dalej z wzrastającym zapalem).

Pan milczysz, panie Romanie, szukasz widocznie w swęj głowie sposobu wytłómaczenia się (z boleścią) a ja rozumiem wszystko, widać że przeszkodziła panu w słodkiej schadzce, w jakiejs modnej awanturce miłośnej, ach prawda zapomniałam, wszak do pana przyjść mają jakieś damy (z gwałtownością) w istocie dobra myśl, w własnym domu prowadzić romans, to musi być bardzo przyjemnie, nieprawdaz?

ROMUALD (przerywając).

Pozwól no mi się pani odezwać pierwiej i dowieść że niewinny jak baranek, sam gubię się w domysłach, widząc że krynolina u nas obrała sobie rezydencję, że tu jakieś damy przyjdą, to nie nasza wina, wizytę ich zapowiedziała nam panna Maryanna, ale co one za jedne to chociaż by mnie na męki brano nie powiem dla bardzo prostej przyczyny, bo sam nie wiem.

ANIELA.

Dzielnie pan bronisz się, przyznać muszę, że masz pan dar do wymowy niepośledni i stworzony jesteś na adwokata, ale pan Roman wie zapewne, dowodzi tego widocznie zakłopotanie jego i jawne niezadowolenie z jego przybycia.

ROMAN (biorąc ją z czułością za rękę).

Anielo! droga Anielo! uspokój się, przysięgam ci, że mimowolnie jestem aktorem jakiegoś figla, żartu lub czegoś podobnego. Krzywdzisz mnie swemi podejrzeniami (z przymleniem) ale jak ślicznie mi wyglądasz, jak ci ten gniew do twarzy, ty moja filutko!

ANIELA (z żalem).

Darzysz mnie pan słodkimi słowy po zażyciu trucizny; zapóźno to już panie Romanie, pomówmy lepiej z sobą otwarcie, zdaje się, że już oboje jesteśmy sobie ciężarem. Czytałam kiedyś w książkach, że miłość to sen tylko i nie wierzyłam książkom, widząc pana u siebie, dziś dawno go już nie widziałam i przekonywam się, że książka mówi prawdę, jesteś pan w Warszawie, po wyjeździe swoim na wieś, o którym doniosłeś mi w słodkim bileciku i nie spieszyłeś się do mnie, nie wstąpiłeś na chwileczkę nawet do biednej Anieli, która cię czekała z utęsknieniem, a był czas, że cały dzień spędzony u mnie zdawał się jedną chwilą.

ROMAN (sciskając jej rękę i nie wypuszczając z swojej dłoni).

Anielo! przestań, rozdzierasz mi serce, sprawami od których zależy los mój, zależy szczęście nas obojga, byłem zajęty, a ty nie wiesz o tem i oskarżasz mnie, uspokój się, moja droga, prędko powrócę do ciebie i przekonam.

SCENA 8.

Ciż ANZELMOWA i CYCYLIA (wchodzą szybko).

Pardon, nie przeszkadzam, pan Roman zajęty widzę jest jakąś tkliwą pogadanką, jakiśś czułem zwierzeniem się prośtej magazynierce.

ROMAN i ANIELA (cofają się wstecz z przerażeniem).

ROMUALD.

Co widzę moja maska!

CECYLIA (na stronie).

Mój prześladowca!

ROMAN.

Jakto? więc to moja narzeczona naznaczyła ci schadzke.

ANZELMOWA.

Moja córka, nie daje randez-vous, to pan tylko przyjmiesz magazynierki w swoim domu na kilka dni przed ślubem.

ROMAN.

Ta przedślubna znajomość.... a wszystko mi jedno. Po tem com się dowiedział nie pozostaje mi nic więcej, jak tylko ustąpić pierwszeństwo memu koledze.

CECYLIA.

Romanie!.... co czynisz, prostą pustotę nazywasz zdradą. Pomiarkuj się.

ROMUALD (na stronie).

No! tom się złapał (głośno) ale Romanie nie waruj!.... na maskaradzie wszystko się pozwala. Wszakże i z panną Anielą poznałeś się na maskaradzie.

ANIELA.

Przepraszam, bo na Saskiej Kępie.

ROMUALD.

No, to na jedno wychodzi, zawsze w miejscu publicznym.

ANIELA.

Więc ja w pani miałam rywalkę (do Romana). Nie wdzięczniku! Chcę być wspaniałomyślną i ustępuję ci ją, (z płaczem). Bądźcie szczęśliwi.

ROMUALD (na stronie).

Żeby ja już djabli wzięli.

ANZELMOWA.

Kto się klóci, ten się kocha, moje dzieci, zapomnijcie o tych drobnych nieprzyjemnościach życia ludzkiego i uściskajcie się.

ROMAN (całując z czułością rękę Cycylii).
Wybacz pani.

CYCYLIA (wesoło).

No dobrze, panie zazdrośniku. (Spostrzegając krynolinę, nagle) moja krynolina!... Maryanno, co tu robi krynolina, miałaś je panna zanieść do Niemca.

MARYANNA (wskazując na Romualda).

Ten pan powiedział mi, że jest Niemcem, a ponieważ wskazano mi, że pan Kalb jest sąsiadem pani, uwierzyłam więc jego słowom, wszedłszy tu przez pomyłkę, i nie wiedząc że dwóch sąsiadów mieszka obok.

CYCYLIA (do ROMUALDA).

A więc to pan bierze na siebie nasze komisa (złośliwie) zanedo pan grzeczny jesteś, ślicznie mu dziękujemy.

ROMUALD (pomieszany).

Pani, nie widziałem, że.... to jest.... w każdym razie... ponieważ.... albowiem (słysząc jakiś hałas za sceną).

SCENA OSTATNIA.

Ciż ANZELM i KALB.

ANZELM.

Mój mąż?

CYCYLIA.

Papa!

ROMUALD i ROMAN.

Pan Anzelm.

ANZELM (z gniewem).

Cóż to za sesja w kawalerskim mieszkaniu, co znaczy tu ta krynolina? Poczekajcie zemszcę ja się zaraz na niej (porwywa nożyce leżące na biurku i rozcina obręcze krynoliny). Teraz wszystko skończone, kwita z krynolinami.

CECYLIA.

Zniszczona!...

ANZELM.

J na bal nie pójdziecie za nieposłuszeństwo.

CYCYLIA.

Biedna krynolina! ale zastanawiając się, mniejsza o nią, za dużo mi zrzadziła przykrości.

ANZELMOWA (zapominając).

Tyranie! bez litości! (reflektując się) nie, nie, przepraszam cię, drogi mężu, masz zupełną rację, już nie będę się więcej sprzeciwiała twój woli.

ANZELM.

To co innego, a więc cały mój gniew spadnie na krynolinę.

Śpiewa

Krynolino! kochaneczko!
Już przepadłaś gołąbeczko;
Przedtem byłaś, tak wspaniała,
Teraz lichy cię porwał.

KALB (przedrzyżniając).

Ach Karlina, ach upiorze,
Nic ci teraz mi pomoże,
Przedtem byłaś tak dumna,
Teraz leżysz jakby w trumna!

ANZELM (z furją).

Dosyć Niemcze, czas iść spać (wskazując na Romana i Romualda) nie przeszkadzajmy również tym panom udać się na spoczynek, (patrzając na publiczność) i państwu także, ale wam zaśpiewam coś jeszcze na dobranoc.

Śpiew.

Wszak to środek jest jedyny.
By uniknąć takich scen,
Pociąć wszystkie krynoliny,
Lecz, panowie! wszak to sen!

Bo gdy moda, już panuje,
Choć byś nawet, strzelał z dział,
To się proch tylko zepsuje,
I zysk mały będziesz miał.

Jeśli jaki strój zasłynie,
To już w domu piekło masz,
Świeży dowód w krynolinie,
Którą chlubi się kraj nasz.

Wszyscy na mnie bez litości,
Świat szalonym zwie,
Więc, szanowna publiczności,
Nie opuszczaj mnie!

Jeśli poklask mnie ominie,
To już w tedy sam,
Przyjdę do was w krynolinie,
By zaśpiewać wam!

OGRÓD SASKI

POD WZGLĘDEM OBYCZAJOWYM,

opisał

Bonawantura Mrówka.

OGRÓD SASKI

POD WSPŁĘDNĄ OBACZAJĄCĄ

opisał

Bolesław W. Nowak

SASKI OGRÓD

W WARSZAWIE.

W dowód kary, czy też łaski,
Dało niebo Ogród Saski?

Witaj mi stołeczna oazo spieki i kurzawy warszawskiej,
witaj rezerwoarze mody, chłodu, wytehnienia i westchnień,
witaj i pozwól Saski Ogródzie spojrzeć Anacharsysa okiem po
alejach pięknych twych lip, kasztanów, akacyi, wiązów i je-
sionów olbrzymich. Hojną garścią rodzima flora oblamowała
zielone kobierce łączek twoich; z poza kłębów czeremchy i
bzów tureckich doleci niekiedy uszu przechodnia głos wiej-
skiej kukulki; szumisz, ogródzie, różnolistnemi drzewami dę-
bu, którego rdzeń tak potrzebnym stałby się wzorem dla tego
pokolenia, co w cieniu drzewin twoich po dniach całych *dolce*
far niente używa. Saski ogródzie, stołeczna ucieczko nasza!
szkoda, że dębów nie masz; w obec tych wspaniałych ojczy-
stych drzewin, myśli twych gości nie mogłyby ulatać, wraz
z motylami w nicość sfery nieznanój; w obec szelestu gróź-
nych konarów, szczebiot francuzki nie kalałby ucha swojskie-
go przechodnia; strój niewieści nie śmiałby błyszczeć niezna-
nemi barwy, w obec prostój, poważnej sukni ojca puszczy i króla
drzew naszych; a przelotny dandy ze szkiełkiem na szyi i kusą

zakiętą zdalekaby mijał szum liści gwarzących o żelaznej przeszłości! Kasztany i akacje, to drzewa pieszczołów; kasztany i akacje to krynoliny nie nasze, dużo miejsca zajmują, lecz rychło zniszczyć muszą, bo silnych podmuchów ziemi naszej nie znoszą. O! szkoda, że dębów nie masz piękny, uroczy, powabny ogrodzie! Wymowniej świadczyłyby one o troskliwej założyciela ręce, niż pomniki granitu, niż owe statuy mitologii nie naszej, gdzie Junona bez nosa, Hebe bez ręki a Minerva z potrąskaną głową, sterczą wśród drzewin, jako spuścizna czasów, w których wszystko się już psuło!

Otóż wchodzimy bramą wprost wielkiego wodociągowego wazonu, u którego podnóża leżące delfiny tak rzadko odwilżają swe gardła fontanowym napojem.

Wybiła 1sza godzina po południu. Niedziela. Naraz setki dzieci Warszawy przybyłych z kościołów pozdrawiają radośnym okiem zielone dzieci Flory, lubując się ich technieniem; wazon fontanny strzelił pod niebo perlistym źródłem z łez kochanej matki rzek naszych. Gwar się mnoży, błękity oczu sieją blask uroczy, gwiazdy rzes ciemnych rozrzucają promienie z pod kapelusików piękności stołecznych; szelest sukien łaskocze oczy niewieściech mężczyzn; *comme de raison* zapal się powiększa w pigmejskich ich sercach; zamiast chłodu upał się wzmagają. Mówimy tu głównie o dwóch alejach ogrodu. Zaczniemy od tej, która idąc po lewej stronie od wazonu, ocienia się romantycznie sklepieniem obwisłych kasztanów, i którą dla tego jedni *romantyczną*, drudzy *aleją westchnień* zowią.

Pan Z. niezmordowany badacz obyczajów Warszawskich, z którym mieliśmy zaszczyt dawniej się poznać, a dzisiaj spotkać w ogrodzie, zaczął w ten sens, na usilną prośbę, rozpowiadać o wydatniejszych grupach siedzących lub przechadzających się osób.

— Patrzaj! rzekł, przechodząc ze mną wspomnianą aleją, ta dama wyniosłej postawy, w węgierskim kapelusiku z piórkiem, z którą rozmawiają tak żywo siedzący dwaj mężczyźni i stojący młodzian, jest jedną z najstalszych mieszanek Saskiego Ogrodu. Spotkasz ją z rana, w południe, po południu

i przed wieczorem. Jest to lwica, pocieszająca się w separacjonalistycznym samotni przestawianiem z warszawskimi lwami, z których trzech widzimy przy niej w tej chwili.

— Znani oni są całej Warszawie przynajmniej z widzenia rzekłem, lecz chciałbym coś bliżej o nich usłyszeć?

— Mogę ci służyć, rzekł pan Z. Ten w szarej żakietce brunet z ufryzowanymi włosami i wąsami zakreconymi pod ucho, najstalszym jest admiratorem lwicy i towarzyszem wybieczek do Botanicznego Ogrodu, Natolina, Wilanowa i t. d. Konno się za rogatkami zjechawszy, eskortuje jej udzielony swój pojazd. Wiecznie zgłodniały scen miłosnych, zapewne ją porzuci niedługo, jak to zwykło z innymi czynić, a jest przyśtojny i ma pieniądze. Podobne hulanki są główną istotą jego życia. Po drugiej jej stronie siedzący mężczyzna w pamieli, hrabia *de la fortuna*, z wąsikami *à la sztyfeiki* i z wieszającym szkiełkiem u szyi, jest to satelita paniczów pieniężnych rad z niemi podziela wszystkie zabawy, licząc w to i gratysowe objadki, co również jest głównym celem jego życia. Kawalerem tegoż samego gratysowego usposobienia i również etatowym gościem ogrodu, jest stojący przy nich mężczyzna, z bródką francuską, wąsami i faworytami, który będąc metrem języków, ma sposobność zapoznawania się z zamożniejszymi domami, a dystyngownie się po francuzku wyrażając łatwo z utracjuszami u Bouquerella lub za tablodotem przyjaźni zabiera. Sześć im Boże! pojdźmy dalej ku pompie.

— Zmiłuj się, panie Z. przerwałem, co to może być za dandy, brunet, cały białą ubrany, zaczawszy od kapelusika płóciennego, i również ze szkiełkiem na taśmie, który oto, wbrew przyzwoitości, przekroczył bajerkę alei i przez trawnik zdążył ku jakiejś zakwefionej damie solo idącej?

— Nie znam go z nazwiska, odpowiedział, ale wiem, że to jest elegant bez zatrudnienia; jedynym jego utrzymaniem są szkatułki pięknymi otwierane rączkami.

Minąwszy potem, wśród natłoku kilku ławek, na których osoby różnej płci i wieku używały wytechnienia, pan Z. prawił dalej:

— Jakże ci się podoba ta blondynka, tam na lewo w ustroniu, w tej oto tak nazwaną Radziwiłłowskiej alei?

— Piękne ma oczy, odrzekłem, podoba mi się bardzo.

— Tak zapewne jak i tym młodzianom, którzy przysiadają się do niej. Jeden z nich blady, o białych włosach, co niesie dla niej truskawki z budki owocowej, znany mi jest, jako zwolennik wolty w sztosiku, która z natury swą jest niestała, to sprawia, że lubownik jej doznając przypływu i odpływu fortuny, dziś pięknymi jeździ siwkami, jutro kasztankami lichemi, a pojutrze dorożką. Czasem też i pieszo, w dowód zmienności losu, po Warszawie chodzi. Z dwóch siedzących obok niego przyjaciół, młody brunet, z zarostem klubu bakenbardzistów angielskich, w kapelusiku marynarskim, lwiatka warszawskiego przezwisko noszący, należy także do satelitów hrabiowskiej hojności i w ogóle utracjuszków tutejszych. W biurze znać mało czasu spędza, bo go w ogrodzie prawie cały dzień widzieć można, wyjąwszy hulankę i gratysowych wycieczek; pochodzi z rodziny, która w hierarchii urzędniczej dość wysoko tu stała, przystojność i zgrabny taniec wbiły mu znać w głowę mniemanie, że jest wyższym nad pracujących powszednio ludzi; drogę więc próżniactwa i wytworności obrał sobie za najwłaściwszą dla swojej dystyngcyi. Trzeci wreszcie z tych mężczyzn, również przystojny młodzian, znany mi jest jako kokietka męzka, bo go często w wytwornym ubiorze tutaj widuję.

— A kto może być ten elegant z brodą w białym cylindrowym kapeluszu, za szkiełkiem na taśmie, który siedząc z drugim na ławce głośno *bons mots* strzela, mrużąc oczy zalotnie do przechodzącej mimo miłej brunetki, także po francuzku rozmawiającej z swą towarzyszką?

— Należy on także, odpowiedział pan Z., do stałych gości ogrodu, w którym połowę życia na pracę przeznaczonego spędza, dziś jest już kawalerem marcowym, z tem wszystkim przystojny jeszcze. Broda starannie podstrzyżona, szkiełko wiszące, przymrużanie oczu na znak dystyngcyi, i urząd członka któregoś z towarzystw, przeszkadzają mu głównie do wej-

ścia w stan małżeński, bo szanując wielce swoją osobę, uważa za stosowniejsze podbijać serca a przynajmniej oczy spacerujących piękności, niż związać się stale na całe życie z tą, któraby może nie wystarczyła rozległemu państwu jego nawyknień zalotnych i wdzięków tak hojnie już uznanych. Jest to jeden z największych kokietek-mężczyzn w Warszawie.

Następnie, gdyśmy już byli na zakręcie romantycznej alei pan Z. zagadnął:

— W tej stronie wiele rozmaitości nie znajdziemy; tam po ławkach siedzą staruszkowie, emeryci, urzędnicy i dawni wojskowi, jakto widać z ich medalów napoleońskich, z ich sprzęczek za usługę lat biurowych, lub z krzyżów *virtutis militaris*. Patrz! dzisiaj tylko oni dodzierają wysokich kapeluszy; w całym ogrodzie między spacerującymi już ich nie ujrysz. Świat gwaru i mody ich odstręcza; w tym też zakątku radzi gawędzić o dawnych czasach, lub czerpiąc świeżego powietrza, i częstując się tabaką, dumać nad minionymi nadziejami i nad ciężkimi obecnymi czasami.

— A więc pokój im! rzekłem. Zapalmy cygara i zawróćmy w główną aleję, gdzie życie największe się zdaje. Ciekawym też o niej twych uwag?

— Och! ta główna aleja, odparł pan Z. wiele grzechów dźwiga na swém zwirowem sumieniu. Zwią ją wielorako i zawsze nazwa trafna być może; jedni mówią, że jest *arystokratyczną*, drudzy chrzczą ją *wystawą panien*, inni *cyrkiem mody i zbytku*, choć dzisiaj niekoniecznie już na tę zasługuje nazwę, bo jak widzimy, wszystkie kobiety w ciemnych i niekrzyżujących chodzą ubiorach; raczej eleganci tylko grzeszą wyszukańszemi strojami. Nie dziś więc ogród Saski przybytkiem mody niewieściej zwać należy; ale dawniej! niech pan Bóg broni, co on nam, albo raczej główna aleja szkody w obyczajowości zrzadziła. Wszakże i teraz spotkać jeszcze można niekiedy rażące przykłady pięcia się nad stan, jak oto np. widzimy idącą ku nam pannę w olbrzymie rozdętą na krynolinie sukni, obok której mama jak służąca, a ojciec jak lokaj wyglądają. Depcze ona niemiłosiernie już trzecie lato

zwiry ogrodu; zrazu adonisów, tych lazaronów warszawskich, nadskakiwało jój *multum*, jako ładnej pannie; wyzywające spojrzenia i wyszukany ubiór panny wabiąc ich zmieniały się z kolei jak fantasmagoryczne widziadło; a mama oczy mrużyła na wybór między młodzieżą. Nagle w roku bieżącym wiosna spłoszyła Warszawskie motyle i z wielu lekkomyślnych umysłów powaga wyrosła, a panienka jak drepcze tak drepcze aleje. Zresztą ząbek czasu nielitościwie umie karcić zalotne jagódki; bogaty też panicz z biedną córką urzędnika nie łatwo się ożeni, a ubogi młodzieniec boi się życia nad stan i zalotności wychowanki pod oczyma pobłażliwej mamy.

Gdyśmy szli dalej główną aleją wśród szpaleru gęsto siedzących osób, mijając przechodzących tłumnie środkiem alei, pan Z. przypadkiem udepnął na suknię jakiejś damy, która widząc oddartą falbanę wlokącą się za nią, naprzód się skrzywiła, a potem francuzkiem *ah! quelle adresse*, gniew swój poparła. Zdarzało się i mnie przydepnąć nieraz wśród tej przechadzki długie suknie niektórych dam naszych, ale żadna mnie nie poczęstowała takim frazesem. Pan Z. coś pomruknął pod nosem, a do mnie tak zaczął:

— Ta pani kupcowa z ogromnym ogonem u sukni, na balonie zwanym krynoliną rozpostartą, dość ma odwagi, że się nie obawia kiedy być przez wiatr porwaną. Jest to także stały egzemplarz ogrodu; jeździ konno wybornie, pięknie się ubiera, wszystko ma prócz dzieci. Mąż jój również przystojny mężczyzna chętnie się, znać, pięknoscią żony, bo wszędzie prawie w miejscach zabaw i przechadzek spotkać ich można. Dziś, tak jak i dawniej, zdaje się pani kupcowej, że jest młodzianką, choć Saturn nielitościwy z marszczek jagód przeglądać zaczyna; dlatego też, uważam, że ten węgierski kapelusik z piórkiem już jój wcale dziś nie do twarzy.

— Zapewne ci, panie Z. znana także i ta dama olbrzymiej tuszy, u nóg której równyż korpulent buldok spoczywa, wychylając z paszczy niby z wiecznem szyderstwem zęby błyszczące?

— A któżby jój nie znał! Dziwna rzecz! ta wdowa buldoka swego kocha więcej niż ludzi, niż najbliższych z jój rodu. Oboje oni, jak widzisz są uosobieniem brzydoty i oboje stałymi gośćmi Saskiego Ogrodu, a różnica ta chyba między nimi zachodzi największa, że buldok francuzkim żargonem szczebiotać nie umie. Nie mogę się też dosyć nadziwić nad owym gustem wielu Warszawian, którzy w tych psach angielskich ze sterczącymi na zewnątrz zębami i ze złośliwą naturą tak wielkie upodobanie mają. Anglik lubi dziwaczność i excentryczność, lecz Polak tego w naturze nie ma i mieć nie powinien, bo nie mu z tych przymiotów nie przyjdzie. Lecz wróćmy się na boczną aleję, pokażę ci jeszcze jeden stały okaz tego ogrodu. Nie omyliłem się, otóż i jest! rzekł po chwili, wskazując na wózek, w którym po lewej stronie ku ogródkowi wód mineralnych jakaś wywiedła pani siedziała. Około wózka stało kilka kobiet z dziećmi, z którymi, trzymając szczyptę tabaki w palcach rozmowę wiodła.

— Ta kaleka, mówił dalej pan Z. jest sławna plotkarka Saskiego Ogrodu, a jakkolwiek chodzić nie może, jednak wie więcej o gościach Saskiego Ogrodu niż dziesięciu takich jak ja na przykład. Szczególniej narzeczonymi zajmować się lubi, lecz zamiast kojarzyć, zwykle ich rozrywa przez swe intrygi, mając w tém jakieś szatańskie upodobanie; jako złośliwa z natury kilku rozkochanym gołąbkom dała się już we znaki, a Ogród Saski ma to do siebie, że takimi obfitując gołąbkami, często je w potrzask tej plotkarki napędza. Teraz nie mamy już co robić w ogrodzie, dodał, zмирzając ku wyjściu.

— Jak to? zapytałem, wszakże jeszcze zostaje większa połowa ogrodu; przejdźmyż tę aleję na przykład, obok której wznosi się na górze sybillowy rezerwoar.

— Z suchą sadzawką obok, odparł pan Z. którą również sybillową dziś nazwaćby można, bo trudno mi pojąć na co ją wykopali, kiedy jak wylupione oko na ogród patrzy. Są wprawdzie jeszcze piękne boczne aleje z widokiem na łączki zielone, lecz one w dzisiejszej przechadzce są dla nas bez interessu; ogród bowiem Saski pod względem spaceru na dwóch

głównie ogranicza się jedynie alejach, któremi przechodziliśmy dopiero, i ręczę ci, że są tacy z widzianych przez nas mieszkańców ogrodu, których noga nie powstała w życiu na bocznych alejach, i to tém więcej, że jako próżniacy *ex officio* za interessami śpieszyć i starać sobie drogę bocznymi drogami nie widzę potrzeby. Aleje te zdają się być przeznaczone jedynie dla przechodniów, emerytów, dzieci i dla jakiejś zbłąkanej panny kochanków. Zawiadowcy ogrodu, zapewne wiedząc o tém upodobaniu publiczności ku dwom jedynie alejom, zdają się zaniedbywać boczne, również piękne i godne tłumnych spacerów. Ztąd wynika, że spacerujący w ciasnem się kręcąc kółku, znają się dobrze na wylot, a ploteczki po łatwych i niedalekich drogach obiegać mogą.

— Przyznam się jednak, panie Z. rzekłem opuszczając ogród, że nieco żółciowo oceniasz to piękne ustronie, które znajdując się w środku miasta stanowi wielką dogodność dla mieszkańców spragnionych chłodu i świeżego powietrza?

— Nie żółciowo ja rzeczy oceniam, odparł pan Z. ale z właściwego punktu chcę na spacer publiczne spoglądać. Dziś wprawdzie Ogród Saski mniej się już modnym stawiać zaczyna, ludzie zmądrzeli nieco; fakta sprawiły, że zbytek u nas już na wylocie; lecz gdybyś za lat przeszłych znał dobrze Warszawę, to przekonałbyś się z zalem, ilu to młodych Ogród Saski do próżniactwa usposobił, ile panien produkujących się tu zalotnością i strojami na koszu osadził. Dziś jeszcze spotkać w nim można dosyć kawek w pawie piórka przybranych, dosyć podrostków, którzy papierosami w ustach na lazaronów warszawskich patent biorą w ogrodzie, i takich tu jeszcze znajdziesz, którzy produkując się w ubiorze jaskrawszym, myślą, że tym sposobem około dobra ogólnego pracują. Tymczasem ludzie pracy i czynu ubiór za ostatnią dopiero rzecz uważają w zacnej swój dążności. Są to błędy mniejsze od tych, które pełnią podobni tym, o jakich rozprawałem poprzednio. Tak, tak, i spacer publiczny jest dobrym, jeśli nas do próżniactwa i zbytku nie wiedzie, zwa-

szeza, gdy wśród naszej Stolicy mało mamy miejsc podobnie podręcznych jak Ogród Saski, gdy i nad Wisłą nie mamy jeszcze bulwarów, o które głosem wołającego na puszczy wołamy, boby to był spacer najpiękniejszy w Warszawie. Bądź zdrów! dodał, podając mi rękę, i wybacz że cię stary gderacz znudził, ale darmo! już to taka moja natura.

KAWIARNIE I DYSTRYBUCYE

WARSZAWSKIE.

S Z K I C

skreślił

Bonawentura Mrówka.

KAWIARNIE I DYSTRYBUCYE

WARSZAWSKIE

SZKIC

skrzyni

Warszawa, 1904

KAWIARNIE I DYSTRYBUCYE

WARSZAWSKIE

SZKIC.

Z życiem zewnętrznem znacznej części warszawskiej ludności ściśle się wiązą kawiarnie, których tu 306 liczymy, to jest stosunkowo do obszaru miasta więcej, niż w wielkich miastach zagranicznych, gdzie różnorodne kluby i uprzywilejowane gospody, lub też większe zamyłowanie młodzieży w życiu domowém, nie pozwalają się zbyt rozszerzać tego rodzaju zakładom. U nas rzecz się ma nieco inaczej: Kawiarnie zastępują tu dla wszystkich niemal kawalerów dojrzałych i celibatorów przejrzałych, salon, bibliotekę, popis zdolności różnego rodzaju i wyrećzają ciche kółka familijne, których słodycz i wielu żonkosiów poświęca dla zabaw i pogadanek pozadomowych. Billard, fałszywy apetyt ku mniej skromnym, hucznym rozmowom i te imbryczki żywe świecące z za bufetów figlarnemi oczęty, oto najgłówniejsze czynniki w zwabianiu gości, trawiących wiele godzin wśród zadymionój tytoniem sfery. Przed kilku jeszcze laty te kawiarniane resursy ciemniejszą, bo jednostajniejszą pokrywały się barwą, dziś większem wrażliwem życiem, ponurość milezących dawniej gości znika, a coraz większy napływ cywilnej młodzieży pomnaża kontyngens billardowych rycerzy. Niektóre z kawiarni en gros urządzonych

placą za lokal po kilkanaście tysięcy złotych rocznie, w wielu z nich fortepian i skrzypce zabawiają gości; jednakże, co stanowi rys naszego charakteru, te z kawiarni są najczęściej uczęszczane, w których nie ma froterowanej posadzki, mebli politurą jaśniejących po obszernych pokojach, a przymuszających gości do pewnego kępowania swobody w zwyczajach zaniedbaniem technicznych; w ogóle gdzie cieśniej, tłumniej i nie poelegantku, tam chętniej bywamy.

Od rodzaju przybywających osób i sposobu gospodarowania, kawiarnie nasze rozsegregowaćby można na przyzwoite i mniej skromne, te znowu na ciche i wesołe, te na czysto billardowe, muzykalne i gazeciarskie; są także, acz niewiele, i szulerskie, gdzie *quasi* porządnym preferansem lub niewinnem dominem ogrywiają goście gości do szeląga. Mało tam szumu bywa zazwyczaj; wybladłe lica z poczerwieniałemi z bezsenności oczyma okrażają stoliki w milczeniu. Kule matowe lamp otaczają chmury dymu fajeczanego; kiedy niekiedy wykrzyknik pracujących z zapalem bankierów przerywa ciszę, zaci ni poniterowie, zwani technicznie *pomidorami*, nagradzają sobie zmartwienia szczyptą tabaki, którą w około usługny gospodarz częstuje, a spektatorów anegdotami półgłosem bawi.

Przyzwoitych kawiarni, gdzie goście zajęci są głównie pokrzepieniem żołądka, czytaniem gazet, chwilową pogadanką lub partją billardu i szachów, bardzo tu mało liczymy, i te też zamykając się około jedenastej w nocy, nie są dostępne dla maruderów i burd ulicznych, przez co nie robią szczerb w zakresie porządnego i prywatnego życia mieszkańców.

Życie kawiarniane potęguje się u nas szczególnie w je-
sienniej i zimowej porze; wtedy to baterye 200tu niemal billardów naraz salwy biją słoniowymi kulami; w około billardu sterczą dzidy gladyatorów, u ścian rozsiadają się w różnych pozycjach hufce mentorów, krupierów lub milezących jak zółwie widzów; ponad ich głowami ulatują okłoki dymu, a pośród nich zgrabne wiwandyerki krzyżując się tu i owdzie z zapalonemi fidybusami, podsycają zapal bohaterów szklan-
kami ponczu, herbaty, kawy lub dorywczo wet-za-wet od-

ciętami dowcipnie słówkami. Gdzieindziej trzeszczą domina na wielu stolikach, karty brzęczą, a wśród hucznego gwaru przemknie się nieznacznie żydek z podręczną loteryjką w torbie, wypchany od stóp do głów przedmiotami kwalifikującemi się do wygrania, z takim *np.* ryzykiem, jak gdyby ktoś, dla szczęścia, w koreu maku czarnego chciał wynaleść jedno ziarno białe. Pokaże się i Włoch czarno obrosły z obrazkami na uciechę gości, chłopiec z gipsowemi figurkami, jaki *wodotrysk* ukutych wierszydeł, puszką do zebrania, lub nędzarz u drzwi pochylony.

Każda kawiarnia ma stałych, *etatowych* gości; w jednej przeważają urzędnicy, w drugiej artyści, handlujący, w innej żydzi; do jednych sama się młodzież gromadzi, w innych emeryci lub marcowi kawalerowie na szachy, domina, gazety.

Wielu z młodzieży większą część dnia bożego przesiedzi w tym pożyczanym lokalu; wielu i nocy spokojnie nie prześpi, nie zawróciwszy się wprzód do ulubionego nałogowo miejsca. Przypomina to nawyknięcie koni furmańskich, zawracających z drogi zawsze ku karczmie. Są także w każdej prawie kawiarni stali dowcypnisie, *dzwonki kawiarniane*, bawiący siebie i drugih niezmordowanie dość jaskrawemi frazesami; są *telegrafy brukowe*, *donżuani*, *wujaszki*, i tak nazywane *puszczyki kawiarniane*, które dopiero o 12ej w nocy tętna życia w swem ciele poczuja.

Trawienie długich godzin po kawiarniach, między innemi, tę sprawia niekorzyść, iż wielu z młodzieży, zasmakowawszy w wolnych rozmowach i żartach niehamowanych, unika ściślejszych stosunków z domami prywatnemi, od rozmów pouczających i zabaw prywatnych stroni, gdzie jeżeli się znajdzie w kole płeć niewieściej, natenczas czując, jak to mówią, brak cywilnej odwagi do ciągłej, szlachetniejszej rozmowy, lub też nie chcąc sobie zadawać przymusu w tym względzie, rozdziela towarzystwo na dwa obozy: jeden czarnemi uwydatniony frakami, drugi balowemi przystrojony wyłącznie sukniemi; prowadzą więc w między aktach tańców rozmowę, każdy na swoją rękę, a odosobienie się takie nigdy korzy-

stnie na zabawę oddziaływać nie może. Najmodniejsze u nas kawiarnie są te, które mając po kilka billardów, łączą się wraz z cukierniami, i gdzie garsony po francuzku mówią, a papierosy i partye billardowe drożej niż gdzieindziej kosztują. W niektórych kawiarniach zapaleni szermierze billardowi przegrywają *w pulę* lub *preferansa billardowego* bajeczne summy.

Istnieniu wszakże kawiarni z tém przeznaczeniem, aby tylko w nich śniadanie i kolację spożyć lub też gazety przeczytać, nikt zarzutów czynić nie może, bo wszystka prawie bezzenna młodzież nie stołująca się w domu, i jedno i drugie najwygodniej i taniej w nich dla siebie znaleźć może. Ale nałogowe tam przesiadywanie uchybia drodze postępu, wymagającej obracania na coś lepszego, wolnego od obowiązków czasu; a ściślejsze łączenie się w kołach prywatnych i te różnorodne, a zdrowsze dla ciała zabawy, jak: szkoła gimnastyki, fechtunku, pływania, jazdy na łyżwach i t. p. potrzebom agitaacyi naszej właściwiejby i szlachetniej niż zwyczajstwa billardowe odpowiedzieć mogły. Zmienienie owych żywych imbryczków na usługujących chłopców, powinniśmy najpierwszą być reformą kawiarni naszych.

Dystrybucye niemniejsze dla zdrowia i kieszeni szkody nam przynoszą, w tém mianowicie położeniu, jakie przybraliśmy względem nich obecnie. Kto spojrzy po Warszawie, ten się łatwo przekona, iż zakłady te osuszające nam piersi i wypróżniające kieszenie wyrastają tu jak grzyby po deszczu; ulic 220 liczymy, rzadko która z nich nie przystrojona szyldem z namalowanym Turkiem, brodatą Pastraną lub też z wystającą nadedrzwiemi ręką, trzymającą olbrzymią paczkę cygar; niektóre z ulic mają i po kilkanaście szyldów podobnych. Palenie cygar, tak jak zażywanie opium na Wschodzie, w nałóg się powoli u nas obróciło, pochłaniając przy swój drożyznie znaczną część funduszów; dziś nawet palą cygara lub jeszcze szkodliwsze dla oczu i piersi papierosy i ci, którzy na chleb nie mają; w ogóle palą prawie wszyscy, zaczawszy od tych, którzy jeszcze chodzić nie umieją, do tych, którzy chodzić już nie mogą. Płeć piękna, emancypując się i na téj drodze po-

stępu, ma także wiele przedstawicieli, wciągających w swe delikatne piersi potężne kłęby nikotynowego dymu. Nałóg palenia tytoniu tę tylko mimowolną wyrządził w ogóle społeczności przysługę, iż pochłoniął sobą w znacznej części używanie ostrych napojów, które wyręczają dziś w przyjęciu podczas odwiedzin cygara i fajka; bez nich też żadna wizyta przyjemności już nie robi gościowi. Niektóre z dystrybucyi po kilkaset złotych dziennie targują; a są miejsca prywatne, gdzie po kilka i kilkadziesiąt osób całymi dniami pracuje nad ubijaniem tytoniu w papierowe tytki. Każda z dystrybucyi warszawskich, prócz tych, gdzie gospodarzami są małżonkowie, opatrzona jest najmniej jednym potężnym wabikiem, a gdzie on ładniejszy tam i większy bywa odbyty; że zaś wszędzie prawie na gładkości ciała bufetowym pannom nie zbywa, więc *comme de raison* nigdzie dystrybucye żalić się na małą konsumeyę amerykańskiego liścia nie mogą. Są nawet niektóre tak uprzywilejowane, że i z 10tej ulicy do nich po cygara się schodzą; że zaś na ulicach palić nie bywało wolno, a rozdrażnione gardło koniecznie domaga się drapania, więc pod prądami sympatycznych oczu, idzie wesół pogadanka, proces się palenia odbywa i grono gwarnych powieksza gości, którzy się znowu niezadługo razem zobaczą śród pląsów na Saskiej Kępie, przy brzmieniu klawikordów przebrzmiałych. Każda prawie dystrybutorka, panna, historyę swego zakładu łączy ściśle z historyą swojego serca; dzieje początkowe sięgają miłosnego długu, zaciągniętego względem niej przez ulubieńca fortuny, zazwyczaj europejskiego azyatę, który wierzytelność tę realizuje najczęściej założeniem swój ofierze norymberskiego sklepiku lub dystrybucyi.

SZLIFIBRUK WARSZAWSKI.

S Z K I C

skrześlił

Abel Gleba.

SZLIFIBRUK WARSZAWSKI.

S Z K I C.

I.

Nazwa szlifibruka zdaje się pochodzić od szlifowania bruku, jest to jednak łudząca etymologia; najwyraźniej tego dowodzi bruk Warszawski, nierówny i wyboisty, jakkolwiek tyłu mamy szlifibruków.

Widocznie więc szlifowanie bruku nie jest celem, lecz środkiem, dla ludzi nazwanych tem imieniem, spotykanych ciągle przez każdego z nas na ulicy, zwracających na siebie uwagę to wesołością pijaną, to gniewem awanturniczym, to napastniczą śmiałością w zabieraniu znajomości.

Cóż więc jest celem szlifibruka? za czem on goni w wiekuistą po bruku wędrowcę, czyli też przed czem ucieka? jak go wyrok skazał na wieczne tułactwo w ciasnym obrębie ulic kilkunasu? Kiedy zakończy swój niezmerdowany pochód? gdzie wtedy stanie? zkąd wyszedł i gdzie dojdzie? z czego powstał i w co się obróci?

Są to ważne i ciekawe pytania. Długi czas kuśiłem się o ich rozwiązanie; dziś dając wam owoc swoich studyów, nie przyznaję sobie, żebym ostatecznie zbadał tę postać niezbadaną, bezcelową, przesuwającą się biernie od kąta do kąta, próżnującą całym życiem, napozór najruchliwszem i najczynniejszym.

Posłuchajcie mojej historii naturalnej warszawskiego szlifibruka, istoty której prototypem w mojem pojęciu jest ów *Żyd wieczny tułacz*, przez sprawcę *Siedmiu grzechów głównych* w dziesięciu tomach opisany.

Szlifybruk tem się różni od ssących istot zwierzęcego królestwa, że jest jednopłciowym; samice tego gatunku nie istnieją wcale, te zaś które niektórzy naturaliści do tej kategorii policzyć chcieli, zupełnie do innej rodziny policzyć należy. Niemal charakterystyczniejszą jeszcze różnicą jest, że szlifybruk wcale się nie rodzi, tylko w skutek rozlicznych zbiegów okoliczności *puszcza się* w tułactwo uliczne, i będąc przedtem jakimś gatunkiem człowieczka, odrazu staje się do-rostłym i dojrzałym szlifybrukiem.

Z tego powodu szlifybruk jest osobliwością w królestwie zwierzęcem, która naturalistów zdumiewa.

Nazwa którą nosi nie jest ani właściwem nazwiskiem, ani imieniem, ani wyrażeniem fachu, ani oznaką godności; jest to charakterystyczna cecha stworzenia, które się zrosło z nią nieodłącznie, jak koń ze swoim nazwiskiem od maści.

Postać, w której widzicie szlifybruka jest jemu tylko właściwą postawą, on nawet chodzi sobie tylko właściwym pajacowatym chodem, mówi rodzajem żargonu, z którego co trzecie niemal słowo obwijać będziemy musieli w bawełnę, ażeby uczyć uszy czytelnika; lubo zaś nie nosi żadnego przywiązane do swjej roli munduru, przecież w oczach każdego co go zna i obserwuje, ubiór jego, zawsze ten sam i do pewnego stopnia pozbawiony ładu, staje się niejako jedną z cech charakterystycznych szlifybruka.

Cecha ta jest bardzo ważną i zapominać o niej nie należy, ponieważ ona to właśnie stanowi najwybitniejszą różnicę szlifybruka od łobuza. Szlifybruk w porównaniu z łobuzem jest rodzajem eleganta, w porównaniu zaś z elegantem jest rodzajem łobuza. Z tych dwóch stosunków równych sobie, kto biegleszy w arytmetyce potrafi wyprowadzić średnio-arytmetyczną wartość szlifybruka.

Obejście się szlifybruka sięga precedencywilizacyjnych czasów, bynajmniej nie we względzie jakiej patryachalności lub sielankowości obyczajów, lecz z powodu ich dzikości. Łobuz jest jeszcze dzikszym. Różnica pomiędzy nimi i tu wybitna bardzo. Dla łobuza nie istnieje siódme przykazanie, szlifybruk zaś jest sobie kommunistą tylko. W pojęciu pierwszego kradzież jest własnością, u drugiego własność jest kradzieżą. Pierwszy ograbia bliźnich na osobisty pożytek, drugi potrafi skutecznie przekonywać ich, że się wszystkim co mają dzielić z nim powinni, albowiem i on, gdyby co miał, takżeby się z nimi podzielił.

Historia szlifybruka, którą tu wam opowiem, przedstawi wam typ ogólny a nie żadną szczególną postać wiecznego wędrowca ulic Warszawy. Jeżeliście ciekawi poznać tę postać z poważniejszej strony, to dla nas zapewne najciekawszym będzie obraz okoliczności, które stały się dla bohatera mego wyrokiem wiecznego tułactwa. Okoliczności jednak nie zawsze także same, a nawet często nie tego samego rodzaju, wywierają wpływ stanowczy na losy każdego z innych szlifybruków. Jeżeli więc chcecie poznać losy szlifybruka, który przed oczyma waszemi stanie w życiu powszedniem, który przyzna się do waszjej znajomości w jakiej kawiarni, albo prosząc o ogień do cygara na ulicy, to mu kupcie dwie szklanki ponczu, a on się z historii swojej wypowiada przed wami, i będziecie mieli drugą powiastkę, podobną wprowadzić co do charakteru, ale różniącą się jak niebo od ziemi, bogactwem szczegółów i kolorytem języka, od tej którą rozpoczynam.

II.

Gdzie i kiedy świat został uszczęśliwiony przybytkiem Hipsia do społeczeńskiego grona? nie tak łatwo jest odpowiedzieć.

Kiedy? z tego jeszcze jakoś wybrnęlibyśmy. Hircio nie ma dotąd więcej lat jak 30, jeżeli jego fizygnomia nie daje fałszywego świadectwa o jego wieku.

Lecz gdzie? w tem sęk najtwardszy.

Hircio Wrzos wprawdzie różne historye o tem opowiada, ale jakoś nie chce się wierzyć Hirciowi, bo on gdzie indziej głosi najotwarciej, że niewolno jest kłamać jedynie wtedy, kiedy się świadczy przeciw bliźniemu, wolno więc kłamstwa rozgłaszać o sobie, i na pożytek bliźniego.

Hircio tym razem jest za literą prawa, jakkolwiek w innych razach bywa i za duchem.

Otóż Hircio powiada, że przyszedł na świat z bogatego i starożytnego rodu, że pierwsza jego kolebka stała w przepysznym buduarze, usłana najmiększym puchem, powleczone batystem i koronkami obszyta.

Ponieważ Hircio bardzo się gniewa, gdy mu nie wierzą, możemy więc na ten raz jeden uwierzyć, i pozostawić zagadką: jakim sposobem w szkołach, kiedyśmy go poznali, było przy nim i chudo i krucho?

Jak się uczył, a raczej że się źle uczył o tem mówić wam prawie nie potrzebuję. W szkołach miał on osobną logikę na wytłómaczenie swego nieuctwa: niepodobna, mówił, żeby wszyscy byli najlepsi, musi przecież być któryś najgorszy. W życiu późniejszym rozumowanie Hircia przybrało wcale inny, daleko zasadniejszy i wymowniejszy charakter.

— Żle się uczyłem, — mówił Hircio do kolegów, oczekując na bilard, na którym dogrywały się trzy pierwiej zamówione partye, — źle się uczyłem, no to i cóż?

— To też nic nie umiesz, odpowiadał kolega.

— Bah! mój luby Ignalku, — bronił się dalej Hircio, — zapozwoleniem! Umie wiele i bardzo wiele rzeczy, pożyteczniejszych w praktycznem życiu od deklinacyi łacińskich i równań drugiego stopnia.

— Naprzykład?

— Ot... z moralności wiem, że trzeba tak czynić ludziom jak nam jest miło, to jest jak nam się podoba; język nam wy-

kształcony klassycznie, jak to wiesz: rozróżnię wszelkiej wó-dzi numer i gatunek, umiem poprzestać na kieliszku i serdelku, a mimo to nie ułknę się szampana, ani szparagów nie będę jadł z grubsze go końca. Matematykę znam lepiej jak nasz nieboszczyk professor, bo kiedy mam w kieszeni dwa razy dwa grosze, wtedy zwykle wydaję dwa razy dwadzieścia. Historia mi nieobca: wiem że Kaligula mianował konsula koniem, czy też konia konsulem, i że w historyi nowożytniej nieraz ta sama godność dostaje się osłom. Z geografii zresztą znam drogę do serca Kostusi i do kieszeni gosposi, nadowód czego proszę o dwie szklanki ponczu i dwa papierosy... notabene, *zapomniałem* pieniędzy, jutro zapłacę.

A gdy na potakujące kiwnięcie głowy gospodyni zakładu, Kostusia przygotowywać zaczęła poncz zamówiony, Hircio tak dalej mówił do Ignasia:

— A ty co? w każdej klassie brałeś nagrodę, i myślisz żeś lepszy odemnie. Popatrz no się na siebie w lustrze, surdut od mojego dziurawszy, czapka pięciu groszy nie warta. Sprobuj się w bilard, przegrasz na trzydzieści for. Ze swoją nauką szukać musisz marnych korrepetycyi, które ci za dwie godziny dziennie przynoszą czterdzieści złotych miesięcznie, — ja ze swoją niech złapię jednego fryca, mam w jeden wieczór dwadzieścia pięć rubli.

Nieprawdaż że Hircio rozumować umie dokumentnie, — że argumentom takiej siły i logiki żaden się Ignas oprzeć nie potrafi?

III.

Ale nawet jako zły uczeń, Hircio Wrzos nie był jeszcze w szkołach nadzwyczajnością. Był to sobie powszedni nie-dbalec, który sprytem i zręcznością wrodzoną nieraz to sobie poprawił w opinii, co popsuł wczoraj, albo nazajutrz miał popsuć lenistwem. Koledzy go lubili, bo był sprawiedliwy,

to jest słabszych nie bił, a bijąc się z mocniejszymi nigdy na nich nie darł mundurów; bo przytem nie był lizus, i choćby go pieczono w smole nie powiadał co się działo w szkole. Lubili go jeszcze bardziej za jeden czyn bohaterski, który wam opowiedzieć muszę, ażeby dać wyobrażenie jakie miał serce Hircio, zanim się ono wyszlifowało na bruku.

Było to w trzeciej klasie.

Surowy wyrok nieubłaganego pana inspektora, skazał jednego z kolegów Hircia na dwanaście godzin karceresu, o suchym chlebie i wodzie.

Hircio był przyzwyczajony do innych kar, nie rozumiał więc bynajmniej powodów, dla których kolezka rzewnemi zalewał się łzami.

— Ot! maże się bekisa, — rzekł do niego na pociechę, — jakby miał czego. Cicho, mazgaju, podstawię stolik pod okno i wysłizniesz się przez kraty do swojej cioci na chleb z masłem.

Hircio mówił to żartem, kpiąc sobie z łez swego kolegi, ale tym razem dwa aż nieszczęścia spiknęły się na Hircia.

Pierwsze, że te wyrazy słyszał straszny pan inspektor.

Drugie: że inni koledzy uwięzionego znaleźli rzeczywiście środek wykradzenia jeńca, w godzinę po zamknięciu z okratowanego karceresu.

Nazajutrz w szkole straszna była indagacya. Hircio się wypierał, klnąc na czem świat stoi, ale to pogorszało jeszcze jego sprawę, bo pan inspektor przypominał sobie kompromitujące go wyrazy.

— Przyznaj się, dostaniesz pięć tylko.... — mówił do Hircia.

— Jak matkę kocham nie ja, panie inspektorze.

— Przyznaj się, dostaniesz dziesięć....

— Jak matkę kocham, nie ja, panie inspektorze.

— Powiedz kto? — indagował inspektor.

— Jak matkę kocham, nie wiem, panie inspektorze.

— Przyznaj się, bo dostaniesz piętnaście, — licytował dalej nieubłagany inspektor, zapalony zwolennik kary cielesnej.

— Jak matkę kocham, nie ja, panie inspektorze.

Nastąpiła operacya, smutna operacya, tym smutniejsza, że bezużyteczna, że szkodliwa nawet dla tego pokolenia, ku którego poprawie przez wielu podagogów tak skrupulatnie jest administrowana.

Hircio wytrzymywał ją heroicznie, jak na uciśnioną niewinność przystało, ażeby jednak za hardość tego niewzięto, po ukończeniu kary wykrzywił usta jakoby do płaczu, i stękającym głosem wyjąkał:

— Pan.... ine.... spe...ktor bi... je... jak...

— Jak prawdziwy ojciec, — przerwał inspektor, — błogosław rękę, która cię karci, bo przez nią wyjdiesz na ludzi.

— Jakby jakiego zbrodniarza, — kończył Hircio, i odwróciwszy się ukradkiem do kolegów pokazał im język w całej okazałości.

— Ach! ty malcze! — krzyknął inspektor, i byłby może przystąpił do powtórnej egzekucyi, gdyby z klasy, w obec której, dla przykładu, odbywała się ta kara nie rozległ się płacz rzewliwy.

— A to co? — zapytał zwierzchnik — Kałczyński? czego beczysz?

Kałczyński był kolegą Hircia, i sprawcą na nim ukaranej zbrodni. Na widok kary odezwało się sumnienie jedenastoletniego winowajcy.

— Proszę pana inspektora... on nie winien... to ja wypuściłem z kozy Warczyca.

Pan inspektor ujrzał się najniespodziewaniej w położeniu sądzącego Salomona, i wydał sąd natychmiast, — według jego opinii, godny Króla mędrca.

— A czemuż to ty pierwszy nie powiedział.... he? — co? a teraz ten niewinnie skrzywdzony... a to niewinne łączy spadną na ciebie do dziewiątego pokolenia.

— Położyć go!

Kałczyński z rezygnacyą oddał się w ręce stróża.

Inspektor z powagą ujął różgę, która ukarała niewinność i oddając ją Hirciowi, zawołał:

— Walaj — jemu dwadzieścia!...

Ale Hipcio odrzucił precz od siebie różgę wziętą z rąk inspektora, i zawołał z całym zapalem oburzenia:

— Pierwiej sam drugi raz dostanę!

Szmer pochwalny całej klasy dodał odwagi Hipciowi. Nim inspektor wymówił słowo, Hipcio dalej prowadził obronę.

— Książd pretekt nas uczy, żeby nie czynić drugiemu, co tobie niemiło... otóż ja go bić nie będę... nie będę...nie będę!

— Ależ ty za niego dostałeś!

— Ja dostałem niewinnie, — mniejsza o to! Gdybym go bił, biłbym także niewinnie, bo on zrobił Warczycowi to tylko, co chciałby żeby i jemu zrobiono. Cóż to, pan inspektor myśli, że miło w kozie siedzieć albo w skórę brać?

— Głupi jesteś, i on głupi; ja tobie przebaczę żeś hardy, i jemu daruję, boś ty dostał za niego. Patrzaj mi tylko później hardym nie być i starszych słuchać... a to... różgi!

Na tem skończyło się naówczas, głośnie na całą szkołę zdarzenie, które Hipciowi zjednało na przyszłość tylu życzliwych, ilu miał wtedy kolegów i serdecznego przyjaciela w Kaczyńskim.

IV.

Ten czyn heroiczny daje dobre świadectwo o sercu Hipcia, ale dobre serce jest częściej zawadą niżli pomocą na świecie.

Spojrzyjcie w tysiąc dobrych serc... Sam powierzchowny pogląd was nauczy, że dziewięć dziesiątych z pomiędzy nich dostało się właścicielom, których świat głupcami, *alias* niepraktycznemi nazywa, a pozostała część dziesiąta mazgajowate jakieś cechy nadała charakterowi swoich właścicieli.

Kilka tylko, jedno może z tysiąca, przypadło w udział człowiekowi mężnej woli i dzielnego umysłu, i ten jeden chodzi pomiędzy tysiącem, jak wielka wygrana loteryjna pomiędzy pospółstwem stawek.

Ale ten jeden płaci światu za tysiąc mazgajów i głupców, płaci z lichwą dług przez nich zaciągnięty, i płaci jeszcze niejedną szkodę jaką wyrządza światu jaki tam rozum bez serca!

Każde dobre serce, przy pewnej zdolności umysłowej ma przed sobą tę drogę, niejednen umysł widzi ją, i serce za sobą pociąga, ale dobre serca są klejowate i lipkie, do lada czego lgną, i za jakim bądź pociągiem zwracają się z drogi właściwej.

A kiedy dobre serce przylgnie do tego od czegooby odstawać powinno, człowiek najwięcej obiecujący staje się mazgajem lub głupcem.

Miał tedy dobre serce Hipcio Wrzos, choć ani tegiej głowy, ani chęci do nauki nie posiadał.

W takim usposobieniu charakteru i umysłu skończył szkołę.

Skończeniem szkół nazywało się w późniejszym stylu Hipcia przebycie ośmiu lat w czterech klassach, i wyjście z czwartej bez promocyi do piątej.

Mimo to byłby może Hipcio wyszedł na ludzi, bo iluż to mniej może mających sprytu, po odebraniu takiej samej edukacji porobiło karyery, ale Hipciowi stanęło to na zawadzie, że wyszedł z czwartej klasy skończywszy już rok dwudziesty pierwszy, że wąż mu się puścił bujny i ładny, i że nareszcie kilka dość lekkomyślnych kobiet słyszeć się dało z tem nieopatrznie wyrzeczonem zdaniem, że Hipcio w świecie podobojów sercowych zrobić potrafi *furorę*, a nawet przepowiadały mu napewno świetną karierę małżeńską.

Jako pełnoletni, pojechał coprędzej do opiekuna swojego mieszkającego na prowincyi, zażądał od niego rachunków ze spadku po swoim ojcu, i wypłaty pozostających w gotówce pieniędzy. A kiedy opiekun zaczął stękać i narzekać, że ze szczupłej schedy bardzo niewiele pozostało, że i to w części zjadły koszta wychowania Hipcia, i kiedy w końcu przyniósł plikę papierów, to mu Hipcio, niecierpliwy posiadania gotówki zamknął zaraz usta temi słowy:

— I! co mi tam słuchać tych ambajów, proszę wuja (opiekuna bowiem tytułował wujem), są rublony, to proszę o nie, a nie ma, to nie ma. Ja sobie zawsze dam radę.

Ludzie mający daleko gorsze serce od Hipecia utrzymywali że przez to odezwanie się stracił kilkaset rubli, — Hipecio był zdania, że zarobił kilka godzin, które by musiał strawić na nudnem ślęczeniu nad rachunkami.

Wtedy to Hipecio został panem piętnastu tysięcy gotówki.

V.

Powróciwszy do Warszawy Hipecio zaczął robić *furorę*.

Pierwszego dnia obiegił wszystkie kawiarnie, i nad wieczorem uwiązał w kawiarni pani Ł. gdzie znalazł kilka niebardzo ufortyfikowanych serc do podbicia, i sposobność rzućenia w błoto kilkunastu rubli.

Hipecio pozdobywał serca suto wykrynolinionych piękności, a kiedy wychodził, to pani N. liczyła rachunek w sposób następujący:

— Siedem a pięć, dwadzieścia, piszę zero, — dwa a dwa siedem, a cztery dziewiętnaście, — osiem złotych groszy dziesięć; teraz złotych... osiem a trzy piętnaście, a sześć dwadzieścia dwa, a dziewięć — czterdzieści jeden, a czterdzieści — sto dwa i groszy dziesięć.

Hipecio rzucił dwa dziesięcio rublowe papierki, i resztę kazał wydać Walerce na trzewiczki.

Wdzięczne spojrzenie Walerki, otrzymane w zamian, przekonało Hipecia, że prawdziwie zrobił *furorę*.

Bah! alez Hipeciowi nie dosyć było tego tryumfu, — to były tylko kawiarki!

* * *

Nazajutrz Hipecio jadł sobie objad w jednej z restauracyi francuzkich.

Ponieważ od pani Ł. powrócił prawie nad ranem, a potem spał do drugiej po południu, przebudziwszy się zaś, ubrał się tylko, i zaraz poszedł na objad, więc jakoś nie spotkał i nie zaprosił sobie do kompanii nikogo.

Hipecio wychowany na polskich zrazach i gryczanej kaszy, a nieraz na kaszy bez zrazów, niebardzo się znał na tajemnicach francuzkiej kuchni, co naturalnie musiało nadać pewną odrębną cechę jego obejściu się w restauracyi. Przybywający po raz pierwszy z traktjerni pani Świeszczakowskiej do Bouquerella lub Franciszka, wygląda zwykle jak zagrodowy szlachcic w hrabiowskim salonie; poczciwy, naiwny paraftanin, francuzkiego jadtospisu przesyllabizować nie umie, i gotów wołać o rosół z kluskami albo o huzarską pieczeń!

Takie zażenowanie się znać było bardzo na Hipeciu, co zwróciło uwagę jakiegoś pana wykluwającego sobie zęby przy drugim stoliku.

— Pan dobrodziej mnie zna? — zapytał po pewnym przeciągu czasu Hipecio, zniecierpliwiony ciąglem przypatrywaniem się wykwintnisiam, i gotów już zrobić *awanturę*.

Ale gość odpowiedział bardzo grzecznie, i wcale nie wtężył treści, jak się Hipecio spodziewał:

— Nie zbyt zbliśka... pan dobrodziej zapewne z prowincyi?

Hipecio poczuł, że udając się za prowincjonalistę, wybornie może się usprawiedliwić ze swego paraftańskiego obejścia.

— Tak jest panie... sprzedałem właśnie wioskę w Radomskiem, i myślę kupić co pod Warszawą.

— A to wybornie panie! to wybornie! mam tysiące znajomości w Warszawie, i stosunków z obywatelami okolicy, — mogę panu dopomóc w wyszukaniu, — mówił jegomość z drugiego stolika, uśmiechając się i pokręcając wąsa, a następnie gładząc bujną czarną brodę. — Z kimże mam zaszczyt? dodał po chwili.

— Jestem Hipolit Wrzos, obywatel.

— Baron Lump, do usług, — odpowiedziano, — nader mi przyjemnie, panie.

— Szczęśliwy jestem z poznania pana Barona, — odpowiedział Hircio.

Tym sposobem nasz Hircio wszedł w arystokratyczny stosunek, którego zawiązanie kosztowało go jeszcze parę szampanek.

Ale i tego było za mało dla Hircia. Jemu przepowiedziano, że w świecie podbojów sercowych będzie robił *furorę*!

VI.

Na drugi dzień baron Lump przyjął Hircia u siebie, w numerze zajmowanym w hotelu angielskim, i uczestował butelką madery i dwoma tuzinami biszkoptów angielskich z fabryki warszawskiej.

Na trzeci dzień baron Lump wygrał od Hircia w sztosia tysiąc dwieście złotych.

Na czwarty dzień baron Lump zapoznał Hircia z panną Otylią N*** artystką baletu.

Hircio przekonał się, że nie skłamano, iż będzie robił *furorę*, przekonał się tym razem wydawszy od wieczora do ranka dwa tysiące złotych. Przytem Hircio dał dowody dobrego gustu, albowiem zakupione przez niego w prezencie dla panny Otylii kosztowności, bardzo się jej podobały.

Ale i tego było za mało dla Hircia, — to była tylko baletniczka.

Piątego dnia baron Lump pożyczył od Hircia, pod słowem honoru, że zwróci za dwadzieścia cztery godzin, tysiąc osiemset złotych.

Szóstego dnia baron Lump napisał do Hircia list następujący:

„Kochany panie Hipolicie!

„Po co nam się łączyć wzajemnie. Wiem bardzo dobrze, że panu i mnie zarówno potrzeba tego, co starzy alchemicy krwią salamandry nazywali.“

— Co u diabła, — mówił Hircio czytając, — alchemicy, krew, salamandry... czy mnie na pojedynek wyzwawać myśli? Nic nie rozumiem.

Dalsza treść listu objaśniła nieco Hircia.

„... Ani panu już nie wystarczy na kupienie dóbr...“

— Ba! ja myślę, że nie wystarczy, — znów przerwał sobie Hircio, — mam już tylko trzysta złotych gotowizny!...

„... ani ja nie mam ochoty oddać panu dzisiaj tysiąca.“

— A! do kroćtysięcy fur, beczek, bataljonów, regimentów, — a verbum nobile panie baronie?

„... oddać panu dzisiaj tysiąca złotych, lubo... słowo u mnie przedewszystkiem, jeśli się pan będziesz napierał...“

— A to dobrze! jeżeli się będziesz napierał! — Pięknie panie baronie!

„... jeśli się pan będziesz napierał, to ja panu zaraz odeślę...“

— I owszem!

„... Lepiejby jednak było i dla pana i dla mnie zgodzić się na interesik jaki panu proponuję, bo tysiąc osiemset złotych na długo panu nie wystarczy, gdyż pan znasz naukę tracenia pieniędzy, vous... étez... un...“

— Czy diabła zjadł z francuzczyzną!

„... vous étez un... répertoire... de cette... science, — a moja kombinacya może panu przynieść ni mniej ni więcej jak z dziesięć tysięcy rocznie, nie licząc gratyfikacyi na garderobę...“

— Chce mnie za kamerdynera umieścić czy co?

„... na garderobę. Otóż odpisz pan czy się zgadzasz, czy nie. Jesteś pan chłopiec przystojny, i przez to możesz zrobić karierę.“

„Faites moi servir de guide à vous.“

Baron Lump.

Jakaś się jeszcze trochę Hircio nad francuzczyzną, której nie rozumiał, później się rzucał i przeklinał barona, w końcu odpisał.

Nazajutrz baron Lump odebrał od Hipcia list następującej treści i ortografii:

„Panie Baronie!

„Chociaz mi szczyże potrzebne so piniondze, jednagze zgadzam sie na prepozycie, to jezd waronki pana Barona ftym pszekonaniu, że pan Baron nie kłamie,

jako Jego najniszy sługa,

Hipolit Wrzos.

VII.

Wkrótce potem Hipcio został wprowadzony przez pana barona do salonu pani bankierowej Mühltrag.

Pani bankierowa Mühltrag była już nieco przekwitłą pięknoscia. Wizytę barona z Hipciem przyjęła nader poważnie i zimno, ubrana w czarnej sukni zasnurowanej sumiennie, ale zapiętej pod szyję.

Ta powaga i chłód w obejściu, oraz purytanizm w stroju pani bankierowej, miały oznaczać rodzaj wdowiej żałoby, albowiem bankier Mühltrag, skutkiem niesprawiedliwych przepisów prawa handlowego, odbywał przymusowe rekolekcyje przy ulicy Leszno, pod kluczem.

Rzeczywiście, było czego żałować pocziwego małżonka, który bankrutując zdołał przecieź od ogólnego upadku ochronić posag żony, i nietylko, że go ocalił, ale jeszcze z nader niepewnych wierzytelności, w jakich był wniesiony, umiał go przemietamorfozować na miłą gotówkę.

Padł ofiarą prześladowania prawa handlowego, z bohaterkiem jednak prawdziwie zaparciem się samego siebie zrezygnował się bankier Mühltrag na całe pięć lat... cierpliwości.

Pani bankierowa tymczasem niekiedy go odwiedzała incognito, a zazwyczaj wynurzała wielki żal, z powodu smutnych okoliczności, które jej męża tak długo zatrzymują... zagranicą. Kiedy zaś przychodził do niej kto z młodych ludzi pre-

zentowanych przez barona, wtedy bywała najsmutniejszą, bo smutek bardzo jej był do twarzy.

Hipciowi skoro wszedł pani Mühltrag wydała się prześliczną kobietą czterdziestoletnią, gdy przemówiła, przekonał się, że się najmniej o pięć lat na jej szkodę omylił, gdy go obdarzyła kilką powłóczytymi spojrzeniami, byłby przysięgł że ma zaledwie trzydzieści, a gdy po krótkiej wizycie przy wychodnem zaczęła go prosić, żeby ją odwiedzał kiedy zechce, jak najczęściej i bez ceremonii, byłby się dał zarębać, że nie ma dwudziestu pięciu.

Gdy wyszli od bankierowej Hipcio oczarowany nie mógł utaić zachwycenia.

— Zrobiłeś pan furorę, — rzekł baron.

— O! mnie to już dawno zapowiedziano, że będę robił furorę, — odpowiedział Hipcio pokręcając węsą.

— Teraz trzeba umieć korzystać z okoliczności.... a dzieśięć tysięcy rocznie, prócz dodatków na garderobę....

— Ale! ale! właśnie miałem prosić pana barona o wyjaśnienie co ma znaczyć ta pensya i ta garderoba. Jużciż za rządęcą tę pani mnie nie potrzebuje, a *luberya* daje się tylko kamerdynerowi.

— Ba! — przerwał baron, — widać zaraz, że pan niewiele rozumiesz.

— Tylko proszę bez *inpertymencyi*, — odparł Hipcio z dumą niezaspokojonego wierzyciela.

— No, no, to żarty.... a zawsze dziesięć tysiączków i garderoba.

— Cóż więc to pensya i garderoba, — skończ pan przecieź.

— Wstąpmy na śniadanko, — zaproponował baron Lump, — ale pan płacisz; przy kieliszku wszystko wyłuszcze.

VIII.

Ciekawym bardzo byłby rozdział streszczający nauki, jakie dał baron Lump Hipciowi. Niejeden Fredzio, Mundzio albo Kocio przy czytaniu tych rad dowiedziałby się, że i w War-

szawie, mając jaką taką fizjognomję, a nie mając pewnych niepotrzebnych skrupułów, można mieć pensyą i gratyfikacye na garderobę, nie bez pracy zapewne, ale zawsze bez tego, cośmy w życiu potocznem przywykli zwać pracą. Niejeden Żybcio przypomniałby sobie owe błogie czasy, kiedy miłosierdzie jakiej tam bankierowej pieczone gołąbki przynosiło mu do gąbki, a czerwone assygnaty do kieszeni.

I czytając Fredzio by się zadumał, Mundzio by westchnął, Kocio by podskoczył, Żybcio by rzucił niedopalone cygaro.

Kochany Fredziu, zacny Mundziu, serdeczny Kociu, nie pożądamy tak gorąco podobnie rozkosznego życia! Czytajcie dalej, a przekonacie się, i najmilejszy Żybcio przyświadczy wam, że są chleby, które się przyjeść mogą, choćby je bankierowa jaka najsuciej smarowała masłem albo miodem!

Bo ja wam rozmowy Hipsia z baronem nie powtórzę.

Powiem wam tylko, że Hipeio z niej skorzystał, jak lepij Żybcio nie umiał w przeszłości, a Kocio, Mundzio i Fredzio nie będą umieli w przyszłości.

Hipeio rozpoczął wkrótce bardzo miłe życie.

Bankierowa pokochała się w nim szalenie, a on w bankierowej ognie.

Plato był bazgraczem, bo ci co go czytali nie mieliby pojęcia o takiej miłości!

Hipeio miał powóz i konie bankierowej na rozkazy, jęj lożę w teatrze, jęj służbę do usługi. Prócz tego miał u niej kredyt, ograniczony do dziesięciu tysięcy rocznie, a nadto kilka razy do roku otrzymywał od niej w prezencie rachunki swojego krawca, pokwitowane, chociaż ich wcale nie płacił.

Hipeio miał za to wszystko jeden tylko obowiązek, być codziennie u bankierowej... były to różne więzy miłości, tak lubie dla zakochanych!

Mimo to Hipeio czegoś smutniał i smutniał. Powozem bankierowej zajeżdżał często dla rozerwania się do jakiejś małej kawiarni, którąby całą wraz z meblami, służbą i gospożą kupić było można na własność za czwartą część ceny powozu, za miesięczne dochody Hipsia. Zajeżdżał tam i bawił

godzin kilka, dymiąc ohydne papierosy z drajcapu i zapijając poncz bezecny.

A gdy po pięciu dozach ponczu i dziesięciu papierosach rozochocił się nieco, to tłukł siedem do ośmiu szklanek, stawiących całe gospodarstwo zakładu i płacił dziesięć do dwudziestu rubli, bynajmniej nie żądając reszty.

Potem wesoly pijaną wesołością wyjeżdżał na miasto, i najobdartszego ze spotkanych szkolnych kolegów i dawnych znajomych, brał z sobą w powóz, obwoził po mieście, i fundując mu prawil, że jego położenie podobne do sytuacji bonońskiego pieska, prowadzonego na jedwabnym sznurku.

Aż raz... na obiedzie u bankierowej, Hipsiowi bardzo nie smakowała jedna z potraw, i być czegoś nadzwyczaj kwaśny i pochmurny... Bankierowa wyszła na godzinkę do swoich pokoi, napisać jakąś nagłą korespondencyą. Hipeio zły strasznie został sam w jadalni, i zaciągał się dymem półrublowego cygara.

Trwało to z półgodziny.

Nagle myśl jakaś zabłysła w głowie Hipsia. Podskoczył i rzucił cygaro. Następnie wyrwał z puglaresu kartkę czystego papieru, pośpiesznie napisał na niej słów kilka, oddał ją lokajowi, i czempredziej wybiegł na ulicę.

Kiedy już był dosyć daleko, Hipeio zajrzał do portmonetki.

Był w niej rubel, dwie dwuzłotówki i dziesiątka.

— Trzeba było wziąć jeszcze co pieniędzy, — pomyślał, — ale... mniejsza o to! *Sla ne ferje* (cela ne fait rien) jak mówi ta... małmazja!

W tym samym czasie właśnie bankierowa czytała co następuje:

„Kochana moja koteczko!

„Znudziłaś misie, — ide i nie wruce wiency!...“

Tfuj do śmierci, *Hipolit*.“

Bankierowa Mühltrag zemdlala.

IX.

W tej to chwili Hircio puścił się na tulać wędrowkę po Warszawie, i będąc dotąd zwykłym tylko Hirciem, odrazu został dorosłym i dojrzałym *szlifbrukiem*.

Oczywista rzecz, że Hircio nie poto się włóczy po świecie (a światem u Hircia nazywa się to troje: bawarya — ulica — kawiarnia), ażeby szlifować kamienie warszawskiego bruku i wygniatać wypłatane siedzenia kawiarnianych stołków.

On włóczy się aby czas zabić, — wysiaduje na stołkach, aby odpocząć po ciężkiem próżniactwie.

Serce Hircia, zawsze jeszcze dobre, wyszlifowało się jednak na bruku.

Bije one niekiedy, ale już tylko dla kawiarki.

Bóstwem Hirciowem jest teraz suto wykrynoliniona Nastusia. U niej ma Hircio kredyt dobrowolny, i ona tylko jedna nie śmieje mu się w oczy, kiedy jęj obiecuje prezenta. Są to nader wymowne dowody, że Nastusia jest Hirciowi wzajemną.

Jeszcze jednym więc dowodem wzajemności, jest to, że kiedy Hircio gniewa się na Nastusię, i użyje wyrazów zabardzo już dosadnie gniew jego tłómaczących, Nastusia nigdy się nie obraża, i gdy ją przeprasza, „bez ceregielów“ wybacza.

Tak, tak... raz wam jeszcze powtarzam, że postępowanie to Nastusi jest dowodem prawdziwej miłości.

Nastusia prawda kocha i innych, — ale daleko mniej prawdziwie.

Nastusia ulega Hirciowi, a to rzecz bardzo trudna, bo z Hircia zrobił się prawdziwy awanturnik.

Kiedy mu odmówią kredytu, tłucze wszystko co jest na bufecie; kto ze znajomych fundować mu nie chce, może być pewnym guza; lokatorowie i stalsi goście kawiarni warszawskich znają go jako strasznego gościa, i kiedy we drzwiach go zobaczą tłumią oddech w głębi piersi.

Jeżeli Hircio wchodzi trzeźwy jeszcze, niełatwo uniknąć awantury, jeżeli już pijany zabawa idzie wybornie, tak wybornie, że po kilku godzinach, przez czas których Hircio za wypitą na kredyt lub koszt cudzy wódkę, albo herbatę z wieloma kieliszkami araku, wywdziecza się niezmordowanym, właściwym sobie dowcipem, że po tych kilku godzinach, gdy już północ uderzy, wszyscy goście kawiarni łączą się w jeden chór i przyspiewują Hirciowi, intonującemu śpiewkę z komedyo-opery *Łobuz nadwiślański*, którą pisać rozpoczął i napisać zamierza jeden z koryfeuszów kawiarnianej literatury.

Przycoczę wam ze trzy zwrotki:

HIRCIO.

Antek na całą Warszawę,
Wśród łobuzów jest kolosem,
Łokcie zawsze ma ciekawe,)
I buty z dziurawym nosem!) bis.

CHÓR.

Odkąd stary Henryk Probus,
Rzucił nasz mizerny globus,
I w nadziemski przeszedł obóz,
Jeszcze nie był taki łobuz!

HIRCIO.

Gdy ma złoty, — fundusz wielki!
Łyka wódię, ćpa serdelki,
A gdy nie ma ani grosza,)
Kradnie babom bułki z kosza.) bis.

CHÓR.

Odkąd stary Henryk Probus,
Rzucił nasz mizerny globus,
I w nadziemski przeszedł obóz,
Jeszcze nie był taki łobuz!

HIPCIO.

Słowem w poście, czy na mięsie,
Wśród awantur, czy birbantek,
Nadwiślańską legją trzęsie)
Kolosalny łobuz — Antek.) bis.

CHÓR.

Odkąd stary Henryk Probus,
Rzucił nasz mizerny globus,
I w nadziemski przeszedł obóz,
Jeszcze nie był taki łobuz! i t. d.

X.

Raz kiedy po skończeniu takiej śpiewki nastąpić miała kolej wódzi, wsunął się do kawiarni zapóźniony, cichy, spokojny gość i zażądał szklanki herbaty czystej.

Niebardzo spodobało się to Hippiowi.

— Prosim pana do kompanii, — zawołał — kto tu jest powinien pić wódkę. Nie ma już herbaty... czystej, — dodał po chwili z przekąsem.

— Nie piję, — odpowiedział przybyły.

Hipcio tego wieczora miał jakąś chrapkę na awanturę, i zaczął się pilnie i wyzywająco przypatrywać spokojnemu przybyszowi.

Ale po chwili zawołał:

— Kałczyński!

— Wrzos! — odpowiedziano, i dwaj szkolni koledzy, po dziesięciu latach niewidzenia rzucili się sobie na szyję.

* * *

To spotkanie mogło wywrzeć wpływ na całą przyszłość Hippi.

Kałczyński wyszedł dobrze; po skończeniu szkół, przy pomocy małego majątku, i dosłużeniu się dość korzystnej po-

sady rządowej miał się tak, że mógł pewnem już okiem spoglądać na przyszłość.

Zal mu się zrobiło Hippi, do którego szczerze się przywiązał, od czasu owej pamiętnej chłosty i heroicznego postępku. Z oczu widział, że Hipcio wyszedł na jednego ze zwyczajnych szlifbruków Warszawskich, a kiedy poszedł z nim do jego mieszkania, gdy na jakieś okropne poddasze zdołał się wdrapać po drabinie, gdy zobaczył wąskie łóżko, na którym kolejno odbywali noclegi dwaj lokatorowie tej podłonecznej wyżyny, gdy prócz tego łóżka i kamizelki zawieszonj na kołku nic więcej nie ujrzał w mieszkaniu, prawie łyzy mu w oczach stanęły, i postanowił podać Hippiowi rękę.

Hipcio się także rozczulił i przyjął ofiarę Kałczyńskiego, postanawiając wyrzec się tułaczego życia.

Kałczyński wystarał się o przyjęcie Hippi na aplikacyą bezpłatną do jednego z biur; tymczasem wziął go do siebie na mieszkanie, wspomagając pieniędzmi, o ile mógł, a nawet z ujmą dla siebie.

Hipcio z początku regularnie chodził do biura i mało wydawał pieniędzy; później ten stosunek zmienił się bardzo, i Kałczyński widział ze smutkiem, że kolega szkolny codziennie kosztuje go więcej, a codziennie gorszą ma opinią w biurze.

Jednego dnia wyszli obaj z domu i mieli razem udać się do miejsca biurowej pracy.

Przed samymi drzwiami Hipcio podał rękę Kałczyńskiemu i chciał odchodzić.

— Nie będziesz w biurze? — zapytał zafrasowany Kałczyński.

— Nie będę.

— Kiedyż przyjdiesz do domu?

— Nie przyjdę.

— Jakto? — zawołał przerażony kolega.

— Słuchaj Kałczyński! — odpowiedział szybko Hipolit, — mogłem za ciebie w skórę brać, ale tracić twoich pieniędzy nie myślę. Bądź zdrow, — zapomnij o mnie, i nie pokazuj mi się na oczy.

BEREK JOSIELOWICZ

Szef szwadronu ulanów wojsk b. Księstwa Warszawskiego.

SZKIC BIOGRAFICZNY.

WSTĘP.

 **M**ineły owe bohaterskie czasy walk świętych, walk idei i uczuć, zniknęły na zawsze owe charaktery wielkie, wybitne, owe postaci posągowe, na których czole zda się natura sama kładła odrębne piętno, wyróżniające ich z ludowej czerni. A choć idee i uczucia, w imię których boje staczano, nie odpowiadają dzisiejszym pojęciom i historia nieraz je potępia, choć duma i nienawiść nieraz przeważną grały w nich rolę, lecz za to ileż to razy szabla i pancerz twierdzą stawały za honor, wiarę i ojczyznę? Ileż to razy pod jasnym tych uczuć promieniem, ludzie prości i mali, wyrastali w dziejowych olbrzymów? Kompilatorskie rozumy dzisiejszych uczonych historyków, mogą rzucać w ich oczy, przymknięte snem wiecznym, w poziomą swą głowę wyległe zasady, mogą kalać ich groby żółcią bezsilnej egoistycznej duszy, ale każdy, w czyjej piersi handlarska zachodu oświata nie wystudziła

Cheiał coś odpowiedzieć Kałczyński, — ale Hipeio był już daleko.

Tym razem Hipeio puścił się znowu na tułaczą wędrówkę, — ale już teraz bezpowrotnie.

Co będzie z Hipeia?

Na to pytanie odpowiedzieć nie trudno: albo szlifbruk bez końca, aż dopóki gdzieś, kiedyś, w pijanej atmosferze za-
kątowej kawiarni, nie spotka go tułaczka z obrazów Holbeina
i w taniec z sobą nie poprosi, — albo, — jeżeli Nastusia wy-
gra na loteryi, lub może otrzyma sukcesją po jakim mniej
prawdziwie kochanym kochanku, — będzie z niego zawojowa-
ny mąż Nastusi, która awanturniczą jego naturę łatwo pan-
tosem po ślubie pokona.

Któż nie zna Hipeia?

Ja myślę, że go znamy wszyscy w Warszawie, jeżeli jest
jednak kto co by go nie znał, — niech wejdzie na chwilę do
kawiarni, gdzie pełno gości, i niech w półgłośnej rozmowie
wymówi Kałczyńskiego nazwisko, — a wtedy ten co zrobi
dziurę w suknie na bilardzie, i markierowi nawymyśla od
ostatnich, i ze trzy szklanki jeszcze potłucze, a na spojrzenie
Nastusi zmilknie jak trusia i pójdzie do kąta, — ten będzie
Hipeio.

BEREK JOSIELOWICZ

Szef szwadronu ulanów wojsk b. Księstwa Warszawskiego.

ostatniej iskry młodzieńczego zapału, komu pamięć przeszłości jest drogą ojczystą spuścizną, ten szczere rzuci im westchnienie, tego łza skropi ich mogiłę, a westchnienie i łza taka nie zginie, stanie się ziarnem i sieją nowych w przyszłości czynów, mniej może świetnych, lecz niemniej uczciwych.

Ostatnią nutą wielkiego dziejowego koncertu była epos Napoleońskich czasów. W niej jakby natura chcąc uwydatnić przejście od miecza do maszyny parowej i od honoru do miłego grosza, zestawiała z sobą tyle sprzecznych charakterów, ile sprzecznych zespoliło się w niej interessów.

Ziemia nasza ojczysta niemniejszą grała tu rolę. Spełniając od wieków świetne posłannictwo, stojąc u granic Europy granitową tamą, o której piersi rozbijały się rozbrukane fale Azyatyckiej dziczy, rok rocznie obficie krew swych dzieci lała dla zapewnienia spokojnego rozwoju kunsztów, handlu, przemysłu i bogactwa europejskim ludom. Cóż więc dziwnego, że naród ten rycerski, całe swe życie pędząc na koniu lub pod obozowym namiotem, nie miał czasu spojrzeć w wewnętrzną swą organizacyą, cóż dziwnego, że od stołu obrad sejmowych zmuszonym będąc ruszać na krwawe boje, nie mógł oddawać się przebiegłej polityce i dyplomacyi?....

Ten to ostatni peryód naszego bytu politycznego obrałem za tło mojego szkicu, a za bohatera historyczną postać Polaka wyznania Mojżeszowego, aby przekonać braci naszych też samą wyznawających religią, że węzły jakie dziś nas połączyły ściślej, dawniejszy nierównie miały początek.

I.

Roku 1798 w miesiącu Lipcu ku wieczorowi, po malowniczej drodze wiodącej brzegami jeziora Como ku stolicy Lombardyi, szedł podróżny z lekkim tłómczkiem na plecach, w znoszonym odzieniu, z potężnym kijem w ręku, jedyną bronią zaczepną i odporną w kraju, w którym wrzał bój zacięty.

Człowiek ten jakkolwiek mocno ogrzałej twarzy i rysów zdradzających wschodnie pochodzenie, nie mógł przecie być wziętym za Włocha. Ubiór jego pół wojskowy, bo z pod surduta wyglądały granatowe z malinową wypustką szarawary, furażerka rogata z daszkiem takiegoż koloru, postawa wysoka, prosta, nos orli, wąż z ręcznie wygięty, oko wielkie, czarne, z tēm spojrzeniem szlachetnym pełnym siły i spokojnej odwagi, właściwem ludziom, którzy nieraz narażali życie: wszystko to tworzyło całość, mającą wiele charakteru i męskiej piękności. Skwar był nieznośny, a wędrowiec śnać z dalekiej szedł drogi, bo znużenie przebijało się we wszystkich jego ruchach, często pot ocierał z czoła i wyteżał oko przed siebie, niepewny, czy w dobrym idzie kierunku. Nareszcie słońce zaszło, i błękitne wody jeziora poszarzały w oddali, a trakt w tēm miejscu dzielił się na dwie odnogi: jedna szła na prawo do Varese, druga ku południowi ku Monza do Medyolanu. Stał na chwilę by odetchnąć i pomiarkować się w dalszej wędrówce, gdy ujrzał dążącego w tē stronę drugiego pielgrzyma, który z weselem prawie dziecinnym nucił pełną piersią pieśń obcą w tych stronach. Były to oderwane nuty ulubionego wówczas poloneza Kościuszki. Nasz wojak stanął jak wryty, uśmiech bolesny przebiegł mu po ustach, a na ogorzałym licu dwie łzy zaświeciły. Przy zejściu się dwóch dróg spotkali się dwaj pielgrzymi i pozdrowili w języku dalekiej północy. Krótkie były słowa, krótkie powitanie, bo ostatni wyraz zamilkł w braterskim uścisku. O! święta miłości bratnia, o święta nuto ojczystej pieśni!... wspominku lat przeszłych, minionych złudzeń, straconych nadziei, przesłanionych dni złotych, jakżeż silnemi jesteście! I oto dwaj ludzie, którzy raz pierwszy widzą się w życiu, łzy leją spojeni w objęciach. Bo oba wygnańcy z rodzinnego zagonu, w daleką ziemię niosą męzne serca, by walczyć za drogie swobody. Nie pytają się o swoje miana, bo i na cóż im ta wiadomość, wiedzą że są Polacy i to im wystarcza zupełnie. Więc ręka w rękę, jakby dwaj bracia, poszli drogą, która przed nimi biegła wśród winnic i wysokich krzewów. Spotkanie to

nowych sił im dodało, krok stał się pewniejszym, lżejszym, bo i w sercu było weselę, dusze ich otwarły się dla siebie, więc gwarząc o swych przygodach, ani się spostrzegli, jak stanęli przed oberżą w wiosce Vitelio.

W oberży na kominie ogień buchał jasnym płomieniem, przy którym w kocielku warzyła się jakaś strawa wielce łechcąca swą wonią podniebienia zgłodniałych wędrowców. Za stołem przy oknie oberżysta, gestykulując sposobem włoskim, wiódł żywą gawędkę z mulnikiem, dopytując się bezwątpienia o nowiny, których nie zbywało. Gospodyni troskliwie w kocielku mieszała. Podróżni nasi wchodząc pozdrowili obecnych miejscowem „Ave Maria“ i zażądali wina, sera i co z mięsiwa. A gdy usłużny gospodarz spełniał ich żądania, oni w dalszym ciągu wiedli na drodze rozpoczętą rozmowę.

— Więc wracasz wprost z kraju, spytał młodszy, jasny blondyn o niebieskiem oku i dziecięcej prawie twarzy.

— Niezupełnie, błakałem się Bóg wie gdzie, byłem w Galicyi, w Szląsku u krewnych i nareszcie tutaj mnie widzisz. Ależ mówimy z sobą od dwóch godzin, a jeszcze nie wiem jak się nazywasz mój młody przyjacielu.

— Ja nazywam się po prostu Władysław Ojrzanowski, bez żadnych tytułów, ani godności, syn szlachcica zagrodowego. Wyrosłem jak widzisz niezłe, wychowałem się zdrowo, nauczyłem się czytać i pisać po łacinie, trochę po niemiecku, ot i wszystko. Na wiecój, mówiąc prawdę, i czasu nie było. Doleciała nas z Włoch wiadomość o naszym Dąbrowskim, więc ojciec dobył z kufra skórzaną kieskę, odliczył z niej dwadzieścia obrączkowych, pobłogosławił szkaplerzem, i dał w drogę. Jak przeszedłem przez tyle krajów i pośród obcych mi ludów, jak wystarczyła ta mała kwota, dziś już spać nie mogę, wiem tylko, że jak Izraelici za owym jasnym obłokiem, tak ja biegłem wytrwale za radosną wieścią tworzących się legionów, by w bratnim stanąć szeregu.

— Do jednego więc bracie dążymy celu, całą przyszłość naszą i ojczyzny naszej zawieszamy na ostrzu szabli i bagneta, oby więc Bóg litościwy pobłogosławił naszej sprawie, oby ręka

Jego Wszechmocna złała pomyślność na nasze zamysły i przedsięwzięcia. Słuchaj mój młody bracie! mamy wojować w kraju obcym, nieznanym nam zupełnie, wojna jest ciężką plagą, ale i nieodbitą nieraz potrzebą, bij się więc mężnie, jak na prawego Polaka przystało, ale pamiętaj, że w mocy jest każdego zmniejszyć okropności wojny. Gdy jedną ręką śmierć nieść będziesz w nieprzyjacielskie szeregi, drugą ręką zasłaniaj bezbronnych i ucisnionych od szalu rozhukanego żołdactwa. Wybacz, że daję ci rady, lecz ja starszy wiekiem i doświadczeniem, w niejednej już byłem potrzebie, nieraz widziałem krew lejącą się strumieniem i z mężką siłą patrzyłem spokojnem okiem na tysiące padających wojowników, lecz nigdy się nie splamił zbrodnią morderstwa na starcu, dziecku lub kobiecie, i jedna kropla krwi niewinnej nie plamił mego sumienia.

Słuchał go z uwagą młody Ojrzanowski, w oczach błyskał mu ogień szlachetnego zapалу, czoło jaśniało potęgą myśli wzniosłej i poświęcenia, a gdy już skończył, młodzieniec wyciągnął dłoń do niego i drżącym od wzruszenia głosem zapytał nieśmiało:

— Szlachetne twe rady zachowam jako relikwie w niej duszy i przekonasz się da Bóg, że podłością zmazać się nie umiem, lecz powiedz mi nareszcie twe miano, niech wiem, komu winien jestem te zdrowe zasady i braterskie współczucie?....

— Polak jestem z urodzenia, tak jak i ty mój towarzyszu, lecz Bóg dał mi urodzić się nie w waszej wierze. Ludzie mojej religii nisko stoją w waszem przekonaniu, trudno! cierpliwości, a czas i czyny pokażą, że zarówno z wami kochamy wspólną naszą matkę.

— Imię twoje....

— Nazywam się Berek Joselowicz.

— Mój bracie! mój bracie! wykrzyknął Ojrzanowski, rzucając się w jego objęcia, — nie sądź nas tak pohopnie. Gdybyś ty jeden tylko był z pośród twego ludu dla nas życzliwy,

gdybyś ty jeden tylko dał dowód miłości dla naszej ziemi, już to samo zyskałoby nasze serca dla twoich, i ja pierwszy wotowałbym za zrównaniem was z nami.

— Prawdziwy z ciebie szlachcic, mój kochany, myślisz nawet dziś o wotowaniu i o prawach, gdy ich wszyscy nie mamy, ale niech przyjdzie sposobna chwila wtedy....

— Wtedy przekonasz się, że Ojrzanowski nie zmieni danego słowa.

— Dałby to Bóg.

— Uprzedzony jesteś zbyt. Nie nasza to wina, żeście się dobrowolnie od nas dzielili, żeście się uważali za osobną i odrębną narodowość, żeście nie mieli wiary w nasze chęci i zamiary, i unikali zlania w jedną całość. Nie robie wam złąd wyrzutu, bo znam i nasze winy, ale widzę przyszłość jasną, widzę okiem przeczucia, że wszystkie waśni, przesady, uprzedzenia, znikną na sprawą takich jak ty ludzi, których Opatrzność wybrała za dokonanie wielkiego dzieła.

— Amen.... Podzielam twe zdanie i pracować nad tem całe życie będę. Jest to zadanie pieszczone od lat mych najmłodszych i niem się kierować będę do dni mych ostatka. Losy ludzi są w rękę Przedwiecznego, ale ludzie dobrą wolą, wiarą głęboką i miłością pomagać winni Jego nieuniknionym wyrokom, i zbliżyć tę upragnioną chwilę, którą choć nie zniszczyć, ale oddalić mogą, dumą, ambicyą i barbarzyńską nietolerancyą.

II.

W dalekiej i głębokiej Litwie w powiecie Telszewskim w małej mieścinie Krotyndze, przyszedł na świat w drugiej połowie XVIIIgo stulecia Berek Joselowicz. Ojciec jego majątny dość kupiec i przedsiębiorca, znany z praktycznego rozumu, z uczciwości i dobrego sposobu myślenia, cieszył się pewnem zaufaniem u wielu magnatów litewskich.

Młody Berek obdarzony od natury ujmującą powierzchownością i wielkimi zdolnościami, rozwijał swój umysł w początkowych szkołach izraelskich i pod baczem okiem swego ojca. Gdy inne dzieci w bezmyślnych zabawach traciły czas wolny od nauk, on z drewnianą w rękę szablą despotycznie zmuszał je do posłuszeństwa i formował wojskowe zastępy. Ulubiona to była jego rozrywka, w niej przebijał przedświt przyszłego zawodu, w niej się rozwijał i uwydatniał duch młodego Joselowicza. Tak mu zbiegły lata do 12 roku życia. W tym czasie ojciec jego powołany interessami przeniósł się do Wilna. W tej stolicy ówczesnej Litwy, gdzie przepych magnacki i wojskowy jaśniał w całej potęgę, coś dziwnego, że bujna wyobraźnia młodzieńca zaczęła marzyć o innej przyszłości, a nie tej, jaką mu ojciec zdawna już obmyślił. Stan kupiecki był mu nie po myśli. Bohaterska jego dusza rwała się z szeregiem zbrojnych na dalekie bitwy i z utęsknieniem odsiadywał długie godziny nad rachunkową księgą w ojcowskim kantorze.

Ówczesny zwyczaj nie pozwalał wielkim panom trudnić się kupnem lub sprzedażą czy to dóbr, lasów, lub tembardziej produktów; otóż ojciec Berka spełniał te posługi z ręcznie, umiejętnie, za co hojną dłońią był wynagradzany. Z drugiej strony trudnił się dostawą zapasów wojskowych, koni, furazów, i to mu dawało niemięjsze zyski.

Młody Berek doszedłszy lat piętnastu, przypuszczony był przez swego rodzica do rodzaju współki.

W parę lat potem, poznany przez księcia Massalskiego Biskupa Wileńskiego, miał sobie powierzona misję w tajnych interessach do Drezna i Berlina. Z powrotem przyjął go biskup najuprzejmiej, podziwiające z ręczność, przytomność umysłu i takt niezwykły w tak młodym wieku; powoływał go bardzo często do siebie i przedstawił swój synowicy księżnej de Ligne. Ta ostatnia znów mu powierzyła rozliczne interesa we Francji i Anglii, gdzie Berek przesiedział rok przeszło, a wróciwszy do kraju, prócz zysku jaki odniósł jednajac sobie coraz więcej życzliwości wysoko położonych osób, nabył pra-

ktycznie kilku języków, która to znajomość dobrze mu posługiwała w późniejszym czasie. W dziewiętnastym roku swego życia ożenił się stosownie do życzenia ojca, nie znając wcale swój narzeczonej. Tu po raz pierwszy rozwiały się młodzińcze marzenia.

Poetyczna jego dusza doznała bolesnego zowodu, oczekując małżonki jaśniejącej wdziękami, zdobnej umysłowem wykształceniem, któremby dorównywała jemu, znalazł kobietę brzydką, nieco ułomną i bez żadnego wychowania. Życie też jego smutną zaczęło biedz kolejną. Zrażony zasadami swych współwyznawców, ich przesadami, ich uporczywością w odrzucaniu dobroczynnych darów oświaty, nekany daremną myślą poprawienia złego, zrażony domowem pożyciem, zamknął się w sobie, a wrzająca jego dusza nie mając pola działania, nie mając komu powierzyć swych cierpień i porywów, trawiła się własnym płomieniem i wyrobiła z niego rodzaj biblijnego bohatera, mającego stworzyć nową erę w bycie towarzyskim swego narodu. Tak upłynęło lat kilka. Gdy rozgłos imienia Kościuszki przeniknął niedostępne puszcze litewskie i zapał dla sprawy ojczystej szerzyć się zaczął, ocknął się Berek z długiej bezczynności, przedarł się do obozu naczelnika ludu, a uzyskawszy pozwolenie jego na utworzenie pułku z samych izraelitów, wydał proklamacyę do swych współwyznawców, która siłą, energią i porywającym urokiem stylu do najślawniejszych tego rodzaju policzoną być może.

Skutek najlepiej świadczy o jej potędze. W niespełna dwa miesiące, Berek ujrzał się na czele szwadronu wyborowego żołnierza. Niccierpliwy zetrzeć się z nieprzyjacielem, wyruszył forsownemi marszami pod Warszawę, gdzie główne siły rodaków skoncentrowane były. Po drodze odbył szczęśliwie parę utarczek i przybył na Pragę właśnie w wilią przypuszczonego szturm. Tutaj po raz pierwszy zajaśniał w całym blasku zapał jego dla swego kraju, tu po raz pierwszy dał dowód, że choć inną religii, sercem i duszą równym był Polakiem. Z szablą w dłoni rzucił się na wskazane mu stanowisko, i ani grad kul i kartańczy, ani najeżone bagnety

karebataliony nie ustraszyły walecznego wojownika; po kilku świetnych szarżach, gdy ręka już prawie mdlała z utrudzenia, gdy z całego jego zastępu zaledwie kilka pozostało koni, ustąpił z placu ze smutkiem w duszy, zwyciężony przez wyższą liczbę, ale nie przez wyższe męstwo.

Rozpierzchły się resztki rozbitej armii, Berek w ich liczbie długo się błakał w rozmaitem przebraniu. Dobrał się wreszcie na rodzinną Litwę, by raz jeszcze ujrzeć jedynego syna, złożyć na jego czole w ojcowskim pocałunku ostatnie błogosławieństwo, i pójść potem tam, gdzie go sprawa narodu wzywała.

III.

Lecz wróćmy już do naszych wędrowców. Dobrze się gonić musimy, by dościsnąć, po przez czas poprzedniego rozdziału, przebiegli ogromną przestęń kraju, która dzieli wybrzeża jeziora Komo od wiekowej stolicy Rzymu.

Przybywszy do odwiecznego miasta, znaleźli się już wśród swoich, którzy z otwartemi rękami, przywitawszy ich jak bracia, przedstawili generałowi Dąbrowskiemu. Berek znany był już generałowi, który powstał na jego przybycie i po żołniersku dłoń mu uściskał. Rozpytywał się z troskliwością o ojczyznę, o znajomych, o tych rozbitków walecznej armii, którzy zdołali ująć śmierci na polu bitwy. W końcu polecił zaciągnąć ich do kontroll wojskowych i uprzejmie pożegnał.

Kwaterna im przypadła na maleńkiej uliczce za Tybrem, nazwanej Strada del Sto Giuseppe. Maleńka ta, a ciasna ulica, skrecona w literę S. z jednej strony dotykała Tybru, z drugiej strony ginęła w labiryncie innych podobnie krętych i brudnych uliczek. Dom, w którym zamieszkali należał do jednego z prałatów i całkowicie był wydzierżawiony stariej kobiecie, mającej jak wieść niosła, córkę cudnej urody. Mało przecież kto mógł się pochwalić, aby ją widział kiedy. Naj-

ciekawsi tylko z sąsiadów utrzymywali, że na całym Transtarze nie ma podobnej dziewczyny. Oprócz tej wdowy, która zamieszkała pierwsze piętro, opatrzone silnemi żaluzjami, na dole mieszkał sprzedawca owoców, a na drugiem piętrze nasi znajomi podróżni.

Z początku ciągle ćwiczenia wojskowe mało im zostawiały czasu na zajęcie się cudzemi interesami, lub ciekawem śledzeniem współlokatorów, lecz po paru miesiącach młody Ojrzanowski, jakimś cudnym sposobem, dostrzegł po za gęstemi zazdrostkami parę czarnych oczu, tak ognistych i wielkich, że jak sam utrzymywał, o mało przez nie zjedzonym nie został. Bujna jego wyobraźnia stworzyła natychmiast resztę doskonałych rysów i dokończyła to, czego wzrok dojrzeć nie mógł. Od tej też chwili datować się zaczął trapiący niepokój serca i rodzaj dwudziestoletniej melancholii, która niegodziwie się obchodzi z swemi ofiarami.

Próżno Berek wszelkimi siłami starał się złagodzić zabójczy wpływ włoskiego oka, starania jego były daremne i umyślił to zostawić czasowi, lub wyjściu w dalsze strony.

Ojrzanowski siadując często w oknie, długo w noc obserwował światło migające w pokoju swjej ukochanej, modlił się do jej cienia i zaklinał na wszystkie świętości, że musi jej dać poznać swoje uczucia. Lecz wszystkie zamiary rozbijały się o trzy przeszkody: najprzód o mocne drzwi dębowe strzegące jej mieszkania, powtórnie o niemożność ujrzenia jej kiedykolwiek na ulicy lub w kościele, a potrzecie o zupełną nieznanomość włoskiego języka. Strapiony takim niepowodzeniem, gdy już wszelką zdawał się tracić nadzieję, usiadł w oknie otwartem nie paląc światła, aby nie zwracać na siebie uwagi i zatopił się wzrokiem w błyszczącą twarz księżyca, który zdał się naśmiewać swą puciołowatą twarzą z niefortunnej miłości młodego Polaka. Za nim, w pokoju, rozlegało się silne chrapanie towarzysza spoczywającego po dziennych trudach. I nasz bohater byłby pewnie zdrzémnał znudzony tęsknotą, gdyby nie raptowne drgnięcie okna sąsiadki, które się zwna otwierać zaczęło. To zaintrygowało Ojrzanowskiego; wy-

teżył wzrok lepiej i ujrzał białą postać, która stała w otwartem okienku, dając ręką jakieś znaki, które Ojrzanowski brał całkiem do siebie. Upojony nadziemską radością z bijącym sercem zbiegł na dół, by bliżej podejść i choć słów parę w tym celu przesłać w pieszczone uszko sąsiadki. Lecz jakże się zdziwił, gdy znalazł opartą o mur drabinę, a swjej bogdanki nie zastał na miejscu; nie namysławiając się wcale, wbiega po stopniach drabiny i pierwszym przedmiotem jaki spostrzegł był mały, czarny jak węgiel włoszysko, z okrutnie najeżoną czupryną, który w silne ująwszy ramiona omdlałe ciało najpiękniejszej z kobiet, uniósł je ku oknu, by się tą drogą dostać na ulicę. Ojrzanowski osłupiał, lecz po chwili wpadł z całym impetem na zbrodniarza (jak się domyślał) i ująwszy za garło wydarł mu z rąk pochwyconą zdobycz. Ale i napadnięty, choć wątpli na pozór, niełada był siły, sięgnął ręką za pas i wymierzył raz dobrze nożem w piersi przeciwnika, ten ledwie miał czas schwycić tę rękę i obydwa zaczęli szamotać się cicho, bez jęku, bez jednego wyrazu lub wykrzyku. W tej walce zbliżyli się nieznacznie do okna. Przebiegły i podstępny Włoch zbiera wszystkie siły, przeważa Ojrzanowskiego przez parapet i wyrzuca za okno, ale i sam porwany przez tegoż, nie mając czasu schwycić za futrynę, wypada z nim razem.

Zakochanemi Bóg się opiekuje, mówi przysłowie, i sprawdziło się ono do słowa na naszym zagorzałcu; padając na ziemię znalazł się na wierzchu, i wyszedł z tej walki z potłuczonym bokiem i rozciętym czołem. Włoch zdawał się zadowolony, i takim go odszedł pełen zadowolenia ze spełnionego czynu, zawczasu już marząc o słodkiej nagrodzie od ocalonej bogini swych myśli. Przebudzony Berek gdy posłyszał ocale to zdarzenie, posmakował, pokiwał głową i radził Ojrzanowskiemu, aby od tej chwili nie ważył się sam jeden wychodzić z domu, szczególniej wieczorem i nosić tegi sztylet od wszelkiego przypadku.

Młodzieniec uważał to wszystko za zbyt ponure i nieprzyjemne, aby sobie tem głowę zaprzętać, kiedy był najmocniej

wewnętrznie przekonany, że piękna nieznajoma czeka tylko okazji, aby mu swe dziękczynienia wynurzyć.

Cały dzień nazajutrz zbiegł na tak pięknych marzeniach, na kataplazmowaniu boku i na przykładaniu mokrych kompress do czoła. Nad wieczorem dopiero, gdy ból trochę przeminął i chciał już na nowo zająć stanowisko w oknie, wpadł do pokoju kamień rzucony z ulicy. Kamień był obwiązany papierem, a na papierze taki napis, kiepsko i niepoprawnie skreślony we włoskim języku:

„Zbrodniarzu! któryś mi wczoraj wydarł więcej niż życie, bo szczęście wszystkich dni moich, wiedz o tem, że w krwi twojej poszukam pociechy, i słabość tylko przeszkadza mi spełnić natychmiast to silne pragnienie zranionego serca.“

— Do diabła! zawołał. Piękna perspektywa! Slicznych się rzeczy dowiaduję. Więc ona wzdychała do tego potwora i pozwalała się wykradać? A niechże mnie..... rzekł uderzając się w czoło, jakież kiep ze mnie!....

W niespełna pół godziny drzwi się otworzyły i wszedł sprzedawca fruktów, z uśmiechem słodszy od pomarańczy, i doręczył z ukłonem mały, lecz ważny pakiecik, a nie czekając żadnych zapytań, oddalił się z pośpiechem.

— Cóż to za nowa mistyfikacya?.... znowu list? co u diabła, czy znowu drugi raz chcą mnie zamordować?... i pieniądze!.... do licha, to chyba na pogrzeb. List był téj treści:

„Signore! Jesteś szlachetny i odważny, a przytem katolik, bo Polak, to wszystko powoduje mnie, bym obok wyjawienia mej szczerzej wdzięczności za uratowanie młodej kobiety od napaści zbrodniarza, przestrzegł cię, iżbyś był ostrożny, gdyż ten niegodny człowiek zemścić się zapewne zechce. Nie odmawiaj małego upominku od szczerzego przyjaciela, który wie dobrze, że młodym pieniądze topią się w dłoni.“

Duchowny.

Berek stał oddawna za zdumionym towarzyszem, który trzymając w jednej ręce list, a w drugiej pieniądze, nie wiedział co z sobą zrobić.

— No schowajże pieniądze do kieszeni, a listem zapal fajkę i basta, odezwał się nareszcie Berek; nie ma nadczem głowy łamać, a drugi raz nie baw się w średniowieczne romanse, bo wiek obecny nie potemu.

— Więc cóż mam robić?

— Co robić? mając pieniądze w kieszeni, i to w dobrem złocie, jeść, pić i nosić dobrze wyostrzony nóż za cholewą.

— Ależ to nieznośne takie życie!

— Facecya, niewarto szczypty prochu, przywykniesz po trochu, co kraj, to obyczaj. Jakżeż bok i czoło?

— Lepiej, zacznie lepiej.

— No to kładź się spać, zamknawszy dobrze drzwi i okno.

* * *

We dwa tygodnie potem na Piazza del Popolo, w kawiarni pod zielonym mieczem, zgromadziła się spora kupka legionistów, traktując się czekoladą i sorbetami; niektórzy ze starszych ciągnęli winko popalając włoskie cygara. Wśród kłębow dymu i gwaru polskiej rozmowy, wesoło spływały godziny; anegdotki, wspomnienia, rozmowy przelotne, wszystko tu było na stole, aż do planów przyszłych bitew i polityki europejskiej. Przy jednym stoliku siedział Berek, Ojrzanowski i kilku jeszcze wojaków, pokpiwając ze świeżej jeszcze młodzieńca przygody.

— No i cóż kamracie, zapytał wesoło stary wąsał, przetykając krótką fajeczkę, nie masz tam jakiej Belli, którąbyś bronął od siideł miłości?...

— Dajcie bo pokój z żartami, kością mi w garle ta Włoszka, niech ją piorun spali.

— Gadaj zdrów, a rączki byś lizał, byle tylko można.

— Ma ona swoich do licha....

— Więc się już wyleczył z amorów?

— Po takim skoku i djabieł by się odkochał, dorzucił drugi wiarus. Co do mnie, tobym i o żonie zapomniał.

— Pijcie no prędkiej, przerwał Berek, capstrzyk za pasem, a na odwachu siedzieć nie mam apetytu.

— No więc za zdrowie dzikich piękności.

— I łaskawych.

— Tylko nie Włoszek, wtrącił Ojrzanowski.

— Vivat!!!... a teraz do domu.

I zabrali się wszyscy. Zmierzch już zapadł, zwolna wychodzili na ulicę, śmiejąc się, rozmawiając. Ojrzanowski jeden pozostał, rozplacając się z gospodarzem, bo on to dziś był fundatorem za owe złotko, co to z nieba spadło. Nareszcie i on, świszcząc przez zęby jakąś piosneczkę, z rękami w kieszeni, przestępował próg kawiarni, lecz w tejże chwili uczuł drasnięcie nożem po piersi, cofnął się szybko i ujrzał tylko jak Berek, który go na krok nie opuszczał, szablą rozplatał głowę napastnika.

— No teraz bądź już spokojny, rzekł zwolna chowając szablę do pochwy, już cię ten zbrodniarz więcej, mam nadzieję, napastować nie będzie.

IV.

Wyprawa Egipska, dowodzona przez generała Bonaparte, ogłosiła z wojsk prawie całkiem środkowe Włochy, a świetne powodzenie oręża francuzkiego na Apenińskim półwyspie przerwane zostało wkroczeniem wojsk austriacko-rosyjskich. Armia neapolitańska, a z nią i większa część legionów pospieszyła połączyć się z armią włoską, zwolna ustępującą z Lombardyi przed naciskającym ją nieprzyjacielem. W pochodzie często bardzo przychodziło walczyć z nabierającymi otuchy powstańcami. W tym pochodzie wypadało opanować Apeniny, wyparowawszy z nich zbrojne bandy, kryjące się w niedostępnych kryjówkach. Generał Dąbrowski odebrał rozkaz dokonania tego dzieła. Na czele walecznych legij polskich posunął się w straszliwe wąwozy obsadzone powstańcami, i pod morderczym ogniem ukrytego nieprzyjaciela; zdobywał krok po

kroku tę ważną pozycję. Berek już wówczas jako porucznik walczył przy boku dowódcy tejże legii Forrestiere, tu miał sposobność okazać całą zimną krew i dziwną odwagę, zasłaniając własną piersią dowódcę, narażającego się na mordercze strzały. W dniu 24 Marca 1799 roku cała armia francuzko-polska ustawioną została wzdłuż rzeki Adygi. Nazajutrz 25 Marca, równo ze wschodem słońca, uderzyła na nieprzyjaciela, zmieszała i złamała go na wszystkich pozycjach, wyjąwszy prawego skrzydła, gdzie dywizya Monricorda przy Legnano została pobita. Polacy uderzyli na zwyciężkie kolumny i zmusili je do cofnięcia się. W tej batalii generał Dąbrowski, narażając się jak prosty żołnierz, miał konia pod sobą rannego. Tu także Berek prowadząc kolumnę, gdy ujrzał, że chorągwy ciężko postrzelony wypuszcza z rąk chorągiew, porwał ją i dalej żołnierzy do boju prowadził. Tu też został na placu awansowany na sztabs-kapitana. Następnie legia polska zabrana została pomiędzy Adygą a Fortaro, a generał Scherer, jako głównodowodzący, obrał kwaterę w Isola-della-Scala. Tu 5 Kwietnia wszczyną się bój zacięty, a wojska polskie dają dowody niesłychanej odwagi.

Nadeszły krwawe dni nad Trebią 18, 19 i 20 Czerwca 1799 roku. Trzy dni bój się ponawiał z nową zaciętością. Wojska polskie walczyły nieustraszenie, dając Francuzom przykład poświęcenia i odwagi. Berek i tu się odznaczył, opanowując po dwakroć straconą pozycję i przyczyniając się tém niemało do pomyślności polskiego oręża. Skombinowane działanie wojsk walczących z ruchem generała Moreau miało nam dać niechybne zwycięstwo. Armia przecież francuzko-polska, nie wsparta przez generała Moreau, utraciła plac boju i była zmuszona cofać się do War. Prawe skrzydło, zasłaniając odwrót, było zmuszone stoczyć jeszcze jedną bitwę pod Novi, gdzie chwilowe zwycięstwo otrzymane przez legiony polskie dało możność dokonać ruch w porządku. W przejściu tém wojska znosiły wszelkie trudy, niewygody i niedostatek. Po przybyciu nad rzekę War przeszły pod dowództwo

jenerała Jabłonowskiego. Skutecznie w wielu potyczkach odpierając austryaków, poległ waleczny młodzian Ojrzanowski.

Lecz poniżenie Francji we Włoszech niedługo trwało, Napoleon I zjawił się na wyżynach Śgo Bernarda. Wyprawa trzydziestodniowa, ukończona zwycięstwem pod Marengo, powróciła Francji sławę i cały półwysep Włoski.

Pod Peschiera stanęły polskie legie. Warownia ta silnie ufortyfikowana, broniona przez liczny garnizon i mnóstwo dział, miała zatknąć nowe wawrzyny na polskich sztandarach. Legii téj bowiem powierzone było wziąć twierdzę szturmem. O świcie wyruszyły kolumny polskie do szturm, wspierane ogniem francuzkich baterji. Z karabinem na ramieniu szły nasze zastępy, w grobowem milczeniu, nie wstrzymując się ani na chwilę, pomimo morderczego ognia, spuściły się w fossy z głośnym okrzykiem: Bóg i Ojczyzna! na zdziwionych tak piekielnym i lotnym atakiem, austryaków. Dzień ten był dniem Chłopickiego i jemu się za ten szturm główny dank należy. Lecz legiony pokazały się wyższymi nad wszelki wyraz, a oficerowie wraz z żołnierzami ubiegali się o palmę pierwszeństwa. Ostatniem dziełem legionów we Włoszech, a tem samem i naszego Berka, było wyparcie austryaków, dnia 16 Stycznia 1800 roku, ze stanowiska pod Cassa-Bianca bronionego ogniem fortecy. Wkrótce potem, mocą rozejmu w Treviso, twierdza ta poddała się Francji, a traktat Lunevski, d. 26 Stycznia 1801 roku, zakończył pamiętną służbę nadziei, ran i śmierci legionów polskich. Ciężki zawód był im nagrodą za poświęcenie bez granic, za śmierć tyłu walecznych.

Berek, nie widząc tu żadnych dla siebie nadziei, przeniósł się do armii francuzkiej, przeznaczony do korpusu zajmującego Hanower, zostawał w nim jako kapitan piątego lekkiego pułku dragonów.

Następnie przeszedł na dowódcę szwadronu ułanów polskich i wraz z swym pułkiem przybył do kraju w roku 1809. Ujrawszy syna swego Józefa, którego od dwunastu lat nie widział, dorosłym i przystojnym chłopcem, zaciągnął go do te-

goż pułku, w którym sam służył na szeregowca i kilka z nim przeciw austryakom odbył kampanij, zawsze odznaczając się jako oficer nieposzlakowanej cnoty, wielkiego męstwa, roztropności i przytomności umysłu.

Tegoż 1809 roku Berek, dążąc wraz z swym szwadronem z Siedlec ku Ludlinowi, zajechał na nocleg do znajomego dobrze proboszcza w miasteczku Syrokomli. Proboszcz, znany jako zapalony zwolennik sprawy krajowej, wielbiąc w Berku naprzód dzielnego obrońcę ojczyzny, znakomitego wojownika, i jednego z tych niewielu izraelitów, którzy krwią własną dowiedli braterstwa z polskim narodem wystąpił z całą solennością i gościnnością szczerą, staropolską. Po sutój wieczerzy nastały wiwaty, a gęsto ich było, bo i okazji do nich nie brakło. Więc były za pomyślność sprawy, za szczęśliwą przyszłość, za długie lata walecznych, i po kolei za każdego z osobna jenerała. Skutek takich libacyj był wiadomy: zaszumiało w głowie, serce rozparło się w piersi szeroko, oko błysło ogniem młodzieńczym i junacki zapal ośwładał naszego bohatera. W tem podoficer wpadł do komnaty, dając znać, że w Kocku, o pół mili od Syrokomli odległym, oddział kawalerji austryackiej roztasował się na dobre. Berek uniesiony bojowym zapalem, nie słuchając uwag, siadł na koń i klusem z swym szwadronem popędził do Kocka. Lecz austriacy, snać uprzedzeni o nadciągających ułanach, zatarassowali się w karczmie na rynku miasta stojącej, zkąd bezpiecznie dali ognia z karabinów na odważnie nacierającego Berka. Spłoszony koń uniósł go pomiędzy kłose drzewa do splawu przygotowanego, gdzie potknąwszy się padł, przygniótłszy swym ciężarem rannego już jeźdźca. Wtedy austriacy wypadli obcesem z zasadzki i zadali mu kilka cięć śmiertelnych, a choć wierni żołnierze odnieśli go natychmiast z pola bitwy, jednakże już Berek zamknął na zawsze powieki. Przywiązani towarzysze i podkomendni pochowali go z wszystkimi honorami wojskowemi, a na pamiątkę czei i głębokiego żalu usypali nad ciałem jego kopiec własnymi rękami, dotąd znany jeszcze i powszechnie przez lud nazywany kopcem Berka.

Pieśń ludu przechowała pamięć tego wojownika, z której przytaczam znane mi dwa wiersze:

W tym wypadku huncwockiem,
Zginął Berek pod Kockiem.

Oto jest krótki obrazek człowieka, który o pół wieku przeszło naprzód czuł wieszczym swym duchem, że przyjdzie chwila, kiedy uprzedzenia, przesady i nieufność ustąpić muszą szczerzej miłości i braterskiemu pojednaniu. Czuł to dobrze, że ziemia, na której się rodzimy, gdzie spoczęły kości ojców, dziadów i pradziadów naszych, jest naszą ojczystą ziemią, że wszyscy zrodzeni na niej, jakiegokolwiek są wiary, jakiegokolwiek religijnych zasad, są dziećmi jednej wspólnej matki, która ich wykarmiła zarówno swą piersią, zarówno do snu tuliła pieśnią o przeszłości, i ukochała zarówno. Gdzież jest w obec niej różnica, czy w stroju, czy w powierzcho-
wnych formach? Nie zaprawdę! różnica gdyby była, istnieć może tylko w sercu skalanem, tylko w duszy spodłonej, tylko w złych dążnościach i nieżyczliwości, a od takich wad niech nas Najwyższy strzeże swą prawicą wszechmocną.

Niech więc obrazek ten będzie jeszcze jednym więcej ogniwem, łączącym nas nierozdzielną spójnią; niech będzie świętym przykładem, że męztwo i szlachetność, wyradza tylko silna miłość ojczystej ziemi.

ULOTNE POEZYJE.

PAMIĄTKI.

(wiersz do muzyki).

O pomnę ja te chwile uniesienia,
Ten szal, ten pięknych uczuć świat,
Gdy dźwięk twych słów, gdy cudne twe spojrzenia,
Wskazały raj mych młodych lat!

Ten piękny czas tak minął niepowrotnie,
Mnie został dziś uwiedły kwiat,
Lecz słowo twoje powtarzam ja stokrotnie,
Bo w duszy wieczny został ślad.

O dzisiaj jeszcze w chwili zapomnienia,
Przeszłości marę chwytam znów,
I szukam wciąż twych oczów i spojrzenia.
I słyszeć chcę dźwięk dawnych słów,
Lecz zamiast nich dziś stoi mi przed okiem,
Miniony szal, nadziei grób,
I nie drży pierś straconym już urokiem,
I z ust nie wyjdzie dawny ślub.

Dlaczegoż więc nie szukam nowych szarów,
Nie lecę znowu w marzeń świat;
Czyż się nie ocknie serce dla zapalów,
I rzuci pamięć młodych lat.

O! już zapóźno! dawnych uczuć siła,
Zadała sercu srogi cios,
Widnokrag losów moich zachmurzyła,
I w duszy wiecznie brzmi twój głos.
Tak dawny czas przeminął niepowrotnie,
Mnie został dziś uwiedły kwiat,
Lecz słowa twoje powtarzam ja stokrotnie,
Bo w duszy został wieczny ślad.

Do*** posyłając winogrona i różę.

To rajske winogrono rączka schwyci mała,
Boskie oczko obejrzy, srebrny ząbek ścisnie,
I z cicha w lubych ustach zabrzmi dlań pochwała,
Gdy darzące nektarem źródło zeń wytryśnie.
A ta róża, o jakże błoga i szczęśliwa!
Na tkliwem widzę łonie skromnie zapinana,
Z cicha szepcze do serca smutna i trwożliwa,
Pewno o mnie? o! żeby była wysłuchana.

Kwiat pamiętki.

Uchodź raczej, lub wstrzymaj świętokradzkie dłonie,
Jednej karty zgasłego nie tknij księgi życia,
I myślą nie budź myśli z przeszłości ukrycia,
Przyszłości nawet nie szlęj, w jęj niezgłębne tonie,
Bo kiedy chwila szczęścia zamiera po skonie,
Z jęj grobu rośnie kwiatek, — złoto go nie zdabia,
Pięć niebieskich motylków ozdabia mu skronie,
Ucieka od szczęśliwych, nieszczęsnych przywabia.
Ten kwiatek miły poseł z krainy pamiętek,
Gdy ręką śmiertelnika skwapliwie zerwany,
Grób się wstrząsa, i cały w przepaść się rozwiera.
Patrz! z przepaści tęg potwór jakiś niewidziany,
Wypełza, — schwycił rękę i kwiat mu wydzierają,
A z nią ostatni szczęścia ostatniego szczątek.

L.

Rozmowa przed ślubem.

On. Jaką pannę wybrałeś, drogi przyjacielu?
Ja. Słynną z wdzięków, dowcipu i przymiotów wielu.
On. Ale, jakież da posag za swych wdzięków sławę?
Ja. Nie ma nic, własny fundusz daję na wyprawę.
On. Winszuję, nie zazdroścę, po miodowych chwilach,
Gdy już śnić przestaniecie o różach, motylach,
I gdy obmierzła nędza w dom się wasz zakradnie,
Rzucisz żonę i rozpacz twe serce owładnie.
Dziś, nie wdzięk, ale pieniądź panuje uroczy,
Przy nim na wady żony, chętnie zamkniesz oczy;
Ze mnie przykład: ja biorę ułomne stworzenie,
Ale milion posagu podnosi ją w cenie.

Po ślubie.

Ja. Gdzie pędzisz drogi Piotrze, tak blady, strwożony?
On. Gdzie? na sam koniec świata uciekam od żony!
Ja. Jakto? rzucasz z miliona korzyści ogromne?
On. O ja ich całe życie pewno nie zapomnę!
Dobrze mnie los ukarał za złudne nadzieje,
Dzisiaj się własna żona, z męj głupoty śmieje,
A pieniądź w swęj kieszeni chowa nawet we śnie,
I będę mą wciąż uczuć mi daje boleśnie,
A gdy się słusznym gniewem pierś moja rozżarzy,
Czuję guz na mém czole... pantofel na twarzy.
Ja. Otoż i zysk z miliona: rozpacz.... i męczeństwo,
Ja choć nie mam bogactwa, żyję wciąż szczęśliwie,
Bo miłość żony, niebios śle błogosławieństwo,
I dary na ojczystęj uzbierane niwie.

LITERACKI ZUCH.

Jam literat, co nie lada,
Znam ja wieszczy duch,
Całe miasto wszak powiada:
Żem ja wielki zuch!
Kiedy pióro me złośliwe,
Wprawię tylko w ruch,
Słyszę jęki rozpaczliwe,
Zgubił mnie ten zuch!
Każdy pisarz z trwogą szuka,
W nosie moim much!
Bo go trwoży ma nauka,
On czuje, żem zuch!
Choć me twory gwiazdką znaczę,
Wszyscy krzyczą w słuch,
Niechaj biedny autor płacze,
Schłostał go ten zuch!
Redaktorzy za mną gonią,
Bo starcę za dwóch,
I gdy imię me odsłonią,
Z góry krzyczą zuch!
Stan kupiecki mi hołduje,
Bom ja dlań zły duch,
Każdy mą potęgę czuje,
Każdy wie, żem zuch!
Po méj śmierci lud w żałobie,
W mieście straszny ruch,
Stawia pomnik na mym grobie,
Z napisem.... żem zuch!



EPILOG.

Zapraszam was jeszcze na słówko, drodzy moi Czytelnicy. Dziękczynnem ono będzie dla was, boście mi do końca dotrwać zechcieli, a że kilka kropelek żółci dołączy się do słów tego pożegnania, to mi wybaczenie, bo tę gorycz przeznaczam dla tych, co mnie biczowali ostrą krytyką, nie czytając nawet tego zbiorku, dla tych, co mnie kamienowali szyderstwem, bez względu na własne grzechy.

Zbiorek ten z dawniejszych i późniejszych prac moich, i z uprzejmie udzielonych pism innych autorów spleciony, ma pewne wady i niedokładności. Widzę to dziś i wyznaję. Znalazłbym słowa dosyć silnej obrony dla niego, lecz ich nie szukam, by do szeregu zarzutów, jakimi mnie obdarzono, nie

— 244 —
dodawać podejrzeń o zbyt wygórowaną miłość własną autora-wydawcy. Najmłodsze to moje dziecko, Beniamin literacki, więc się nie dziwię, że wydanie go na świat najwięcej mi przyniosło boleści. Sądząc go sam jak potrafię najostrożniej, mam przekonanie, że już te przykrości, jakie przecierpiałem dla niego, okupiły pewne wady, i że teraz po ukończeniu, jeżeli mi czegoś spodziewać się wolno od krytyki, to uznania, że obok wad i błędów, mój zbiorek ma pewne zalety. Nie moja wina, że poczęty w innej chwili, w której myśl wesoła nie była anachronizmem jeszcze, wyjść musiał na świat wtedy dopiero, gdy ogół czytających spoważniał duchem i lekką tkankę humorystyki analizować począł krytyką zimnego rozumu. Gdyby słowa tej krytyki ogrzewało choć skąpo ciepło serca, którego w obecnej chwili najwięcej mieć powinniśmy, o! jakbym wtedy najchętniej przebaczył mym literackim pogromcom.

Lecz któż to rzucił się na mój zbiorek? dla kogo stał się on celem tak zawziętych pocisków? komu spać nie dał na wypchaną powieść laurami poduszcze? kogo zaniepokoił w bezmyślnej literackiej vegetacji? komu stanął na drodze w tryumfach dziennikarskiego autorstwa? Oto grzywiastym *lwom* któreby rade opustoszyć piśmiennictwo nasze, by w niem odbudować dla siebie stracone królestwo pustyni, oto tajemniczym *algebraicznym znakom*, które po rozwiązaniu kryjącego je równania, okazać by się mogły mizerną, nędzną, a może *odjemną* wartości; oto nareszcie zblakłym *gwiazdkom*, którym całym zbiorem *powinszowań* radbym podziękować za *stare osy* ich dowcipu, którym za odę *bezsensowym* wierszem w oczy mi rzuconą, wywdzięczyć się muszę reprodukcją ich własnych arcytworów, napróżno od lat osiemnastu oczekujących drugiego wydania.

Zechciejcie więc pojsć za mną czytelnicy. Cofniemy się w przedosiemnastoletnią przeszłość i zaprowadzę was do literackiego saloniku, pokażę wam debiutanta piśmienniczego *życia na żart*, który silniej zapewne jak mały kapral wierzył w swoją *gwiazdkę*, i któremu rzeczywiście *Los opiekun* przy-

służył się potem do zyskania przelotnej felietonistowskiej sławy.

Oto on.... rozwianym włosom i nadętą miną starający się reprezentować posagową pozę *Laokoona*, starający się wzbudzić przekonanie, że jest męczennikiem poezji, improwizowaniem rozpaczliwych wierszy, które dowodzą jasno przeciwnego założenia, że poezja była właśnie męczoną przez debiutującego wierszarza:

Nateżmy uszy.... głos wieszczu brzmi:

GODZINA ŚMIERCI.



iękna dziewico! tyś marzeń kochanka,
Wpleć mi lę żalu do cyprysu wianka,
Ona mi będzie pamiątką po tobie,

Będę się pieścił tą leżką i w grobie.

Piersi twe białe, co żądze wzniecają,

Jak pączki róży wonne rozkwitają.

Tych kwiatków nie chcę, choć wabne, uroczę,

Wolałbym posiąść twe ciemne warkocze.

Splótłbym je długo, i na stryczku splotów

Trupa nadziei powiesić bym gotów.

Gazeta Teatralna,

z r. 1843 Nr. 22 i 23.

Oklaskały wiersze bezmyślne dłonie, nikt się nie spytał,
co za związek ma godzina śmierci z całym tym wzniosłym
poematem... obrazem trupa nadziei, wiszącego na stryczku
splotów przerazili się wszyscy i zapomnieli sensu dla kadensu.
Jedna z czulszych słuchaczek, panna Kordula, w łzy się nawet
roztrysła tak obficie, że w nich trupa nadziei możnaby utopić,
gdyby nie było ciemnego warkocza.

Gdy ochłonięto z wzruszenia, poetę poproszono znowu
o wiersze. Ponieważ panna Kordula łzami najwzniosłej uświę-
ciła tryumf godziny śmierci, a była artystką muzyczną, więc
wieszcz salonu przemówił do niej w te słowa:

Brak sercu pieśni, by boleść uśpiła,
Brak duszy gromu, by pierś młodą zrył,
Pamięć twych dźwięków sercu się przyśniła,
Nad duszą grom akordów wył.
I czoło moje chmurzy się jak zrab,
Odciętjędjodły gdy nań spadnie deszcz,
A dusza ma zarem technie jak dąb,
Gdy wąż piorunu jak muzyki wieszcz,
Rozdźwiękiem strzału wypali mu rdzeń!...

O! witaj mi! coś dziewicze czoło,
Harmonii wiankiem srebrnoskrzydły duch,
Zakwiecił tak, by nie lśnił wesoło,
Lecz z cierniem zwił wonnej róży puch!! (?)...
Z pod dłoni twój płynie orszak dum,
Co nie tak błogie, jako nieba strop,
Bez szaty chmur, to jak wichru szum,
Gdy wpadnie w bór... to pszeniczny snop!
I w duszę sieje harmonijny plon.

Ty kiedy wlecisz w złotych pieśni świat,
I spotkasz chmurą zasępioną skroń,
Na srebrnych skrzydłach w tamtą stronę goń,
Graj mu pieśń burzy i witaj.... to brat....

(Gaz. Teatr. 1843 Nr. 65).

Znowu oklaski, strumienie łez i domaganie się o więcej.

Poezie już trochę zbywało na natchnieniu, zaprosił więc
do fortepianu jednego z muzyków salonowych, takiego, jak
oto tu widzicie *pianistę*:

Wirtuoz grał, a poeta improwi-
zował na melodję dźwięków pieśń
tak wzniosłą, że jak wiele jego u-
tworów np. Pamiętniki Waryata,
szybowała wysoko nad dziedziną
sensu:



W przepaściach Tatr,
Zaszumił wiatr,
Piorunu strzał,
Piosenki grał,
A pieśni były święte, święte...
Lecz moja pieśń,
Skroś ziemską cieśń,
Jak wspomnień grzmot,
Rozwija lot,
I stwarza tony przekłete.
Puhaczu stój,
Przepadnij w śnie,
Bo srogi bój,
Już nie brzmi, nie.... etc.

(Gaz. Teatr. 1843 Nr. 36).

Po ukończeniu znowu oklaski, dalej herbata i sucharki,
w końcu zbieranie prenumeraty na czteromową powieść pod
napisem: *Synowie obywatelscy*.

Wszystko to mieliście już opisane w szkicu moim pod na-
pisem: *Autor zakochany*.

Cóż chcecie! jak to niezbadane są koleje geniuszów... ani
poeta salonowy nie stanął w rzędzie orłów poezji polskiej, ani
Synowie obywatelscy nie ujrzeli światła dziennego. A szkoda!...
literatura nasza z bogaciłaby się tyle obiecującym wieszczem i
takiem *kosztownem* dziełem!

I wiecież co się stało z poetą salonu i niedoszłym wy-
dawcą swojej powieści? Wbrew kolei w historii naturalnej
przyjętej, motyl-poeta przeobraził się w poczwarkę krytyczną.
Wiecież jak krytykuje? oto poetów sędzi według miary swo-
ich powyższych utworów, więc nie dziw, że wszyscy mali,

a wydawców, którzy wydają to co zapowiedzieli, chłoszcze niemiłosiernie za edytorskie skrupuły.

Dostało się i mnie coś z téj chłosty, a może jeszcze dostanie, ale taka chłosta nie boli.

Inni krytycy niech pozostaną za kulisami, względem wi-downi mego oburzenia. Wiem co jest krytyka, pojmuję jej potrzebę, nie rozumiem jednak czem przewiniłem, że mnie krytykowali nie chcąc czytać, że się przyczepiali do okładek, do winetek i omyłek drukarskich, do listy prenumeratorów, do nie wiem czego już więcej.

Krytyka powinna wytknąć i pokazać co złe, — znaleźć, podnieść i ogrzać ciepłem serca co dobre i obiecujące.

Przyznaję raz jeszcze, że wiele szczegółów w tym zbioru zasługuje na pierwsze, — łaskawy czytelnik zechce osądzić czy nie zasługuje na drugie.

Jeżeli kiedyś w spokojniejszej chwili, gdy zółć się strawi swą własną goryczą, a gniew zawzięty wpływ czasu ostudzi, choć mała wzmianka o jakim szczególe z tego zbioru zechce uznać starania autora-wydawcy, za wszystko com poniósł przy tem wydawnictwie zostanie szczerze nagrodzony.

A teraz rzucam pióro na długo... sędzę jednak, że nie na zawsze. Nowa praca dodała nowego doświadczenia, a jeżeli łaskawy Czytelniku spotkasz się kiedy z dziełkiem mego pióra lub wydania, chciej je wziąć w rękę z przekonaniem, że ono będzie godniejsze ciebie i odpowiedniejsze chwili, że będzie wypływem rozważnej pracy i szlachetnej myśli, nie lekkim echem weselszych chwil życia, których owocem jest niuijszy zbiorek. Komuż nie drugie chwile jego drobnych radości? jestże śmiertelnym i niedarowanym grzechem pragnąć utrwalić swoje wesole pamiątki? Tyle jest szczęścia, co w tych drobnych chwilach, — pocóż go sobie wzajemnie z- zdrościm?...

KONIEC.

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM.

Stronnica.

Lola Montez, Szkice biograficzne z portretem.....	5
Pan Fidelberger, Komedyjka w 3ch aktach ze śpiewkami	29
Antoni Kątski, Życiorys, z portretem	75
Feljetony	83
Koncerciki	91
Pamiętniki świeżego szlacheica, zebrane przez Włóczy- kija	103
Pozór często zdradza, Szkice	137
Krynolina, komedjo-opera w 2ch aktach i 4 obrazach z muzyką Antoniego Kątskiego	143
Ogród Saski, pod względem obyczajowym opisał Bona- wentura Mrówka	173
Kawiarnie i Dystrybucye Warszawskie, Szkice skreślił tenże	185
Szliśibruk Warszawski, Szkice skreślił Abel Gleba	195
Berek Josielowicz, Szef szwadronu ułanów wojsk byłego Księstwa Warszawskiego	217
Ulotne Poezye	237
Epilog	243



74022

2

64644